

Znak GRANICZNE

Alfred Siatecki

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza

Alfred Siatecki

Znaki **GRANICZNE**

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1988

Pies szuka psa, kot szuka kota, zając
zajaca, lew lwa, człowiek musi mieć
nie człowieka, lecz człowieka podo-
bnego losu.

(Adolf Rudnicki: Krowa)



Maria Zientara-Malewska

Wrażliwa dusza kobieca

Jesteśmy Polakami!
Wiara ojców naszych jest wiarą
naszych dzieci!
Polak Polakowi bratem!
Co dzień Polak służy narodowi!
Polska Matką naszą — nie wolno
mówić o Matce źle!

Prawdy Polaków spod znaku Rodła

Z kroniki Szkoły Podstawowej im. Bojowników o Polskość Ziemi Kramskiej w Nowym Kramsku: „Z dniem 1 IV 1935 roku została nauczycielka Jadwiga Kapałówna przeniesiona do Złotowa, a na jej miejsce przybyła Maria Zientarówna”.

W dniu 19 V 1935 roku odbyła się akademія ku czci Józefa Piłsudskiego. Konikarz napisał: „Z kolei przemówił prezes Związku Polaków p. Cichy, który wykażał na pięknym przykładzie o sadzie owocowym, że należymy do jednej rodziny Narodu Polskiego, chociaż mieszkamy za granicą, tak rodzina wszystkich Polaków bez względu na to, gdzie mieszkają, stoi nad grobem Ojca Narodu i Ukochanego Wodza”.

„Wieczornica na zakończenie roku szkolnego 1936/37 miała się rozpocząć o godz. 18.30. Władza policyjna nie zgodziła się na odbycie przedstawienia w godzinach wieczornych. Pan wachmistrz Knut z polecenia p. komisarza Erbta przybył do kierownika szkoły, nadmieniając, że tego rodzaju uroczystość urzęduje w szkole, a nie w sali publicznej. Gdy mu zwrócono uwagę, że przedstawienia teatralne mogą się odbyć tylko na scenie, której przecież nie ma w izbie szkolnej, odszedł. Następnego dnia przybył znowu i zarządził, że wieczornica może się odbyć, ale w godzinach popołudniowych, o godz. 18.00 sala musi być opróżniona. Tak

też się stało ale — kronikarz dodaje z satysfakcją — mimo wszystko sala była po brzegi zapełniona”.

„Dnia 28 lutego [1938 roku — A.S.] urządził z tego samego powodu [piętnastolecie Związku Polaków w Niemczech — A.S.] miejscowy oddział Związku Polaków piękną uroczystość na sali p. Klemta. Główne przemówienie wygłosił ks. Styp Rekowski z Berlina oraz p. A. Bożek ze Śląska. Młodzież i chór mieszany urozmaicili występami udanymi ową piękną uroczystość, która stała się potężną manifestacją wiary i wytrwania”.

„5 kwietnia obiegła Nowe Kramsko radosna wieść, że p. komisarz Erbt pozwolił wreszcie na otwarciu polskiej ochronki, którą już przeszło pół roku temu zamknięto. Lecz — niestety — radość okazała się złudna, bo następnego ranka, gdy dzieci zaczęły się schodzić, do ochronki przybył żandarm i z polecenia p. komisarza znów ochronkę zamknął! Powód: gdzieś w Polsce przesiedlono ponoć nauczyciela niemieckiego [...] znów odwet. Pozwolono więc otworzyć ochronkę na jedną noc”.

„Polaków, dzierżawiących grunt kościelny, spotkał w maju br. dotkliwy cios. Rozporządzeniem p. Erbta odebrano im tę ziemię (choć mieli prawomocne kontrakty do roku 1943) i wydzierżawiono tę ziemię innym dzierżawcom. Żaden Polak ziemi nie otrzymał!”

„Dnia 28 marca [1939 roku — A.S.] słuchały dzieci ostatniego rocznika mowy kanclerza Hitlera, wygłoszonej na posiedzeniu Reichstagu”.

„Nowy rok szkolny rozpoczął się 19 IX 1939 r. Przyjęto nowicjuszków 13; 11 dziewcząt i 2 chłopców. Liczba dzieci wynosi 98”.

„Dnia 19 kwietnia zachorował kierownik szkoły. Choroba trwała do 30 czerwca. Zastępstwo kierownika szkoły objęła nauczycielka p. Zientara. Do tego czasu odbywała się nauka skrócona”.

„Księgę tę i wszystkie akta szkoły polskiej z lat 1929 — 1939 przechowywała ob. Apolonia Krawiec, mieszkanka Nowego Kramska przez cały okres wojny, narażając przechowywaniem tych rzeczy swoją osobę. Okazała ona w ten sposób swój wielki patriotyzm — wiarę, że Polska znów będzie, mimo że nastały lata dla Polaków bardzo ciężkie i były chwile, jak np. w roku 1940 po upadku Francji, że niejednen ducha stracił i przestał wierzyć w przyszłe istnienie Polski. Czynem tym przysłużyła się dobrze Ojczyźnie! Przechowywała ona wówczas epidiaskop szkolny i sporo książek polskich. Wszystkie te rzeczy złożyła do moich rąk, skoro tylko przybyłem do Nowego Kramska.

Cześć mężnej Polce Apolonii Krawiec.

Nowe Kramsko 10 V 1945

Wiesław Sauter
kier. szkoły”

„W obozie wyznaczono im jako karę całodzienne przebywanie na dziedzińcu w pozycji stojącej, zimą — to samo w specjalnej hali; specjalna straż czuwała, aby nikt nie zmieniał pozycji. Zagłodzeni więźniowie, przeziębieni i zmarznięci (surowa zima 1940 r.) z zazdrością patrzyli na tych w obozie, którym powierzono jakieś prace [...] W krótkim czasie najsłabsi i ci, których najbardziej prześladowano, zaczęli umierać — wracali do swej rodzinnej wioski jako proch w urnach. Zginęli w ten sposób bohaterską śmiercią męczenników narodowych ob. ob. Waław Fabiś, Stanisław Obst, Jan Heyduk, Kazimierz Tomiak (zmarł zaraz po powrocie do domu — odmrożone ciało odpadało od kości) i Ignacy Spiralski”.

W ostatnią niedzielę ciepłego, pachnącego wilgocią pól i łąk, słonecznego maja 1983 roku do Babimojskiego Domu Kultury przybyli ci, którzy nad Obrą przetrwali

najgorsze — sto pięćdziesiąt dwa lata niewoli germańskiej. Obok potomków Obstów, Fabisiów, Krawców siedzieli wnukowie „królów polskich” — Jana Budycha IV, Teodora Spiralskiego, Jana Cichego. Z szaf wyjęli stroje dąbrowieckie, kramskie, podmoklańskie, babiomojskie. Regionalny Zespół Pieśni i Tańca „Dąbrówka”, liczący już sześćdziesiąt lat, śpiewał, grał i tańczył. Młodszy ściskał spracowane dłonie starszych. „W 60 rocznicę utworzenia Związku Polaków w Niemczech proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia od Lubuskiego Towarzystwa Kultury i Wojewódzkiej Rady Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego w Zielonej Górze. Jesteśmy pełni szacunku dla ludzi Babimojszczyzny i Ziemi Dąbrowieckiej, którzy — mimo wiekowej germanizacji — zachowali ducha narodowego, zwyczaje i obyczaje, cechy i sztandary, a przede wszystkim mowę polską”.

„Naród żyje, dopóki jego język żyje” — powtarzali na Łużycach, skrawku Słowiańszczyzny zewsząd oplecionym Germanami.

Niemcy byli przekonani, że niebawem ta wyspa polskości podda się, że Łużyczanie podniosą ręce, że Polacy na Babimojszczyźnie przyjmą wiarę i obyczaje niemieckie, więc zabraniali używania języka polskiego, osiedlali Saksończyków, Brandenburgów, stali najzgorzalszych Germanów, później hitlerowców. Na nic się to zdawało, nad Obrą ogniska polskości nie gasły, przeciwnie, płonęły coraz pełniejszym płomieniem. Wici: po polsku mówią na Śląsku, na Mazurach, w Złotowskiem. I w Dąbrówce, i w Podmoklach, i w Babimoście. I w Nowym Kramsku.

W dniu 22 grudnia 1928 roku pruska Rada Ministrów, po długoletnich zabiegach posła Jana Baczewskiego, wydała *Ordynację dotyczącą uregulowania szkolnictwa mniejszości polskiej* nazywaną przez Niemców *lex Baczewski*. Uchwała ta zezwalała na zakładanie

polskich szkół prywatnych i angażowanie sprowadzanych z Polski polskich nauczycieli.

Jan Baczewski wspomina: „W listopadzie 1929 roku mieliśmy 50 nauczycieli sprowadzonych z Polski. Do tego czasu uruchomiliśmy 30 polskich szkół prywatnych. Między innymi, jako z kolei [...] dwudziestą szóstą szkołę w Nowym Kramsku — 3 nauczycieli i 80 dzieci [...] Ciekawe zdarzenie miałem w Nowym Kramsku i Małych Podmoklach, gdzie otrzymać mieliśmy lokale szkolne w dotychczasowej szkole powszechnej niemieckiej [...]. Inspektor szkolny nie chciał lokali szkolnych przekazać, gdyż nie otrzymał jeszcze polecenia z Rejencji w Pile [...] W Nowym Kramsku otwarcie odbyło się tego samego dnia [11 czerwca 1929 roku — A.S.] o godz. 12. Młodzież, odświętnie ubrana, spacerowała po wsi, a dzieci z nauczycielami i rodzicami czekały w szkole na nasze przybycie. Budynek szkolny i izby lekcyjne były pięknie udekorowane, jak zresztą cała wioska. Nas powitał Jan Cichy, nasz niestrudzony mąż zaufania, niekoronowany «król polski»”.

Tuż po założeniu szkoły polskiej w Nowym Kramsku jej zarząd zwrócił się do pruskiego ministerstwa oświaty w Berlinie z prośbą, żeby zlikwidować szkołę niemiecką, a budynek przekazać szkole polskiej. Pod listem podpisali się działacze Związku Polaków w Niemczech: Juliusz Klemt, Stanisław Obst i Franciszek Piwecki. Dziennik niemiecki „Frankfurter Oderzeitung” tak to skomentował: „Trzech członków polskiego zarządu szkół zwróciło się do pruskiego ministra edukacji z wnioskiem o rozwiązanie szkoły niemieckiej. To jest szczyt polskiej bezczelności. Przychylność rządu przy zakładaniu szkół mniejszościowych została przez drastyczny i nieodpowiedzialny wniosek, w którym ci Polacy żądają rozwiązania szkoły niemieckiej, a do niej uczęszcza 50 dzieci, nadużyta. Co by się stało z przynależnymi do mniejszości niemieckiej, gdyby się od-

ważyli żądać czegoś podobnego w państwie Piłsudskiego?”

W roku 1936 w Nowym Kramsku mieszkało 1221 obywateli, z tego Polacy stanowili 89,50%. Nie wszyscy posyłali swoje dzieci do polskiej szkoły, nie wszyscy też Niemcy byli wrogami polskości. Ponad 50% dzieci z rodzin polskich chodziło do szkoły mniejszościowej, reszta do szkoły niemieckiej. Mimo to, nadal w Nowym Kramsku mówiono: „Musimy bezwzględnie dbać o to, żeby żaden Deutscher (Niemiec) nie dostał się do naszej wsi”.

Tej wsi ani tych ludzi nie znała nauczycielka i początkująca poetka Maria Zientarówna. Urodzona w Brąswaldzie w Prusach Wschodnich, dobrze znała język polski i niemiecki, a bywając w Krakowie, Warszawie, poznawała kulturę polską. Jakiś czas pracowała w prasie polskiej, ale zawsze pragnęła być nauczycielką, uczyć dzieci polskie mowy ojczystej. Najpierw na Warmii — w Gierzwałdzie, Uniszewie, Chabrowie, potem — w Wielkim Buczku na Żłotowszczyźnie, następnie — w biurze Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie jako kierowniczką wydziału czwartego, obejmującego przedszkola polskie w Niemczech. „Praca moja byłaby nawet miła, gdyby mi dano swobodę działania. Całymi miesiącami musiałam załatwiać papierkową robotę, choć rwałam się, by objechać tereny, gdzie istniały przedszkola [...] Już po upływie roku poprosiłam o przeniesienie do szkolnictwa. Baczewski się na to nie zgodził”. Dopieła swego, gdy w marcu 1933 roku ponownie została nauczycielką w Żłotowie.

„Przy końcu marca 1935 roku przyszło mi znowu [...] pakować manatki i szykować się do objęcia nowej posady w Nowym Kramsku. Nazwa tej miejscowości była dla mnie na razie tylko pustym dźwiękiem. Nigdy przedtem w tych okolicach nie byłam [...] Będąc w Zakrzewie, rozmawiałam z księdzem Domańskim. Był nad-

zwyczaj łagodny i wyrozumiały. Mówił do mnie mniej więcej tak: «Ja nie żądam, ale proszę, by pani pojechała do Nowego Kramska. Ludność jest tam skłócona — pani potrafi ich pogodzić, pani im przyniesie pokój». To nieprawda, że «ludność jest tam skłócona». Nowokramszczanie zwarli się w silną grupę, tworząc polskie organizacje, walcząc z naporem germańskim, jak zresztą większość Polaków we wszystkich wsiach i miastach Pogranicza. Ich przywódca duchowy, Jan Cichy, potrafił zgromadzić chłopów wokół najistotniejszej idei, mówił, że należą «do jednej rodziny Narodu Polskiego».

Postanowiłam nie przywiązywać się za bardzo do dzieci ani do ludności w Nowym Kramsku. No cóż, postanowienia mojego wystarczyło zaledwie na kilka tygodni”.

Zamieszkała Maria Zientarówna w domu Tomaszewskich. Ludwik miał wtedy dwanaście lat, pracował w gospodarstwie razem ze swoim ojcem.

— Z początku baliśmy się Marii, była starsza od jej poprzedniczki, Kapałówny — wspomina Maria Tomaszewska, żona Ludwika. — Ale później polubiliśmy się i byliśmy przekonani, że to wspinała nauczycielka.

— Dopóki moja matka żyła, w domu był porządek. Zaraz po śmierci matki siostra wyszła za mąż. W domu zostałem tylko z ojcem. No i w pokoiku na górze mieszkała pani Zientarówna. Nie miał kto ugotować, wyprać, nam było bardzo ciężko i jej nielekko.

Wtedy Maria Zientarówna zmieniła mieszkanie, przeniosła się do domu Steinów, gdzie już mieszkała do końca swojego pobytu w Nowym Kramsku. Ale nie była tylko nauczycielką, była kimś więcej, działaczką społeczną, a nawet — można by tak powiedzieć — także działaczką polityczną. Wówczas każdy nauczyciel musiał być działaczem politycznym, chociaż nie głosił swoich poglądów wprost. Przekazywał je uczniom, rodzicom, przywódcom nowokramskim.

W kwietniu 1935 roku Maria Zientarówna pojechała do Kargowej, aby przedstawić się niemieckiemu inspektorowi szkolnemu Strukatowi, który był Mazurem z pochodzenia i dobrze znał język polski. Ten niby-krajan powiedział młodej poetce, że czytał jej wiersze. „Rozmawiając ze mną po niemiecku, powiedział, że mówię bardzo dobrze tym językiem i zaproponował przejście do szkolnictwa niemieckiego. Odpowiedziałam, że jestem Polką z urodzenia i przekonania i dlatego propozycji przyjąć nie mogę. Wtedy on powiedział: «Na, Sie werden es je bereuen!» [No, pani pożałuje tego]”.

Słowa inspektora sprawdziły się za cztery lata. Tymczasem nauczycielka do południa w klasie pierwszej uczyła religii i robót kobiecych oraz gimnastyki dziewcząt, w drugiej — robót kobiecych i gimnastyki, w trzeciej, której była wychowawczynią — wszystkich przedmiotów oprócz śpiewu. Po południu natomiast była nauczycielką dorosłych, organizowała zajęcia dla dziewcząt i kobiet, pomagała sportowcom „Polonii”, była wszędzie tam, gdzie ludzie czekali na pomoc. Związek Polskich Towarzystw Szkolnych nakazywał: „Nasz nauczyciel nie może być tylko nauczycielem w szkole, lecz dobrym opiekunem i doradcą poza szkołą”.

— W gospodarstwie nie pomagała — przypomina sobie Ludwik Tomaszewski. — Miała huk roboty w szkole i w Związku.

A Maria Tomaszewska dodaje:

— Zimą uczyła nas robótek kobiecych. Uczyła śpiewu...

Zientarówna uczyła nowokramskie kobiety, one ją uczyły ludowych pieśni. Na weselach — zazwyczaj kawalerowie nowokramscy wybierali sobie za żony tylko kramszczanki, żaden Polak nie ożenił się z Niemką — Maria Nyćkowa wyśpiewywała:

Biały baran, siwy baran
Przez olszynę brnie.
Lepsza jedna kramszczanka
Niż podmoklskie dwie.
Bo podmoklskie pędzą świnię,
Podwiewa je wiatr,
A kramszczanka przede wroty
Jak różany kwiat.

Zientarówna współorganizowała wycieczki do Polski, która była bardzo blisko, najwyżej dwadzieścia kilometrów od Nowego Kramska, a jednocześnie bardzo daleko. Wozila nowokramszczan do sąsiednich wsi, gdzie także mieszkali Polacy, współpracowała z „polskim królem” — Janem Cichym. „Cichy był inteligentnym i ambitnym działaczem społecznym. Ze swej pracy dla sprawy polskiej nie miał materialnych korzyści, raczej dokładał na różne podróże, przybory piśmienne i poczęstunki dla różnych gości przybyłych z Berlina czy Złotowa. Będąc bardzo, aż do przesady ambitnym człowiekiem, łatwo się obrażał [...] W Nowym Kramsku miał zarówno zwolenników, przyjaciół, jak i wrogów” — napisała o nim w swoich wspomnieniach pt. *Śladami twardej drogi*.

Na cichym cmentarzu nowokramskim drzewa szumią jakby grały hymn zmarłym. Tuż za szkołą historia wsi, która nigdy nie ugięła się stu pięćdziesięciodwuletniej germanizacji. Pośrodku dwie proste mogiły, na jednej wyryty w kamieniu napis: „Tu spoczywa w Bogu śp. Jan Cichy. Nasz kochany ojciec, teść, dziadek i pradiadek. Ur. 21.10.1879, zm. 18.12.1958 Wieczny odpoczynek”. Obok znajduje się grób jego żony, Weroniki. Wokół leżą prochy Benyskiewiczów, Obstów, Fabisiów, Rychłych, Tomaszewskich...

To oni, ci, którzy czekali na Polskę, którzy jej nie doczekali, zbierali nowokramszczan wokół jednej sprawy — polskości. Wierzyli, że Polska do nich przyjdzie.

Wiedzieli, że zanim to nastąpi, wiele jeszcze nieszczęść spadnie na głowy kramszczan. Nie uginali się, mając za jedną z przywódczyń nauczycielkę i poetkę Marię Zientarę, trwali organizując zabawy ludowe, przedstawienia teatralne, imprezy sportowe. Nic też dziwnego, że tajny memoriał niemiecki z roku 1938 donosił: „Udział szkoły w imprezach pozaszkolnych następuje wtedy, gdy chodzi o imprezy polskie”. O nauczycielach z Nowego Kramaska autor memoriału pisał: „...gorliwe popieranie interesów polskich”. To prawda, oni popierali interesy polskie, kultywując zwyczaje i obrzędy, prenumerując prasę polską i polonijną: „Polak w Niemczech”, „Młody Polak”, „Głos Pogranicza i Kaszub”, „Przewodnik Katolicki”. Maria Zientarówna czytała im wiersze klasyków polskich, a także własne, które tu tworzyła, w których było Nowe Kramsko i jego wierny lud.

W charakterystyce, opartej na obserwacjach policyjnych, zanotowano: „Maria Zientara, ur. 4 września 1894 r. w Brąswaldzie. Obywatelka niemiecka. Zabiega o pielęgnowanie polskich zwyczajów i obyczajów”.

Władysław Sroka we *Wspomnieniach z pracy w szkole polskiej w Nowym Kramsku (1930—1937)* pisał: „Kapałówna, Jaskólski i Zientarówna byli dzielnymi współpracownikami, tak w pracy szkolnej, jak i społecznej. Między nami panowała harmonia, wzajemne zrozumienie i szacunek. Idea, dla której pracę podjęliśmy, wypełniała nasze życie [...] Harmonijne współżycie naszego grona nauczycielskiego między sobą i z kramskimi rodakami było przysłowiową solą w oku renegatów, tym bardziej że wśród nauczycieli niemieckich były nieporozumienia i intrygi. Chciano więc nas wyszydzić i ośmieszyć. Wykorzystano do tego nawet prasę. Ukazał się mianowicie w «Grünberger Zeitung» [Gazeta Zielonogórska] artykuł pod niewinnym tytułem *Niedliches kleeblatt* [Sympatyczna trójka], który mówił o

tym, że wszędzie pokazujemy się razem i nie mając co jeść, chętnie chodzimy do ludzi na wyzerkę [...] Niemieccy pedagodzy nie zadawali sobie tyle trudu w nauczaniu. U nas odgrywała wielką rolę ambicja. Chodziło nam o to, by godnie reprezentować polskiego nauczyciela, aby rodacy mieli do nas zaufanie i byli dumni z wychowawców swoich dzieci”.

Nowokramszczanie — jak przypomina Ludwik Tomaszewski — kochali swoich nauczycieli, nie wyróżniając żadnego. A może nie? Może właśnie najmiłsza była dla nich Maria Zientarówna. Na imieniny otrzymywała kwiaty i wiersze od dzieci, często były to jej wiersze, owoce, miód i drobne podarki. „Nie było chyba nikogo, kto by w dniu tym nie okazał w jakiś sposób swego przywiązania czy wdzięczności. Jedni przychodzili do domu, inni do klasy, a jeszcze inni zatrzymywali na ulicy, ażeby złożyć życzenia. Pokój tonał w różnobarwnych kwiatach. Tak było jeszcze w dniu 8 września 1939 roku”.

Mieszkała i pracowała w Nowym Kramsku ponad pięć lat. Poznała ludzi i okolicę, bogactwo kultury ludowej. Na każdym kroku napotykała „...ślady dawnej świetności tego małego, ale jakże ważnego kraiku — zwłaszcza pamiątki z czasów, gdy był on integralną częścią państwa polskiego”.

Któregoś dnia postanowiła napisać książkę o największym skarbie Babimojszczyzny — ludzie polskim, który zachował ducha narodowego. Od chwili przyjazdu do Nowego Kramska zbierała materiały, a gdy miała ich sporo, powstała książka. Manuskrypt posłała do oceny do berlińskiej centrali Związku Polaków w Niemczech. Dwaj recenzenci — Edmund Osmańczyk i Kazimierz Czerwiński zdecydowali: „Warto drukować”. Byłby to jej debiut. Ta książka nigdy nie ukazała się, a manuskrypt zaginął w gruzach zdobytego Berlina.

Pierwszego września roku pamiętnego wróg napadł



na Polskę z kraju sąsiedniego...” Henryk Jaroszyk, od 1 października 1938 roku nauczyciel w Nowym Kramsku, tak zapamiętał ten tragiczny dzień: „Samoloty bombardują spokojne wsie i miasta. Leje się krew. Staralem się zachować spokój. Dziewczęta płakały. Odwróciłem się do okna, by ukryć przed dziećmi moją rozpacz. Z odrętwienia wyrwały mnie dzwony na trwogę. Pożar we wsi. Wysłałem chłopca na zwiad. Sam zacząłem czytać dzieciom *Redutę Ordona*. Po chwili wrócił chłopiec z wiadomością, że pali się stodoła Jana Cichego. Zrozumiałem, że to prowokacja, hasło do aresztowań. Do klasy wchodzi zapłakana koleżanka Zientarówna z pytaniem: «Co robić?» «Będziemy trwać na stanowiskach do samego końca» — odpowiedziałem głośno i brutalnie. «Nie boję się — odrzekła koleżanka — trzeba zachować się godnie i odważnie». Klasa wstała i samorzutnie odśpiewała hymn Związku Polaków w Niemczech”.

Dnia 11 września najwierniejsze nowokramszczanki z głowami nisko zwieszonymi na piersi powędrowały do kacetu w Raveňsbřuck. Wśród nich była Maria Zientarówna.

— Powiedziała: Wszystkie jesteście towarzyszkami niedoli. Proszę mówić do mnie przez „ty” — wspomina Maria Tomaszewska, która też tam była. — Jakże to, uczennica ma być równa nauczycielce? Ona miała ponad czterdzieści lat, ja byłam dziewczyną. Przecież w szkole Maria mówiła o godności, o szacunku dla starszych...

Nauczycielka obecnej szkoły podstawowej w Nowym Kramsku, Elżbieta Krawiec, od szesnastu lat uczy dzieci. Na swój sposób kontynuuje dzieło Marii Zientary-Malewskiej. Po ukończeniu sławnego Liceum Pedagogicznego w Sulechowie osiadła tu, wyszła za mąż i tak pozostała.

— Prowadziłam nauczanie początkowe i śpiew. Te-

raz jestem kierowniczką świetlicy. Czy trudno uczyć w szkole, która ma bogate tradycje? Młodzież nie pamięta tamtego, młodym się zdaje, że nigdy nie było wojny, że zawsze tu była Polska i Obrą płynęła jak dziś — ale zaraz wskazuje ręką na cmentarz.

Tak, tylko ten wiejski, zadbany cmentarz przypomina lata walki. Te skromne mogiły tworzą historię wsi, całych rodzin, Polski.

Wśród nowokramskich nauczycieli ani jednego kramiana, wszyscy przyjezdni. Dyrektor Antoni Jakubowski jest rodowitym warszawianinem. Podobnie jak Elżbieta Krawiec, wybrał to miejsce raczej przypadkowo, ale dzisiaj nie ruszyłby się nigdzie. Zżył się z ludźmi, korzeniami wrósł w tę ziemię i pije jej soki.

— Żeby być dobrym nauczycielem, trzeba przede wszystkim kochać dzieci. Wymagać, ale i świecić przykładem. Oceniać obiektywnie i sprawiedliwie. W Kramsku nie jest łatwo uczyć. Ludzie pamiętają trudne przedwojenne lata, od nas wymagają więcej niż mieszkańcy innych wsi od swoich nauczycieli.

— Tradycja tej szkoły zobowiązuje być nie tylko nauczycielem — dodaje Elżbieta Krawiec, której kuzynka przez lata wojny przechowywała kronikę szkoły. — Nasz zespół wokalny „Wiolinki” już dwukrotnie znalazł się w pierwszej trójce najlepszych podczas Harcerskiego Przeglądu Piosenki w Żaganiu. — Za pracę w ZHP Elżbieta Krawiec otrzymała odznakę honorową „Zasłużony dla Chorągwi Zielonogórskiej”.

Ludwik Tomaszewski kiwa głową, nie zgadza się z nauczycielką:

— Pani Zientarówna była inna. Ona cały boży dzień uczyła. Takich nauczycielek teraz już nie ma.

Może Tomaszewski ma rację? Musi on jednak zdawać sobie sprawę z tego, że obecnie w Nowym Kramsku nastały inne czasy. Tu Polska. Nikt nie zabrania mówić po polsku ani śpiewać po polsku, ani się modlić

po polsku. A i klub, i świetlica, i organizacje społeczne robią swoje. Łatwiej szkole? Na to pytanie Ludwik Tomaszewski nie odpowiada.

— Moja córka, Sabina Dąbrowska, też jest nauczycielką, aż w Olsztynie.

— U nas uczyła Maria z Olsztyńskiego. W Olsztynie uczy Sabina z Zielonogórskiego. Jak się to pomieszało? — dziwi się Maria Tomaszewska.

— Córka przyjechała na wakacje, to pytam, jak jej idzie. A ona, że na lekcję zaprosiła Marię Zientarę-Malewską i powiedziała, że ciocia — ona tak do niej mówi — uczyła jej matkę. — Maria Tomaszewska zwiesiła głowę, lecz nie płacze.

Ludwik dodaje:

— Co rusz pani Zientara pisze do nas listy. Teraz to już mniej, bo to ma swoje lata, ale dawniej...

— Tak, prawie dziewięćdziesiąt lat. Maria jest z rocznika mojej mamy — dorzuca Tomaszewska. — Tyle przeszła, w obozie, na poniewierce...

Chociaż czerwiec, na dworze zimno, leje deszcz, kury schowały się w stodole, pies z budy wychyla kosmaty łeb, w kuchni ciepło i przytulnie. Maria Tomaszewska zaprasza do pokoju, mówi, że tam będzie wygodniej pisać. Jakże stąd wyjść, jeżeli przyszli sąsiedzi, każdy chce coś dorzucić o swojej nauczycielce. Pamiętają ją doskonale, jakby dopiero dzisiaj rano wsiadła do autobusu i powiedziała, że zaraz wraca.

— Pisała listy. Jak ona pięknie pisała.

— Jak była młodsza, to często przyjeżdżała. Zatrzymywała się u Marii Nyckowej.

— No, nie tylko. U nas też była.

— Dobra nauczycielka...

— ... i pisarka — dodaje Ludwik Tomaszewski, który książkę *Płonące krzaki nad Obrą* miał w swojej bibliotece.

„Książka Marii Zientary-Malewskiej jest hołdem złożonym bohaterskiej przeszłości, której hasłem była wierność dla mowy, wierność dla tradycji — napisał Edward Martuszeński. — I to jest bardzo dobrze. Ale książka ta chce być zarazem wytyczną kierunkową dla dalszego rozwoju, dla przyszłości tej ziemi. To chyba jest nierealne. Powinniśmy nawiązywać do historii, ale złudzeniem jest przypuszczenie, jakoby nawiązanie wystarczyło, jakoby powrót Polski nad Nyse, Odrę i Bałtyk był tylko powrotem, a nie — zarazem i przede wszystkim — tworzeniem nowych wartości, nowego życia”.

Krytyk Martuszeński ma rację, natomiast obywatel Martuszeński nie ma racji. Tu, w Nowym Kramsku, historia jest wiecznie żywa, wyrasta z przeszłości dumnej i wraść w pracowitą teraźniejszość. Jak przed wojną ziemia była największym skarbem, tak i jest dzisiaj. Tu najwięcej w Zielonogórskim przodujących rolników, takich jak Ludwik Tomaszewski, wzorowy hodowca bydła. Tu przeplata się stare z nowym, nowego więcej. Starość to tylko doświadczenie, młodość to zapał i ambicja. Tu nikt nie odstaje. Tak też pisze o wsi i jej ludziach Maria Zientara-Malewska w *Plonących krzakach nad Obrą*.

Po wojnie pisarka, która przeszła twardą drogę życia, wróciła na Warmię i Mazury, do domu rodzinnego. Ale nie zerwała ani z Nowym Kramskiem, ani ze Złotowem, zaledwie epizodami w jej twórczym życiu. Babimojszczyźnie poświęciła *Plonące krzaki nad Obrą*, wsiom złotowskim — *Złotowszczyznę*. Cała jej twórczość związana jest z Warmią, m.in. *Warmio moja miła* (szkice), *Pieśni Warmianki* (poezje), *Baśnie znad Łyny*, *Wiersze warmińskie*. Ale są i wiersze nowokramskie, babimojskie, chociażby ten:

A pod Kolesin rzucone łąki
Ślą ci pod stopy żywe kobierce
Pełne rumianków, jaskrów i dzwonków —
Jakże się wtenczas raduje serce!

Na Wojnowskiego Jeziora fali
Odbija się obraz twój kolorowy
I sosny borów szumią pieśń wieczną
Hen pod Chwalim aż do Kargowy.

„Maria Zientara-Malewska to wrażliwa dusza kobieca, współczująca każdemu skrzywdzonemu, zaśluchana w odgłosy przyrody, wpatrzona w jej piękno; to poetka, którą urzekła polska tradycja literacka, umiłowanie ziemi ojczystej, walka o język polski, rodzime zwyczaje i obrzędy. Z wielu jej wierszy przebija ból i smutek, wywołany przez niemiecką polakożerczą politykę” — napisał Jerzy Oleksiński.

Ze Śląska, z Warmii i Mazur wyjeżdżali Polacy, zostawiali swoje sady pełne zapachu jabłek, śliwek, gruszek, domy, w których wisiały obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej, porzucali pola i łąki kaczeńcami zaniezione, wyjeżdżali nad Nekar, Ren, za Łabę. Po wojnie z Nowego Kramaska do RFN nie wyjechał ani jeden Polak. Nie wyjechał nikt, kto czuł się Polakiem. To jest największa zasługa „króla polskiego” — Jana Cichego. To także zasługa nauczycielki nowokramskiej, poetki warmińskiej — Marii Zientary-Malewskiej.

„Po wojnie miliony Polaków wróciły nad Odrę, utwierdzając was w przekonaniu, że jeden jest naród polski, że ziemia ta, dla której wasi najbliżsi żyli, pracowali, cierpieli i walczyli, jest polską ziemią. W tym dziele jest także wielki wkład wasz i waszych rodzin. Myślą łączymy się z wami pamiętając o tym, że «każdego dnia Polak narodowi służy»”.



Stefan Flukowski

Z notatek Stefana Flukowskiego w kalendarzyku kieszonkowym z roku 1939: „1 IX P. — Wojna [...] 10 IX N. — Wyjazd z Grodna [...] 13 IX Ś. — Lwów — niewola [...] 1 XI S. — Przyjazd do Stargardu [...] 6 XI P Arnswalde”. Tak dla wielu tysięcy polskich oficerów zaczęła się jesień 1939 roku. Ci, którzy nie dostali się do niewoli niemieckiej, walczyli i ginęli za Polskę. Jeńcy mogli tylko uciekać lub czekać i żyć nadzieją, że wojna niebawem się skończy, bo sojusznicy — Anglia i Francja... A potem była klęska nie tylko Francji, Norwegii, niemal całej Europy, potem było prawie sześć lat okupacji, walki i niewoli, obozów koncentracyjnych i obozów jenieckich.

Józef Bohatkiewicz, współjeńiec w Arnswalde (Choszczno) w „Dzienniku” 17 września 1940 roku zapisał: „Dzień do południa pogodny, później — pochmurno i deszcz. Wstaliśmy przed wschodem słońca, tj. o godz. 5. Po zdaniu wyfasowanych tu rzeczy zrobiono imienny apel i o godz. 10.45 wyruszyliśmy w nieznane. Po wielu miesiącach wyszliśmy za druty. Z Arnswalde pozostaną dobre wspomnienia, tam — jak na niewolę — mieliśmy znośne warunki, a dalej może być różnie. Wyjechaliśmy pociągiem towarowym (francuskie wagony, bardzo rozklekotane) o godzinie 11. W Wolden-

bergu byliśmy o 12". Jeńców „witał” niemiecki komendant obozu, generał baron von Puttkamer.

Półtora kilometra od Dobiegniewa przy szosie strzeleckiej, w polu, w sąsiedztwie byłego obozu jeńców rosyjskich z pierwszej wojny światowej hitlerowcy rękami pięciuset polskich strzelców i podoficerów zbudowali w latach 1939—1941 Offizierlager II C Woldenberg — Oflag II C. Na powierzchni dwudziestu pięciu hektarów zbudowano dwadzieścia pięć baraków murowanych o wymiarach $10 \times 60 \times 75$ m, przeznaczonych na kwatery dla jeńców, oraz sześć świetlic (sale wykładowe, pracownie, polska administracja). W centrum obozu znajdowały się dwie kuchnie, kantyna, sala teatralna, sala odczytowa i zielarnia.

W porównaniu z Auschwitz, Birkenau, Dachau, Stutthof, Gross Rosen, Treblinką Oflag II C uważany był za bezpieczny pensjonat. Marian Brandys wspominał: „Żyliśmy «za parawanem praw» — jak napisał jeden z obozowych poetów, ppor. Paprocki. Na skrawku wrogiej ziemi ogrodzonej kolczastymi drutami pozwolono nam bawić się w imitację życia z własnym teatrem i kawiarnią, z własną polityką i ekonomią, z własną pocztą, prasą, literaturą, kursami języków obcych, nawet z sądami honorowymi. Odebrano nam tylko trzy prawa: [...] do przekraczania obręczy drutów kolczastych, [...] do normalnej pracy fizycznej, [...] do wyłączania się, choćby na chwilę, z towarzystwa stu pięćdziesięciu współlokatorów baraku. To wystarczyło, aby z pobytu w «pensjonacie» woldenberskim uczynić najsroźszą torturę psychiczną, a nerwy nasze doprowadzić do stanu, który w medycynie uzyskał już naukową nazwę: choroby drutów kolczastych. W Woldenbergu ludzie nie ginęli pod obcasami esesmanów, jak w Oświęcimiu. Terapia woldenberska polegała na doprowadzeniu ludzi do obłędu”. Niemcom hitlerowskim tylko o to chodziło, co zresztą po pijanemu oficer Abweh-

raabteilung, hauptmann von Jablonsky, dobitnie wyjaśnił: „Oficerowie polscy będą siedzieli w oflagu tak długo, póki nie przegniją zupełnie fizycznie i duchowo”. I może dlatego komendantura obozu pozwoliła jeńcom zorganizować kawiarnię, teatr, imprezy kulturalne i sportowe, szkoły i uniwersytet. Ale Niemcy przeliczyli się, swoboda intelektualna przyczyniła się do wzmożenia dyscypliny, która za drutami była silniejsza niż rygory wojskowe.

Ostatniego dnia roku 1943 w obozie przebywało 6697 jeńców, w tym 4737 z wykształceniem średnim i 1161 z wyższym. Wśród nich znajdowało się wielu znakomych artystów i uczonych: rzeźbiarz Stanisław Hornopopławski, malarz Edmund Czarnecki, graficy — Marian Stępień, Stefan Michalski, architekci — Jerzy Hryniewiecki, Jan Knothe, Jerzy Staniszkis, aktorzy — Kazimierz Rudzki, Jan Koecher, Jerzy Michałowski, Ludwik Natanson, literaci — Stefan Flukowski, Edward Fiszer, Leon Kruczkowski, Władysław Milczarek.

Tęsknili. „Najprostszym sposobem oderwania się od obozowej beczynności, ciągłego rozdrażnienia, wzajemnych nienawiści i dręczących dziwactw było samobójstwo bądź ucieczka z niewoli” — napisał po latach Marian Brandys. Uciekali więc, m.in.: kpt. J. Szatkowski, por. K. Żywociński, ppor. J. Kurek. I ginęli podczas ucieczki, m.in.: ppor. Z. Siekierski, por. E. Madej, por. Z. Nowosławski, ppor. J. Kleczkowski.

Ach, isć! Móc isć w obszary! Móc na przelaj w przestrzeń!
Isć prosto, tuląc radość w płaszcz zmoczony deszczem...

— pisał w roku 1942 w *Listach z oflagu* Leon Kruczkowski. Marian Brandys zaś wyjaśniał: „Kto nie spędził kilku lat w klatce z drutu kolczastego, nie pojmie nigdy siły i głębi jenieckiej tęsknoty do wolności”.

W ciągu tylko jednego roku jeńcy polscy przeczytali

trzysta tysięcy książek z biblioteki obozowej. A potem wydawali gazetkę „Zadrucie”, organizowali imprezy sportowe, Olimpiadę 1944 roku, konkursy literackie, uroczystości narodowe, święta pułkowe, imprezy muzyczne i spektakle teatralne. Pułkownik francuski, jeńiec niemieckich oflagów, powiedział o nich: „Taki naród nie może zginąć”. I oni nucili: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”.

Bardzo aktywni byli pisarze. Stefan Flukowski, najbardziej znany literat woldenberski, przed mikrofonem radia krakowskiego w listopadzie 1945 roku wspominał: „Pierwszym jej [poezji — A.S.] wyrazem zewnętrznym na szerszą skalę było powstanie grupy poetyckiej „Zaulek” i wydawanie pod tym samym tytułem zeszytów poetyckich. Wyszło ich parę. Wiersze w kilkudziesięciu egzemplarzach były przepisywane ręcznie, każdy autor miał swoją winietę wyciętą w klocku [...] Następny był ogłoszony z racji roku olimpijskiego (1944) i z okazji wielkich zawodów obozowych konkurs na wiersz sportowy, który przyniósł kilka pięknych wyników”.

Marian Brandys swoje wspomnienia obozowe zawarł w pracy *Wyprawa do oflagu*. Pisał: „... w sąsiedniej przegrodzie dojrzałem benedyktyński profil Flukowskiego. Poeta pochylony nad swoim stolikiem z dykty, jak zwykle, spokojnie pisał. Ten spokój bardziej mnie rozdrażnił. Wściekłość uderzyła mi do głowy. Nie bacząc na autorytet Fluka, wtargnąłem brutalnie do jego sanktuarium.

— Jak pan może tak ciągle pisać! — zawołałem ze złością. — Jak można w ogóle pisać w tym domu wariatów, w tym strasznym, nieludzkim chlewie? Niech pan rozejrzy się dokoła, przecież od samego tego widoku można rozum stracić!

Musiałem wyglądać niepokojąco, bo pan Stefan — na ogół niechętnie ujawniający tajemnice swego war-

sztatu — obrzucił mnie tylko krótkim spojrzeniem zza okularów i bez słowa podsunął mi arkusz papieru, na którym znajdowało się zaledwie kilka linijek, skreślonych jego drobnym, wyraźnym pismem. Był to początek nowego wiersza:

Wsparty o grzbiet tygrysa, wstąpiłem do Sali Ech,
przede mną słoń różowy pergamin w trąbie niósł,
nade mną ciężki od gwiazd toczy się złoty wóz,
za mną moje pomysły Murzynów niosło trzech.
Przede mną wielki pergamin dźwigał najmądrzejszy ze słońi,
pisałem na nim poemat, nim w noc zdołał się zmienić
zmiernych,
nim gwiazda spadła na ziemię, nim kwiat z łodygi pierzchł,
nim lampart zdążył skoczyć, nim lew swą zdobycz dogonił...

O ile sobie przypominam, nie powiedziałem wtedy panu Stefanowi nic. Ogromne zdziwienie, jakie spłynęło na mnie z tych kilku linijek, zamknęło mi usta. Oszło mi o odkrycie, że w takim miejscu można było pisać takie wiersze.

[...] Wówczas, w strasznym baraku woldenberskim, wiersz Flukowskiego nie był oderwany od życia. Duma i piękna wizja poety wyrosła wprost z naszej spótworniałej egzystencji, aby poniżonym i ośmieszonym przypomnieć o ich prawie do dumy i wewnętrznej niezależności”.

Powstające za drutami kolczastymi wiersze były odczytywane w obozie podczas poranków literackich, na uroczystościach i spotkaniach towarzyskich, wydawane w zeszytach poetyckich albo krążyły w odpisach z rąk do rąk. Aktorzy obozowi uczyli się ich na pamięć.

Na początku 1941 roku powstała myśl zorganizowania teatru. Długo zastanawiano się, jaką sztukę wystawić, żeby cenzura niemiecka nie miała żadnych pretensji i zadowolić towarzyszy niewoli jenieckiej. Wybrano *Piękną Helenę* Jakuba Offenbacha, autora francuskiego z nazwiskiem brzmiącym po niemiecku.

„Praca nad ożywieniem pięknej królowej greckiej, o którą tak zawzięcie wodzono się za lby pod Troją, odbywała się przeważnie w naszym baraku — wspominał Marian Brandys — gdyż u nas mieszkał najwyższy w obozie sędzia spraw artystycznych, wybitny «pisarz z nazwiskiem» — Stefan Flukowski. Miejszem zebrzań teatralnych był tzw. Kącik Fluka — wąski przedział między trzypiętrowymi pryzkami, gdzie stał mały stoliczek przymyślnie zbity z dykty, przy którym wychudzony i przeważnie cierpiący pan Stefan pisywał niestrudzenie swe piękne wiersze i prowadził zakonspirowane kursy historii literatury dla szeregowych i podchorążych z tzw. drużyn roboczych. W czasie zebrzań teatralnych, dla zrobienia miejsca gościom, pisarz przenosił się na swoje piętrowe wyro i leżąc na nim, jak Sienkiewiczowski Petroniusz po porannej kąpieli, patronował z góry pracy twórczej, która w zasadzie odbywała się na poziomie łóżek dolnych”.

W Woldenbergu pracowały dwa teatry — oficerów i szeregowych oraz kukielkowy, a wystawiane sztuki budziły podziw i uznanie nie tylko jeńców, ale i delegacji Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej (YMCA) czy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża (IRC), czy nawet niemieckiej komendantury obozu. Grano przede wszystkim sztuki powstające za drutami w Woldenbergu, m.in. *Tęsknotę za Julią* Stefana Flukowskiego, *Jajko Kolumba* Flukowskiego i innych. Latem 1942 roku „pisarz z nazwiskiem” wszedł w skład kierownictwa teatru i jakiś czas był jego kierownikiem literackim. Z powodu odrzucenia jego nowej sztuki przez kierownictwo teatru, zrezygnował z funkcji. Zresztą sprawa ta nabrała rozgłosu i była rozważana przez najwyższe władze obozowe.

Nadzieja na rychłe zwycięstwo, zorganizowana praca kulturalna, społeczna i polityczna były dla nich najlepszym lekarstwem na chorobę drutów kolczastych.

Na powitanie roku 1941 jeńcy śpiewali: „Weźmy w płuca oddech szerszy, niech żyje czterdziesty pierwszy, chociaż pierwszy, głowę dam, tu ostatni będzie nam”. A potem był: „Oddech długi, niech żyje czterdziesty drugi”. I: „Jak ten czas nam szybko leci, niech żyje czterdziesty trzeci”. I jeszcze: „Oddech zwarty, niech żyje czterdziesty czwarty”. Wreszcie: „Już się walą wszystkie fronty, niech żyje czterdziesty piąty”.

Dnia 24 stycznia 1945 roku, w sobotę został wydany rozkaz o ewakuacji obozu. „Stało się więc, że po pięcioletnim pobycie w Oflagu II C przeszliśmy przez otwartą na oścież bramę obozową i ruszyliśmy w świat. Niestety, nie odbyło się to tak, jak sobie wyobrażaliśmy w naszych pięcioletnich marzeniach jenieckich. Wprawdzie nie było w naszej kolumnie pułkownika St., usiłującego oderwać nas od kraju i los oszczędził nam sądów kapturowych «żelaznej gwardii» oraz innych krwawych awantur, niemniej maszerowaliśmy na zachód. Razem z Niemcami oddalaliśmy się od kraju i uciekaliśmy przed ofensywą, która niosła nam wyzwolenie”.

W dniu 29 stycznia kolumna jeńców przeszła przez Barlinek i dotarła do majątku Deetz (Dziedzice). W nocy z 29 na 30 stycznia Niemcy uprowadzili około dwóch tysięcy ludzi z 4 i 5 batalionu — na długą tułaczkę — marszem do Hamburga, Lubeki i Murnau. Wczesnym rankiem 30 stycznia trzy czołgi radzieckie ze zgrupowania pancernego generała Katukowa wkroczyły do Deetz, a o godzinie 12 już nie było jeńców, znowu byli żołnierze polscy. Wracali do Polski, wracali przez zniszczony Barlinek, miasto ich pierwszego dnia wolności.

Z notatek Stefana Flukowskiego w kalendarzyku kieszonkowym: „1 II C. — Pobył w Alt Karbe [...] 3 II S. — Wieleń, przekroczenie granicy polskiej [...] 5 II P. — Goraj, 6 II W. — Lubasz, 7 II S. — Odjazd pociągiem”.

Nie ma żadnej pewności, czy obozowy kolega Flukowskiego, Władysław Milczarek, w powieści *Królowa matka* akurat opisał Barlinek lat tuż powojennych. Jeżeli nie — być może akcja tej powieści rozgrywa się najpierw w pobliskim Choszcznie czy Kostrzynie, potem w sąsiadujących z Barlinkiem Boleszkowicach — to i tak warto zapamiętać ten widok: „Chodniki pod zwałami gruzów, jezdnia zredukowana do wąskiej ścieżki. Szedłem więc środkiem, klucząc po czarnej granitowej kostce połyskującej złudnie jak woda. Po jednej stronie wypalone kamienice z wybrzuszeniami murów grożących zawaleniem, z resztkami kaflowych pieców, fragmentami wytapetowanych izb. Mury porysowane i odarte z tynku, drzwi i okna wysadzone z futryn. Po drugiej stronie jezdnia miasto skoszone do parterów, miejscami nawet do piwnic, puste fasady, okopcone oczodoły okien. A nad tym wszystkim obojętne niebo i słońce jak bania pełna żaru. Wiedziałem, że przez to miasto spore i zasobne, obrosłe historią jak głązy mchem, przewalały się dwie największe armie świata, ale nie przypuszczałem, że to będzie aż takie trzęsienie ziemi. Ani jednej żywej duszy!”

Barlinek miał szczęście do ludzi. Ludzie byli jedy-nymi sprawcami szybkiej odbudowy miasteczka położonego z dala od wielkich centrów kultury, wśród lasów sosnowych, nad czystymi jeziorami. Ci ludzie, przybyli z różnych stron Polski, od pierwszego dnia wolności interesowali się kulturą i sztuką, tworzyli klimat do wielu inicjatyw społecznych. Przez kilkanaście powojennych lat przewodził im burmistrz — Tadeusz Michalczyk, człowiek powszechnie lubiany i szanowany, erudyta. We wszystkich poczynaniach pomagał barlińczykom prezes Myśliborskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego — Stanisław Skarbieński, zarazem gospodarz powiatu myśliborskiego. O tamtych latach wielu barlińczyków mówi, że MTSK działało na-

prawdę, nie na papierze. Burmistrz był człowiekiem nietypowym, nie mieścił się w uniformie urzędnika państwowego. W magistracie bywał najrzadziej. Często można było go spotkać nad jeziorem, gdzie prowadził długie rozmowy z tworzącymi tu literatami. Potrafił znaleźć wspólny język z dziwakiem — jak wspominają barlińczycy — Janem Papugą (Zofia Nałkowska: „Doskonały nowy talent — Papuga Jan. Typ tematu obcy mi: egzotyka, zabicie lwa, krótki romans z Arabką, która tego chciała. Ale zwięzłość, spokój, istotność, dobry gatunek. Uczuwałem szczęście, że to jest”), zachęcić Jerzego Pachlowskiego do pisania w Barlinku. Podczas tych rozmów nad jeziorem ktoś z literatów podpowiedział burmistrzowi, że tędy wracał z niewoli Stefan Flukowski.

W odpowiedzi na zaproszenie Flukowski pisał: „Jestem bardzo zobowiązany za tak serdeczne i hojne zaproszenie do Was, do Waszego pięknego zakątka (bo takie wrażenie zachowałem z czasów ewakuacji — styczeń 1945 r.) [...] Sądzę, że właśnie w okresie 20—25 maja będę mógł zawitać do Barlinka, na razie na krótko — zapoznanie się, spotkanie autorskie — aby gdzieś w tym roku czy następnym przyjechać na parotygodniowy pobyt i z szerszymi planami. Bo tak myślę, że najważniejsze na razie poznać się osobiście, pogadać. Będzie to dla mnie też zaszczyt, jak i Wasze tak serdeczne zaproszenie” (18 kwietnia 1966 roku).

Pierwszy raz poeta przyjechał do Barlinka 3 maja 1966 roku i jeszcze tego samego dnia wziął udział w spotkaniu z czytelnikami w internacie szkolnym. Między Flukowskim a burmistrzem zawiązała się przyjaźń, która trwała do śmierci starszego.

— „Panie Tadeuszu, jakaż to wielka szkoda została wyrządzona miastu przez zasłonięcie zielonej ściany lasu tymi betonowymi budynkami wytwórni prefabrykatów budowlanych. Jak tak można...”

Wymieniali korespondencję; pierwszy list, było ich siedemnaście, pochodził z 18 kwietnia 1966 roku, ostatni — z marca 1972 roku. Z listów Stefana Flukowskiego do Tadeusza Michalczyka:

„Jeszcze w Myśliborzu p. kierownik biblioteki wręczył mi dane o konkursie literackim, ale niestety nie bardzo potrafię pisać na konkursy, więc i tu nic nie wyszło. Ale to nie znaczy, abym jednej rzeczy nie zaczął, związanej z Waszym regionem, trochę to potrwa, bo pracuję dość wolno i mam kilka dużych a dawnych zobowiązań wynikających z umów” (20 sierpnia 1966 roku).

„O ile to by Wam odpowiadało, to chciałbym ile się da razy wygłosić pogadankę o Skłodowskiej-Curie z racji rocznicy — po szkołach, klubach, świetlicach. Wystarczy, jeśli dacie małe honorarium, a gdzie trzeba to gratis, nawet wszystko może być gratis (tylko tajemnica), jeśli będę miał dwa spotkania pełnopłatne” (11 września 1966 roku).

Spotkania odbywały się często, nie tylko w Barlinku, ale i w Myśliborzu, i w Szczecinie, do którego poeta od pierwszych powojennych lat jeździł. Tadeusz Michalczyk tak zapamiętał autora *Horyzontu Afrodyty*: „Starszy pan, wysoki, szczupły, z założonymi do tyłu rękami, w jasnych spodniach i koszuli z wysoko zawiniętymi rękawami, nie wyglądał na człowieka tryskającego zdrowiem. Świadczyła o tym raczej blada cera i to, że często rezygnował z obiadu w miejscowej restauracji «Gryf», w której się stołował. Chód miał jednak prawie sprężysty, ruchy bardzo celowe i skoordynowane, a cała sylwetka prosta i dość wyniosła — poza lekkim pochYLENIEM głowy do przodu”.

Do Barlinka przyjeżdżało wielu pisarzy, mieszkali w ośrodku wypoczynkowym nad jeziorem, stołowali się w restauracji na koszt miasta. Wtedy nikt z barlińczyków nie pytał, dlaczego za ich pieniądze burmistrz u-

trzymuje gości. Ludzie wiedzieli, że tym pobylem, spotkaniem w klubach i szkołach, książkami i artykułami pisarze odpłacają się miastu. Spotkania z Flukowskim, Papugą, Pachlowskim trwały nie godzinę, lecz wiele godzin, po kilka dni w tygodniu. Barlińczycy wiedzieli także, że goście nie biorą pieniędzy za udział w spotkaniach, że za gościnność i serdeczność płacą sercem i wiedzą.

Dnia 12 czerwca 1967 roku Tadeusz Michalczyk pisał: „Przypuszczając, że zamierza Pan z Małżonką udać się gdzieś poza Warszawę na wypoczynek, pozwalam sobie w imieniu naszego Oddziału MTSK zaproponować wypoczynek w Barlinku. Kwaterę w prywatnym domu w lesie nad jeziorem możemy we własnym zakresie przygotować z nadzieją korzystania z kuchni [...] Kwatera będzie gotowa już od 1 lipca br. [...] W tym czasie będzie u nas na wypoczynku także pan Jerzy Pachlowski”.

Poeta przyjechał do Barlinka na jedenastodniowy wypoczynek 22 lipca 1967 roku. Burmistrz, powitawszy go na dworcu, wskazał pokój nad jeziorem, a on zrezygnował z tej kwatery i zamieszkał w budynku przy ulicy 1 Maja 28, blisko restauracji „Gryf”, w samym sercu miasta, gdzie największy ruch samochodowy, hałas i tłumy ludzi. W tym mieszkaniu pisał pracę o Juliuszu Słowackim.

„Poeta niemal ciągle pracował w czasie tego «wypoczynku». Kiedy jednak musiał wytchnąć po wielu godzinach pracy, wówczas można Go było zobaczyć przechadzającego się leśną promenadą nad jeziorem — najczęściej w towarzystwie szczecińskiego literata Jerzego Pachlowskiego, który tutaj również swój wypoczynek wykorzystywał na pracę nad swoją nową książką. Często jednak taki spacer odbywał Poeta samotnie; siedł wówczas jakąś peryferyjną uliczką, kończącą swój wyłot prawie zawsze w lesie”.

Z listów autora *Xawerego Dunikowskiego* do burmistrza:

„...a więc znów daleko, ale tylko fizyczną stroną mego indywiduum, od kochanego Barlinka [...] jedenaście dni swoje zrobiło, że głęboko zapadł w pamięci, w sercu, jest obecnie konkretem wyobraźni i pamięci [...] Żona każe mi dopisać, że we wrześniu musimy być w Barlinku oboje. Koniecznie” (3 sierpnia 1967 roku).

„Będę na Zjeździe w Szczecinie 22—24 bm., dopiero dziś się to rozstrzygnęło, to raz. Następnie do Barlinka chcielibyśmy zajechać po Zjeździe, ponieważ teraz czeka nas masa roboty tutaj i różne kłopotliwe sprawy domowe. Żona ostatnio się rozchorowała i jeszcze to weszło w paradę, przyczyniając wiele kłopotu. A więc zobaczymy się wkrótce, myślę, że wygospodarujecie jakąś pogodę dla nas. Ja mam nadzieję, że żonie pomoże na serce Wasz klimat” (11 września 1967 roku).

„Roboty zatręśnienie, pewnie i Panu jesienią jej przybywa. Ciekawym, jak tam posunęły się roboty koło centralnego ogrzewania?” (26 września 1967 roku).

Podczas spotkania z czytelnikami świnoujskimi w maju 1972 roku Stefan Flukowski zmarł nagle. Było to najsmutniejsze przeżycie dla barlińczyków, odszedł od nich wielki człowiek, który pierwszy dzień wolności witał w ich mieście wtedy, gdy oni szykowali się do wielkiej podróży nad Odrę. Odszedł jeden z „kwadrygowców”, wielki poeta, prozaik, dramaturg, eseista i tłumacz. Żołnierz Września.

We wstępie do *Poezji wybranych* S. Flukowski pisał: „Unikałem liryki osobistej, jestem zwolennikiem liryki obiektywnej, takiej, która zajmuje się sprawami międzyludzkimi”. Antoni Chojnacki dowodził, że „Głównym tematem całej twórczości Flukowskiego jest współczesna kultura, czyli to wszystko, co człowiek stworzył i w kręgu czego żyje. Pisarz dostrzega jej globalne

kszałty i poszczególne cegielki, widzi ją w historycznym rozwoju i w «ponadokresowej» niezmienności”.

Jesienią smutnego roku 1972 zrodziła się myśl, aby muzeum poety znajdowało się nie w Warszawie, nie w Krakowie, ani w Szczecinie, lecz w Barlinku. Wniosek barlińczyków poparła żona poety, która 28 lutego 1973 r. pisała do Karola Czejarka, ówczesnego kierownika Wydziału Kultury i Sztuki Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie: „...Muszę Pana powiadomić, że Barlinek jest mi bliższy i darzę go uczuciem, jakie żywił dla Barlinka mój Mąż.

Kiedy za życia Jego rozmawialiśmy, snując projekty, że najlepiej byłoby po śmierci (oczywiście załatwiwszy za życia) urządzić ze zbiorów naszych, zarówno biblioteki, jak obrazów i rzeźb, jak i nawet części umeblowania — Muzeum Stefana Flukowskiego [...] W żadnym razie nie pragnęliśmy, by to muzeum było w Warszawie, gdzie nie dbają ludzie o takie wartości. Tak się szczęśliwie składa, że Mąż był w Barlinku po wojnie kilka razy, z czego raz parę tygodni, napisał tam kilka rozdziałów powieści *Tęcze i pioruny* [...] przechodził kilka razy przez Barlinek w czasie ewakuacji obozu jeńckiego i powracał przez Barlinek uwolniony z niewoli — więc jest, był związany uczuciowo z tym miejscem”.

W metropolitarnym wobec Barlinka Szczecinie, gdzie znajduje się Muzeum Narodowe, ogromna biblioteka, teatry, szkoły wyższe, nikt się nie sprzeciwiał propozycji żony zmarłego poety. Kierownik barlineckiego muzeum, Czesław Paśnik, przystąpił do wykonywania polecenia wojewódzkich władz kulturalnych i życzenia Marii Flukowskiej, która już w swoim warszawskim mieszkaniu segregowała pamiątki po autorze *Rzeki gwiazdy*.

Z listów Marii Flukowskiej do Czesława Paśnika:

„Będę mogła zająć się pracami związanymi z twór-

czością Męża i muzeum w Barlinku. Oceniam, że materiał cały do urządzenia na razie jednego pokoju Muzeum Stefana Flukowskiego uda mi się przygotować do września. Będzie to: stół, przy którym najwięcej pracował, krzesło i fotel, 2 oszklone szafki-półki z książkami, skatalogowanymi, łóżko-półka, obrazy, fotografie i trochę rękopisów luźnych" (23 czerwca 1973 roku).

„Bo może byłoby najładniej urządzić uroczyste otwarcie Muzeum Stefana Flukowskiego w drugą rocznicę Jego zgonu, tj. gdzieś około 8 maja 1974. Między piątym a ósmym. W połowie kwietnia przewiozłoby się rzeczy wszystkie i w ciągu dwóch tygodni urządzilibyśmy wszystko. Jednak jeśli chcielibyście Panie wcześniej, to na styczeń przygotuję rzeczy na urządzenie jednego pokoju. I myślę przekazać opiekę nad Muzeum i przekazać te rzeczy dla Muzeum na ręce Towarzystwa Miłośników czy Przyjaciół Barlinka" (16 listopada 1973 roku).

„Prawdopodobnie w lutym, najdalej w marcu będę w Zielonej Górze u przyjaciół [...] Stamtąd, podobno, niedaleko do Barlinka, więc przyjechałabym dla dostatecznego omówienia wszystkich zagadnień" (28 stycznia 1974 roku).

„Zaświadczenie

Zaświadczam, że transportowane są obrazy, księgozbiór i rzeczy z warsztatu pracy pisarskiej S. Flukowskiego (z Warszawy) do Muzeum Regionalnego w Barlinku celem urządzenia ekspozycji.

Maria Flukowska"

Ostatniego dnia maja 1974 roku pamiątki z warszawskiego mieszkania poety były już w Barlinku. Wśród nich znajdowały się: rzeźby Xawerego Dunikowskiego — *Głowa Flukowskiego* i *Dante*, obraz olejny Stanisława Ignacego Witkiewicza — *Portret Znajomego*, meble: stół, przy którym poeta pisał od roku 1946 do końca życia, dwa krzesła i fotel oraz 744 książki polskie,

102 rosyjskie i 47 angielskich. Tego dnia, protokołem spisany w Urzędzie Miasta i Gminy w Barlinku, Maria Flukowska przekazała pamiątki Towarzystwu Miłośników Barlinka. Ofiarodawczyni zaznaczyła, że zbiory zostały przekazane w formie darowizny i są przeznaczone do stałego eksponowania w Muzeum Stefana Flukowskiego w Barlinku. W protokole, podpisanym przez Zarząd TMB, Maria Flukowska zastrzegła sobie:

„1. Niewypożyczanie eksponatów jakimkolwiek placówkom muzealnym, innym instytucjom oraz osobom fizycznym.

2. Korzystanie z księgozbioru tylko i wyłącznie na miejscu w Muzeum.

3. Zbiory powinny służyć celom społecznym, a właścicielem ich na zawsze pozostaje społeczeństwo miasta Barlinka, reprezentowane w momencie zawierania porozumienia przez Towarzystwo Miłośników Barlinka”.

Towarzystwo nie wносиło żadnych uwag. „Towarzystwo Miłośników Barlinka przyjmuje na siebie wszelkie zobowiązania, spełniając w ten sposób ostatnie życzenie zmarłego Poety, związanego głębokimi więzami emocjonalnymi z Ziemią Szczecińską i miastem Barlinkiem”.

W protokole zaznaczono także, że „Nieprzestrzeganie w/w zastrzeżeń automatycznie powoduje rozwiązanie powyższego porozumienia”. Ze strony Towarzystwa nigdy do tego nie doszło.

Barlineckie Muzeum Stefana Flukowskiego powstało 4 czerwca 1974 roku. Tego samego dnia na budynku, w którym tworzył poeta, umieszczono tablicę: „Tu mieszkał Stefan Flukowski poeta—pisarz 1902—1972”.

Odtąd Maria Flukowska utrzymywała kontakty z Towarzystwem za pośrednictwem Czesława Paśnika. W licznych rozmowach i listach obiecywała uzupełnić zbiory muzealne o inne pamiątki po autorze *Słońca w kieracie*, m.in. o obrazy Xawerego Dunikowskiego, Ma-

rii i Stanisława Dawskich, grafiki Lama i Dawskiego. Osobiście bardzo interesowała się funkcjonowaniem placówki. „Obejrzeliśmy tylko lokal — pisała do Czesława Paśnika — który ma pomieścić Muzeum mego Męża. Zawsze będę pamiętała Pana Drogiego ofiarność, pracę i wysiłek, poniesione dla urządzenia początków Muzeum S. Flukowskiego w Muzeum Regionalnym Pana”.

Od chwili otwarcia muzeum odwiedzali je byli jeńcy woldenberscy. To oni postanowili, że Barlinek — obok muzeum biograficznego Stefana Flukowskiego — powinien być siedzibą muzeum woldenberczyków. Prężne środowisko szczecińskie wraz z prezesem woldenberczyków W. Kotańskim przystąpiło do zbierania pamiątek z lat niewoli; niebawem placówka była czynna. Muzeum woldenberczyków mogło powstać w Dobiegniewie, mogło istnieć w Dziedzicach, powstało jednak w Barlinku, który dla większości byłych jeńców był miastem pierwszego dnia wolności. Wydawało się, że zlokalizowanie obu instytucji w Barlinku jest wyjściem najrozsądniejszym.

W roku 1975, w wyniku nowego podziału administracyjnego kraju, Barlinek znalazł się w granicach województwa gorzowskiego. Tadeusz Michalczyk już nie był burmistrzem miasta. W rok później pracownicy Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Szczecinie pośpiesznie zabrali z Muzeum Stefana Flukowskiego kilka najcenniejszych eksponatów, m.in. rzeźbę Xawerego Dunikowskiego *Dante*, obraz Stanisława Ignacego Witkiewicza, stół i krzesło Stefana Flukowskiego oraz część biblioteki Marii i Stefana Flukowskich. Józef Lenart, który wtedy był obecny w Barlinku, twierdzi, że eksponaty nie były zabrane, lecz wypożyczone. Po zakończeniu wystawy miały wrócić do prawnitego właściciela, czyli Towarzystwa Miłośników Barlinka,

Podobno — nie ma na to żadnych dowodów — Maria Flukowska zgodziła się, aby te eksponaty wypożyczyć do powstającego w Szczecinie Muzeum „Kwadrygi”. W latach powojennych w Szczecinie mieszkali: Konstanty Ildefons Gałczyński, Nina Rydzewska — członkowie byłej grupy poetyckiej „Kwadryga”, do której należeli także: Stanisław Ryszard Dobrowolski, Władysław Sebyła, Aleksander Maliszewski, Lucjan Szenwald. Muzeum „Kwadrygi” nie powstało w Szczecinie, w Bibliotece jest tylko Sala Stefana Flukowskiego, w której umieszczono barlineckie pamiątki po poecie. Jesienią 1976 roku Maria Flukowska zmarła, a Muzeum Regionalne w Barlinku rozpoczęło starania o zwrot wypożyczonych pamiątek.

Do Barlinka przestali już przyjeżdżać literaci, czasem ktoś spotykał się z czytelnikami w bibliotece, ale odbywało się to jako akcja wojewódzka. Gdyby nie wpisy w kronice księżnicy, trudno byłoby ustalić, kto i kiedy bywał w Barlinku. Towarzystwo, pozbawione prężnego prezesa, działało już tylko na papierze, władze miejskie zajęły się codziennymi sprawami mieszkańców. Wtedy w Barlinku osiadł pisarz Bronisław Słomka. Miał do wyboru Szczecin, Gorzów i Barlinek.

— Odpowiada mi życie w małym mieście. Tu także można pisać. Dość duża odległość od znaczących centrów kultury wcale mi nie przeszkadza, gdyż nie lubię kawiarni, plotek, układów. Najlepiej czuję się w swojej samotni. Na pewno wiąże się to z moim charakterem. Ale zamieszkiwanie na dalekiej prowincji wcale nie oznacza, że zerwałem wszelkie kontakty ze szczecińskim środowiskiem literackim. Dwa lata temu, dojeżdżając do Barlinka, byłem sekretarzem organizacji partyjnej literatów w Szczecinie. — Wtedy pisarz był dziennikarzem w „Głosie Szczecińskim”, obecnie pracuje w redakcji tygodnika „Ziemia Gorzowska”. — Zmiany w

podziale administracyjnym Polski znaczą dla mnie niewiele. Jako pisarz nie uznaję żadnych granic, to znaczy, że utrzymuję identyczne kontakty ze środowiskiem szczecińskim i zielonogórskim.

Już w Barlinku Bronisław Słomka napisał powieść *Mrówka*, której akcja dzieje się na wsi podbarlineckiej, ale książka jest wynikiem jego barlineckich doświadczeń. Podobnie było z poprzednimi powieściami, *Karuzela* i *Guliwer* powstałymi w Myśliborzu, gdzie zamieszkiwał. Można odnaleźć w nich tamtejsze uliczki, ludzi, język.

— W *Mrówce* przedstawiłem mechanizm tworzenia się nowej warstwy społecznej — chłopów-robotników. Chodząc ulicami mojego miasta, stojąc w kolejkach sklepowych, czekając na autobus, rozmawiając z ludźmi prostymi i urzędnikami, zapisywałem w pamięci barlińczyków, ich język, obyczaje, problemy, troski i nadzieje. Akcja *Mrówki* kończy się w roku 1979. Obecnie pracuję nad drugim tomem powieści, który dotyczy lat współczesnych. Będzie i tom trzeci. Zamierzam napisać tryptyk barlinecki i w ten sposób pokazać miasto, które mnie przygarnęło. Będzie to i spleta kredytu.

Pisarz ma pretensję do krytyków, bo *Mrówka* przeszła przez rynek czytelniczy bez rozgłosu. Pojawiły się jedynie trzy recenzje, wprawdzie bardzo pochlebne, ale w prasie regionalnej. Jego zdaniem, każda książka, nawet wybitna, potrzebuje wsparcia krytyków, reklamy. Ta powieść ukazała się w księgarniach w nieszczęśliwym czasie, bo późną jesienią 1981 roku.

— Aby pisać, wcale nie trzeba wybierać specjalnego miejsca. Ważne jest jedynie to, co pisarz ma do przekazania. A że w Barlinku bywało tylu literatów, to zasługa ówczesnych władz i klimat sprzyjający wyzwalaniu pomysłów, bo woda, lasy żywiczne i położenie z dala od niekiedy męczącej nowoczesności.

Bronisław Słomka mieszka na tej ziemi prawie od urodzenia, pokochał ją, wybrał i jest jej wierny. Okolice barlineckie są szczęśliwe dla twórców, dla kultury, dla ludzi szukających wytchnienia po męczącej pracy w fabryce.

W dniu 28 października 1980 roku kierownik Muzeum Regionalnego, Józef Krupa, napisał list do dyrektora WiMBP w Szczecinie: „Muzeum Regionalne w Barlinku w porozumieniu z Towarzystwem Miłośników Barlinka zwraca się z prośbą o zwrot dzieł sztuki, dokumentów, wydawnictw i pamiątek biograficznych wypożyczonych tamtejszej Bibliotece z Muzeum Stefana Flukowskiego (obecnie Oddział Muzeum Regionalnego) przez panią Marię Flukowską, ówczesnego kustosa muzeum”.

Na to dyrektor WiMBP w Szczecinie 4 listopada 1980 roku odpowiedział: „...literacka spuścizna po Stefanie Flukowskim, jego księgozbiór, osobiste pamiątki i przedmioty, jak również dzieła sztuki zostały przekazane Książnicy Szczecińskiej w roku 1976 przez żonę poety, p. Marię Flukowską, która osobiście kierowała akcją przejmowania przez naszą Bibliotekę wymienionych zasobów. M. Flukowska patronowała także tworzonemu na jej życzenie muzealno-literackiemu działowi Książnicy Szczecińskiej, noszącemu imię Stefana Flukowskiego. Wymienione dary stanowią inwentarzo-wo ujętą własność naszej Biblioteki”.

— Znajdują się one także w spisie inwentarza tego muzeum — dodaje Józef Krupa.

Spór o pamiątki po poecie trwa. Z korespondencji w tej sprawie można by urządzić jeszcze jedno muzeum. Liczny zbiór stanowią taśmy magnetofonowe z zapisem głosów przyjaciół i rodziny Stefana Flukowskiego. Zdaniem dr Haliny Leszczyńskiej, córki Marii i Stefana Flukowskich, dyrektor Książnicy Szczecińskiej nie

dotrzymał słowa danego jej matce. Barlinek ma prawo do posiadania zbiorów po Stefanie Flukowskim. Halina Leszczyńska obiecywała wzbogacić zbiory muzealne w Barlinku o kilka zachowanych w jej mieszkaniu pamiątek po poecie.

„Cokolwiek bym przekazywała, przekażę do Barlinka...”

1983 rok



Włodzimierz Korsak

„Las mi powiedział: «Czemu wy, ludzie, jesteście nie-raz tak smutni, bezradni? Czemu myślicie tylko o swoich troskach, biedach i udrękach? Bo zapomnieliście o Matce-Przyrodzie, która mogłaby was przytulić, pocieszyć, wskazać właściwą drogę. Boście odeszli daleko od przyrody. Boście tę swoją Matkę-Przyrodę porzucili, Matkę, która was przed milionami lat na świat wydała, która was karmiła i odziewała, która z was zrobiła — ludzi»”.

Któryś już raz uważnie przeczytałem ostatnią książkę Włodzimierza Korsaka: *Las mi powiedział...* i pomyślałem sobie, że „Nie było nas, był las — nie będzie nas, będzie las”. A on jakby stał za mną i słyszał to, i wiedział, że musi odpowiedzieć jeszcze jednemu wychowanemu w epoce sputników, komputerów, bomb atomowych, kolorowych telewizorów. Odrzekł najgrzeźniej, pouczająco, jak gawędziarz profesor Grzegorz Rahoza lubelskim harcerzom na obozie w Lubniewicach: „Mniemanie to wiele szkody przyniosło. Dziś każdy, kto nad kwestią lasu zastanowi się, musi dojść do przekonania, że najwyższym obowiązkiem zarówno społeczeństwa, jak i pojedynczych jego członków jest chronić wedle sił las od zagłady, pielęgnować go i szanować tak, aby wnuki i prawnuki nasze takie same ko-

rzyści z niego mieć mogły”. Zarumieniłem się, zawstydzilem, przyrzekłem — nie jemu, lecz w ogóle — broń lasu i tego wszystkiego, co żyje z sosnami, świerkami, dębami w zgodzie. Stałem się zagorzałym bojownikiem o nasze lasy, przystąpiłem do zgromadzenia zielonych. Zielonych, czyli miłośników lasu i przyrody. Zrozumiałem czytając *Las mi powiedział...* wezwania autora, prostotę myśli i wysokość celów. Nie znam lasów witebskich, przyrody aszchabadzkiej, wileńskiej, znam tylko lasy lubuskie, podgorzowskie, te, w których zbierałem grzyby i jagody, wycinałem leszczyne na wędziska. Ale wierzę Korsakowi, że „...ziemia nie należy do człowieka — człowiek należy do ziemi”. Człowiek rodzi się, rośnie, kształci się, pracuje i odchodzi. Dokąd? Do ziemi. Najwyżej marmurowe tablice przypominają, że był i żył. Pokolenia zapominają. Pokolenia znowu rodzą się, rosną, kształcą się, pracują i odchodzą. Do ziemi. Na piaszczystych wzgórzach między tujami, sosnami, brzozaami płaczącymi ostatnie miejsce każdego człowieka. W ziemi i między drzewami. Miejsce jednostek i milionów. Prostych i zasłużonych. Na zawsze. Na wieki. A las?

Od kwietnia do końca września Lubniewice witają wczasowiczów. W lasach, nad jeziorami wyrosły domki drewniane, hoteliki, boiska, parkingi. Wszystko dla gości, którzy pobędą tu dwa—trzy tygodnie. Potem przyjadą następni. I znowu następni.

— Dlaczego wczasowicze narzekają na kierowników ośrodków wypoczynkowych? Dlaczego nikt nie powie, nie napisze, że to ludzie winni, ludzie-turyści, ludzie-myśliwi, ludzie-wczasowicze? Wkręcę żarówkę, to ją ukradną. Posadzę drzewko, tatuś wyłamie je synowi na łuk. Proszę zobaczyć nasz las: papiery, puszki, butelki, kora pocięta nożami, złamane gałęzie. Kto to robi? Po co? Ja? — spytał mnie kierownik lubniewickiego ośrodka wypoczynkowego „Warta-Tourist”. — Niech

pan o tym napisze. Dziennikarze szukają sensacji, widzą zło we mnie, w pracownikach ośrodka, lecz nie we wczasowiczach. Oni płacą i wymagają! Niech pan to napisze — powtórzył i wziął mnie pod ramię, i zaprowadził do lasu sosnowego, między drzewa wysokie i okaleczone, i pokazał ten śmietnik.

Chyba nic nie odpowiedziałem. A może rzekłem wymijająco, że ludzie przyjezdni na pewno są winni, ale i kierownictwo ośrodka też nie jest bez grzechu...

W jesiennym lesie-parku lubniewickim spotkałem stare drzewa, liczące około dwustu lat. Nad samym jeziorem rozsiadł się wygodnie zamek pełen antycznych oraz starochrześcijańskich rzeźb i detali architektonicznych, przywiezionych tu aż z Włoch przez dawnych właścicieli zamku — Waldowów. Przy ulicy Gorzowskiej drzemie staruszek pałac z końca osiemnastego wieku. Wzdłuż brzegów jeziora opalają się plaże i przystanie, pastelowe pudełeczka domków letniskowych, tłumy obrązowionych i trochę znudzonych wczasowiczów, wygrzewają się we wrześnieowym słońcu kominy jadalni i pralni. Tylko to jezioro, wielkie, rozległe szemrze delikatną falą przy brzegach. Gdyby ono mogło mówić ludzkim głosem, powiedziałoby...

— ... że jest brudne. Najbrudniejsze. Nie myjcie rąk, twarzy, idźcie dalej, do lasu. To wynik cywilizacji i głupoty — mówił Witold Stadnik, prezes Towarzystwa Miłośników Lubniewic. — Jezioro znajduje się na końcu drogi prowadzącej do zupełnej katastrofy ekologicznej.

Jezioro zanieczyszczone, las brudny. Czy wczasowicze o tym wiedzą? Chyba nie. A może tak jest wszędzie? Więc oni z najbrudniejszych lasów i jezior wybrali Lubniewice, gdzie powietrze jeszcze czyste.

— Zaraz po wojnie można było pić wodę prosto z jeziora. Dziś... W połowie lat sześćdziesiątych pojawiły się pierwsze łabędzie. Był to znak, że jezioro brudne,

że ginie w nim życie biologiczne. Wtedy nasze Towarzystwo zawołało donośnym głosem: „Róbmymy coś! Ratuemy perłę Lubniewic! Zbudujemy kanalizację, oczyszczalnię ścieków! Jedni śmieli się z nas, inni — milcząc kiwali głowami, a jeszcze inni — palcami wskazywali czoła, jakby chcieli rzec: «Puknijcie się! Najczystsze jezioro. Ilu wczasowiczów tu przyjeżdża? Czy przyjeżdżaliby tu, gdyby jezioro było zanieczyszczone?»”.

Towarzystwo nie ustępowało. W Zielonej Górze, Gorzowie, Sulęcinie działacze lubniewiccy mówili o pilnej potrzebie zbudowania czegoś, co zatrzyma chemikalia ciurkające z ośrodków wczasowych, co przefiltruje ścieki z obór i z ustępów, z pralni i zmywalni naczyń. Być może wołali donośnie. Być może, bo niebawem coś ma się tu budować, podobno oczyszczalnię ścieków, a już na pewno osadnik.

Nikt tak dobrze nie zna dna tego jeziora jak Witold Stadnik. Nikt z lubniewiczian nie wyciągnął z jego toni czterdziestu dziewięciu zwłok tych śmiałków, którzy przyjmowali zakłady o pół litra, że przepłyną na drugi brzeg, bo są dobrymi pływakami. Nikt tu nie uratował życia aż siedemnastu topielcom. Tylko on, odznaczony medalem „Za ofiarność i odwagę”, Witold Stadnik, trochę człowiek-legenda Lubniewic, trochę fanatyk tych jezior i lasów, wód, które mogą uzdrawiać ludzi. Ale najpierw — według niego — trzeba je oczyścić, wskrzesić.

— Jeden z wielu moich znajomych, profesor Politechniki Śląskiej, powiedział, że gdyby w roku 1961 zamknięto dopływ zanieczyszczeń do jeziora, to dopiero w roku 1976 byłoby naprawdę czyste. Inny profesor, także lubniewicki letnik, doszedł do wniosku, że tego jeziora już nie można uratować. Żadna znana metoda chemiczna nie przywróci mu życia biologicznego. Jedynym więc ratunkiem jest oczyszczalnia ścieków i

czas. Czekać. Czekać, żeby wnuki i prawnuki nasze mogły się w nim kąpać, bo my już nie doczekamy tego dnia.

Tyle kosztuje cywilizacja. Nie bomby atomowe, nie armie uzbrojone w wyrzutnie rakiet, samoloty zdalnie sterowane, lecz grudki „Ixi”, „Miraxu”, „Komfortu”, „Tomi” zniszczą nas i wygrają tę bitwę, chociaż człowiek je stworzył, chociaż inny człowiek przyznaje za to nagrody naukowe, dyplomy, patenty. Ludzie ludziom gotują śmierć.

„Las mówił: «Odzyskasz spokój ducha, który zatraciłeś w wiecznej krzątaninie koło swych spraw osobistych. Gdy ukochasz przyrodę, umiłujesz również ludzi, zyskasz i wśród nich szczerych przyjaciół, którzy dopomogą ci nieść wielki nieraz ciężar życia, osłodzą niejedną smutną chwilę — może właśnie w tym czasie, gdy ze mną nie będziesz mógł obcować»”.

Lubniewice cicho przykucnęły między lasami sosnowymi, nad dwoma jeziorami, skąd wszędzie bardzo daleko i dokąd trudno dojechać. Może dlatego ciągną tu każdego roku letnicy z całej Polski, najwięcej ze Śląska, Wielkopolski, Warszawy, Krakowa. Może oni jeszcze nie wiedzą, że te wody są skażone, lasy chorowite, zwierzyzna spłoszona? Może ci profesorowie, hydrologowie, leśnicy pomogą? Może oddychając resztkami żywniczego powietrza, czytają ostatnią książkę Włodzimierza Korsaka i myślą, jak spełnić jego testament? Jak uchronić te wody, ten las, to powietrze? I może dlatego Włodzimierz Korsak, ten ostatni prawdziwy polski nemrod, każde swoje wakacje, każdą wolną chwilę spędzał tu, najpierw u Emilii Lachowej przy ulicy Gorzowskiej, a później w leśniczówce „Pod Lipami” u Emilii i Jerzego Moyseowiczów?

Lubniewiccy ludzie dobrze pamiętają starszego pana z aparatem fotograficznym przewieszonym przez szyję jak łańcuch koralu lub pereł, z kijem w dłoni, trochę

pochylonego, lecz zawsze rzeźkiego, pełnego wigoru i temperamentu. Nikt nie wiedział, ile on wtedy miał lat. Zgadywali: sześćdziesiąt, siedemdziesiąt? A on podczas swojego ostatniego pobytu „Pod Lipami” miał już osiemdziesiąt trzy lata.

— Niewysoki, bardzo delikatny, chociaż chwilami agresywny, ale nigdy w stosunku do swojej żony i przyjaciół. Lubiał wplatać słowa białoruskie — powiedział myśliwy, leśnik z wykształcenia, Witold Stadnik, który znał Korsaka od 1948 roku. — Chociaż sam poluję od małego, bo urodziłem się w leśnej rodzinie, dopiero on wytłumaczył mi, na czym polega myślistwo. — I dodał: — Znałem dwóch myśliwych, podobnych do siebie: Puchalski potrafił niecodziennie operować obiektywem, Korsak piórkiem i piórem.

„Twarz czerstwa, osmagana wiatrami i nieustającym romansem z naturą i zielonymi przestrzeniami. Oczy przymrużone, jakby wzmagające uwagę, wyostrażające czujność wszystkich zmysłów. Jego lekko wysunięty podbródek wskazywał, że mamy do czynienia z człowiekiem energicznym, stanowczym, zdolnym do podejmowania decyzji. Ale tego nie okazywał. Mogłem się tych cech charakteru raczej domyślać niż je dostrzegać”. Tak zapamiętał pisarza krytyk literacki Feliks Fornalczyk. Jerzy Oleksiński, popularyzator dorobku pisarskiego Korsaka, uzupełnił: „Znam pana Włodzimierza z czasów swojej młodości, spędzonej w Wilnie. Nasze zainteresowanie literaturą przyrodniczą ukształtowało wileńskie środowisko artystyczne, mające w tym względzie bogate i długie tradycje, bo sięgające czasów mickiewiczowskich”.

Autor zbioru gawęd *Las mi powiedział...* tak napisał o sobie: „Od lat najmłodszych interesowałem się przyrodą. Dążyłem do poznania jej życia, wnikięcia w jej treść. Urodzony daleko na północy, na kresach przedrozbiorowej Polski [Aniński na Witebszczyźnie, rok 1886

— A.S.] od dzieciństwa stykałem się z dziką pierwotną przyrodą leśnych mateczników, a jako przyrodników i nauczycieli miałem od jedenastego roku życia prostych mieszkańców puszczy, żyjących w jej przepastnej głębi z darów przyrody, która im dawała zwierzynę, ryby, jagody, grzyby i zioła. Byli to ludzie nieuczeni, niektórzy nawet analfabeci, ale rozumni, prześiąknięci przez długie swe życie istotą mądrości przyrody [...] Z nauk przyrodniczych z początku najwięcej interesowała mnie ornitologia. Za zaoszczędzone pieniądze kupowałem tom po tomie wspaniałe niemieckie wydanie ornitologii Naumena (12 tomów *in folio*)”.

Pisać i rysować zaczął bardzo wcześnie. Chyba w Rydze, gdzie uczył się w gimnazjum. Zanotował po latach: „Tęskniąc do lasów i jezior Anińska, zacząłem malować i pisać opowiadania. Pierwsze z nich ukazało się w «Łowcu Polskim» w roku 1904. Redaktor naczelny, Jan Sztolcman, nie mógł uwierzyć, że te wspomnienia i nowele pisze i ilustruje 18-letni młodzieniec”.

Rysował pięknie, wzbudzając zachwyt swojej rodziny i znajomych. Najczęściej na małych skrawkach papieru, kolorowymi tuszami i cieniutkim, prawie niewidocznym piórkiem, niekiedy przyniesionym z lasu zrogowaciałym piórkiem słomki. Swoje książki, a napisał ich trzynaście, sam zilustrował. Jego pedantycznie wykonane rysunki zdobią muzea, biblioteki, galerie i prywatne mieszkania. Mało kto potrafił tak precyzyjnie i pięknie malować, przede wszystkim szczegóły zoologiczne. I mało kto potrafił tak pięknie pisać. I gawędzić.

„Było to gdzieś na schyłku roku 1918. Do Józefa Weyssenhoffa w Warszawie zgłosił się młody, lecz bardzo poważnie wyglądający człowiek w wytartej bekieszce. Był powściągliwy i małomówny, lecz gdy tylko się odezwał, nie mogło być cienia wątpliwości, że pochodzi z ziem położonych na wschód od linii Curzona. Przy-

niósł pod pachą (do łaskawej oceny — jak powiedział) gruby manuskrypt pt. *Rok myśliwego* wraz z teczką jakichś paru setek własnych ilustracji piórkowych do swego dzieła. Przedstawił się: Włodzimierz Korsak. Z Witebszczyzny. Powiat siebieski”.

Książka ta ukazała się drukiem w Poznaniu w roku 1922. Potem co roku, co dwa lata wychodziły kolejne jego prace, wznowienia. O *Pieśni puszczy* recenzent „Dziennika Polskiego” tak napisał: „Włodzimierz Korsak — nazwisko nieznane w literaturze. Więc debiutant? Ale jaki? Wchodzi do literatury z taką pewnością, z jaką zapewne wchodzi w ostępy leśne, gotów każdej chwili do strzału [...] Książka ta wnosi do literatury świeże tchnienie lasów, żywiczny zapach zagań, poszum kniei... Mówi wszystkimi głosami zwierząt, ptaków i leśnych ludzi”. O zbiorze gawęd *Na tropie przyrody*, przełożonym także na język słowacki, Julian Ejsmond w „Przeglądzie Myśliwskim” tak się wyraził: „Książki Włodzimierza Korsaka nie waham się nazwać jednym z najpiękniejszych myśliwskich dzieł, jakimi literatura polska poszczycić się może”.

Tak go osądzano. Taki on był w słowie pisanym. Taki też mógł być w słowie mówionym. Miał olbrzymi wpływ na ludzi. Pokolenia myśliwych, pisarzy, zwykłych, prostych ludzi uczyły się od niego szacunku dla przyrody. Cytowany już Julian Ejsmond, poeta, bajkopisarz i tłumacz Owidiusza, wyznał, że „...dopiero Korsak pokazał mu baśniowość puszczy, poetyckość polowań i romantyzm obcowania z przyrodą”. Korsak jako Główny Łowczy Rzeczypospolitej w roku 1924 odważył się stanąć przed ministrem leśnictwa i dóbr publicznych i powiedział: „...myślistwo pochodzi od słowa «myśleć». Żeby samotnie polować, konieczna jest znajomość przyrody oraz wiedza o zwierzynie i jej obyczajach. A taki, który chce się tylko nastrzelać i zdobyć rekordy szlachtowanej zwierzyny, jest tylko strzelcem.

Niech pan minister swoich gości wysyła do Monte Carlo, gdzie strzelają do gołębi lub do rzutków. Im i tak jest wszystko jedno”.

Po wojnie osiadł w Gorzowie. W lasach, ale już innych, mocno przetrzebionych, suchych. Mógł wybrać Kraków, miał wszak tam wielu kolegów z lat młodości, mógł osiąść w zrujnowanej Warszawie jak inni jego przyjaciele. Wybrał daleki, mały wtedy Gorzów nad Wartą. Felicja Korsakowa, „...niezrównana, dzielna i pracowita towarzyszka życia, podpora i bodziec pracy pisarskiej”, tak zapamiętała pierwsze spotkanie z nowym w jeszcze obcym mieście: „Pierwsza noc w pustym pokoju Dyrekcji Lasów Państwowych na własnych bagażach. Gorąca kawa i świeży chleb [...] smakowały wyśmienicie, gdyż przez osiem dni żywiliśmy się sucharami [...] Z inicjatywy Edmunda Grudzińskiego urządzaliśmy w jego prywatnym mieszkaniu zebrania towarzyskie [...] Nazywaliśmy je szumnie «środami literackimi», choć jedynym w tym gronie literatem był mój mąż”. Pisarz zaś po latach zanotował w swoim pamiętniku: „W czasie pracy mojej w Dyrekcji LP miałem robotę nie tylko biurową, ale objeżdżałem nadleśnictwa, przeważnie już całkowicie obsadzone przez wyższy personel, tj. nadleśniczych i leśników, bardzo w wielu jednak okolicach brakowało ludzi mogących pełnić funkcje gajowych. Dyrektorem przez rok był Aleksander Górski, przeniesiony następnie na emeryturę, potem przez 2 lata kierował Dyrekcją dawny mój przełożony z Wilna — Edward Szemioth, w ostatnim zaś roku mojej pracy funkcję dyrektora pełnił Kwapiszewski, za którego rządów przy rewizji stanu osobowo-społecznego, na którą przyjechał z Warszawy niejaki Zawadzki (*notabene* Żyd), otrzymałem dymisję z emeryturą wynoszącą 320 zł (uprzednie moje pobory sięgały prawie 1200 zł). Był to czas, kiedy wiek emerytalny mężczyzn wynosił 60 lat, a ja miałem 63, żąd-

nego więc innego wyraźnego pretekstu nie było potrzeba”.

Odtąd już tylko pisał, malował, uczył początkujących myśliwych, dokształcał młodzież harcerską obozującą w Lubniewicach. „Kto miłuje przyrodę dla niej samej, posiadzie szczęście, którego nikt mu odebrać nie jest w stanie”.

Był wspaniałym, rzadko spotykanym gawędziarzem. Może najpierw te swoje książki opowiadał, a dopiero później drobnym, prawie nieczytelnym pismem przenosił je na arkusze papieru? Może dyktował żonie? W Lubniewicach, przy ognisku i kubku herbaty, w oparach smacznego bigosu, początkującym myśliwym, którzy przechwalali się swoimi sukcesami łowieckimi, opowiedział:

— Jesienny wieczór. Duże poleskie jezioro, że końca nie widzisz. Mój Poleszук czołnem wypłynął na jego wody i z trzciny zaczął płoszyć kaczki. Uha, uhaa, uuuhaaa! Ja w butach, przygotowany do strzału wszedłem do wody. Najpierw woda sięgała moich kolan, później pasa, ramion, szyi. Patrząc: chmara kaczek leci wprost na mnie. Przyklęknałem, strzeliłem i wszystkie kaczki moje.

Innym razem, także przy ognisku myśliwskim, w chwili podsumowywania obfitego polowania pochwalił się:

— Na kaczki poluję sam, bez psa.

Ktoś się zdziwił, że sam i bez psa, a on na to:

— Do każdej śruciny przywiązuję nitkę. Strzelam. A potem powoli zwijam nitkę. Na pewno wszystkie kaczki moje. Nie wierzycie?

Z jego inicjatywy Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych w Zielonej Górze wydał płytę *Sygnaly łowieckie*.

Jerzy Oleksiński twierdzi, że „...za życia stał się postacią legendarną, zwłaszcza w środowisku myśliwych i miłośników przyrody. Nazwano go piewcą przyrody

i przygody myśliwskiej, ostatnim prawdziwym polskim nemrodem”.

Ludzie lubniewiccy dobrze zapamiętali starszego pana. Zapamiętali i ten szczegół, że w latach pięćdziesiątych odwiedzał dom Kasparjuszy, autochtonów. Franciszek Kasparjusz, syn Ottona i Augusty Szady, pochodził z polskiej rodziny ariańskiej, Karolina, jego żona, córka Alberta i Marii Astniewskiej — z Polonii nordweskiej, korzeniami sięgającej Wileńszczyzny. W ich domu przy ulicy Skwierzyńskiej zaraz po wojnie zamieszkała Regina Wańkowicz. Jak jedni (m.in. Bartczak, były przewodniczący GRN) twierdzą — siostra rodzona Melchiora Wańkowicza, jak inni (Stadnik, Woźniakowski) — siostra cioteczna. Jedno jest pewne, że do Lubniewic, do tej siostry czy kuzynki przyjeżdżał autor *Monte Cassino* i spotykał się z Włodzimierzem Korsakiem. Przy szklance *whisky and soda* czy też przy filiżance kawy wspominali lata swojej bujnej młodości. Znali się na pewno. Wszak obaj pochodzili z tych samych okolic. Wańkowicz w *Tędy i owędy* napisał: „Polowałem ja na niego [jarząbka — A.S.] w Puszczy Rudnickiej z panem Korsakiem (z tych, co to „co krzaczek, to Korsaczek”), znawcą i piewcą lasu”. Później wielokrotnie spacerowali uliczkami Krakowa, oglądali przedstawienia teatralne, słuchali ówczesnych Witkacych. Felicja Korsakowa w liście do Wańkowicza przypomniała: „...poznaliśmy się równo pół wieku temu. Tak, w Krakowie w 1912 roku i przetańczyliśmy wówczas wiele, wiele wspaniałych mazurów i siarczystych oberków”. W innym miejscu żona autora *Las mi powiedział...* twierdziła: „To przecież ja 50 lat temu ułożyłam wierszyk przy ul. Garbarskiej, gdzie zebraliśmy się, aby iść na wspólną wycieczkę i przeczekiwaliśmy krótki wiosenny deszcz:

A deszcz pada i pada,
Melchior gada i gada.
I deszcz już nie pada,
a Melchior jeszcze wciąż gada.

Student krakowskiego uniwersytetu, Melchior Wańkiewicz, w odpowiedzi swoim koleżankom w sprawie równouprawnienia kobiet rzekł:

„Zważywszy wszystkie poniesione krzywdy i niesprawiedliwości, więc w sprawie równouprawnienia kobiet zebrany w Collegium Maius uchwała natychmiastowe porzucenie przez słuchaczki murów Alma Mater i niepowracania, aż wszystkie dezyderaty zostaną uchwalone i katedry obsadzone w połowie przez profesorki”. Wygłosiwszy to — jak pisze w *Tędy i owędy* — „Osłoniony przed rozjuszonymi koleżankami przez gawieź męską, wymknąłem się z wiecu i nie pokazywałem się historycznie przez trzy dni”.

Obaj, Wańkiewicz i Korsak, byli niedoścignionymi gawędziarzami, znakomitymi pisarzami i prawdziwymi autorami rzetelnych i pełnych naturalnego ciepła książek. Obaj nie poddawali się przeciwnościom losu, mimo sędziwych lat pracowali nadal, byli społecznie użyteczni, niezależni od nikogo.

Witold Stadnik dobrze zapamiętał jedno ze spotkań obu mistrzów. Wesoły Korsak z wileńskim, trochę śpiewnym akcentem opowiadał: „To wyobraź sobie, tam sześć, no, może trzy żubry, szesnaście, no, może dziesięć jeleni, osiemnaście, no, może pięć łań, no trochę piór, innej maści zwierzyny, a na końcu ze dwóch myśliwych — postrzelonych”.

Ile razy spotykali się w Lubniewicach — dziś trudno ustalić. Wiadomo, że rozmawiali o sprawach literackich, przyrodzie, Wilnie, latach swojej bujnej młodości. Wtedy w cichych Lubniewicach Melchior Wańkiewicz natrafił na ślad i odnalazł jednego z niewielu jeszcze żyjących hubalczyków — Zygmunta Woźniakow-

skiego. Nie było to takie trudne. Jadwiga Woźniakowska serdecznie przyjaźniła się z Reginą Wańkowicz i — być może — podczas któregoś spotkania od słowa do słowa ustaliły, że w lutym 1940 roku Mieczysław i Zygmunt Woźniakowscy wstąpili do Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego majora Hubala. Śmiertelnie ranny pod Huciskami, Mieczysław zmarł na rękach Jadwigi. Zygmunt szczęśliwie doczekał Polski niepodległej, zamieszkał w Lubniewicach i ożenił się z Jadwigą. Jadwiga Woźniakowska zmarła tragicznie; na lubniewickim cmentarzu, na tablicy nagrobkowej mąż wyrył: „łączniczka Hubali”, bo tak zapamiętał swojego dowódcę i tak o nim śpiewał, „myśmy chłopcy Hubali”. O jednym z dwudziestu dwóch jeszcze żyjących hubalczyków pisali: Drecki, Szymański, Chlebowski. Reżyser Bohdan Poręba zrealizował film pt. *Hubal*, w którym ukazana jest m.in. śmierć Mieczysława Woźniakowskiego.

Małe, letniskowe Lubniewice często odwiedzali zaśluzeni dla kultury narodowej Polacy. Byli tu m.in.: Stanisław Piętak, Julian Przyboś, Eugeniusz Paukšta. Spotykali się nie tylko z czytelnikami, ale i wypoczywali, i pisali swoje wiersze czy powieści, a także zwykłe listy. Są na to dowody w ciasnej lubniewickiej bibliotece, wciąż bezimiennej, chociaż kilka razy pisarze zielonogórcy proponowali, by nadać jej imię Włodzimierza Korsaka, tego, który pokochał Lubniewice, chodził wąskimi uliczkami i jeszcze węższymi ścieżkami śródleśnymi, tu pisał swoją ostatnią książkę *Las mi powiedział...*

„W ubiegłym roku [1966 — A.S.] ukończyłem trzynastą moją książkę pod tytułem *Las mi powiedział...* Jest to szereg opowiadań i rozmów, prowadzonych przez profesora Grzegorza Rahożę na obozie harcerskim w Lubniewicach. Treść tych rozmów jest przyrodniczo-myśliwska, ilustrowana 70 rysunkami

piórkowymi (czarnymi) i dotyczy w dużej mierze naszych Ziemi Zachodnich. Profesor Rahoza jest znany młodym czytelnikom z uprzednio wydanej (w Olsztynie) książki *Na tropach przyrody*, gdzie z dwoma chłopcami zdobywa tajemnice puszczy mazurskich, uwieczniając ich piękno za pomocą aparatu fotograficznego”.

Książkę tę Włodzimierz Korsak pisał i ilustrował w mieszkaniu Emilii Lachowej, korektę zaś wykonywał w leśniczówce „Pod Lipami”. Tam też w roku 1969 był po raz ostatni, już nie ten sam, ale jeszcze ciągle pełen wigoru, temperamentu, radości życia. Stamtąd wychodził do lasu, brał ze sobą Piotrusia, najmłodszego z Moyseowiczów i pięknie mu opowiadał o lesie lubniewickim. Piotrusiowi podarował *Opowieści myśliwych* i wpisał dedykację: „Przyszłemu myśliwemu Piotrusiowi Moyseowiczowi z życzeniami, aby łowiectwo i las dawały Mu jak najwięcej szczęścia”. Sprawdziły się te słowa, Piotr Moyseowicz jest dziś zapalonym myśliwym, ukochał las i przyrodę jak jego nauczyciel Włodzimierz Korsak. Nie tylko zresztą Piotr, lecz i tysiące dolnośląskich harcerzy, którzy w Lubniewicach spotykali się wieczorami z ostatnim prawdziwym polskim nemrodem.

— Bardzo lubił młodzież. Chętnie spotykał się z uczniami. Przy ognisku odbywał wieczory autorskie, ale nigdy nie brał za nie pieniędzy. On tak samo kochał młodzież, jak i przyrodę — wspomina Witold Stadnik.

— Często obaj występowaliśmy w roli nauczycieli: on jako przyrodnik, ja jako historyk — Zygmunt Woźniakowski pokazuje album pełen amatorskich zdjęć. Jeszcze dziś gościem harcerzy jest jeden z ostatnich hubalczyków.

— Wstawał wcześniej, przygotowywał śniadanie sobie i sobie. Do południa pisał i malował. Po obiedzie wyruszał na samotną wędrówkę po lesie. — Emilia

Moyseowiczowa prowadzi mnie do pokoju, w którym Korsakowie mieszkali trzy razy w roku przez miesiąc lub dwa. Jerzy Moeysowicz zaś uzupełnia:

— „Bronkę”, czyli strzelbę zamienił na aparat fotograficzny. Proszę, to jest na zdjęciu: Piotruś, pan Włodzimierz i ja z jego strzelbą idziemy do gniazd orłów bielików.

Korsak napisał: „Ptaków mamy również dużo. Osobiście obserwowałem 157 ich gatunków (łącznie z polnymi i wodnymi), a z nich 102 gatunki lęgowe i odlatujące na zimę, 34 — lęgowe i zimujące, 10 — przelotnych, 9 — zalatujących wypadkowo lub tylko zimujących. Podkreślam, że podaję tylko liczbę widzianych lub słyszanych przeze mnie, a sądzę, że pilne badania odkryły ich znacznie więcej”. Potrafił barwnie, interesująco opowiadać o każdym rodzaju zwierząt, doskonale znał losie, cietrzewie, słomki, orły. „Najciekawsze z ptaków są — gnieźdzące się na rozległych polach — dropie, które spotkać możemy np. pod Kostrzynem, a także koło Gorzowa, na północ od tego miasta. Są to największe nasze ptaki krajowe, których siąg, tj. rozpiętość skrzydeł, ma 1,8 m, a waga dochodzi do 16 kg”.

Ostatnie swoje dzieło tak zadedykował: „Książkę tę poświęcam całej młodzieży lubuskiej z życzeniem, aby las mógł jej jak najwięcej powiedzieć...” Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego zaleciło książkę do bibliotek szkół wszystkich typów, poczynawszy od klasy VII.

Tego tomu gawęd nie można ani opisać, ani streścić. Trzeba koniecznie przeczytać i przemyśleć, i zastanowić się nad słowami Korsaka: „Przyroda jest dla mnie świątynią, która jako naturalna poezja uszlachetnia człowieka”.

O tej i o innych pracach autora *Roku myśliwego* pisali recenzenci, zachwycali się jego doskonałą, rzetelną

wiedzą i talentem literackim. Zenon Łukaszewicz: „Ródowód prozy wywodzi się z dobrej tradycji szkoły polskiej prozy, w której — zwłaszcza w pisarstwie Żeromskiego — można odnaleźć tyle uczulenia na przyrodę, tyle wspaniałych opisów jej piękna”. Jerzy Oleksiński: „Tom gawęd *Las mi powiedział...* jest książką wyjątkową w beletrystyce ostatnich lat. Pisane z rozmachem, wyborną polszczyzną, przypominającą miejscami styl Orzeszkowej. Jest sumą rozważań pisarza nad życiem i jego istotą. Jest sumą jego wiedzy o życiu konstruktywnym i twórczym, mądrym i radosnym”.

Wrześniowe Lubniewice jeszcze pachną żywicą okolicznych lasów sosnowych, złocą się kałużami liści i schnącą trawą. Tylko to wielkie jezioro, na którego srebrzystej tafli kołyszą się łabędzie, posmutniało. Jakby wiedziało, że odszedł ten, który bronił przyrody, który ją kochał i uczył tej miłości innych. On miał wrodzony dar słuchania lasu, rozmawiania z łośiami, dropiami, smukłymi sosnami, niespotykany dar przekazywania tego pokoleniom naszych wnuków i prawnuków, aby „korzyści z niego mieć mogły”.

Opuszczając słoneczne, od pól pachnące kartofliskami Lubniewice, nie miałem odwagi spytać, dlaczego pamięć o Korsaku, zachowana we wspomnieniach starszych, odchodzi. Czy któraś z ulic: Sulęcińska, Gorzowska, Skwierzyńska nie mogłaby przybrać imienia Włodzimierza Korsaka? A może biblioteka gminna? Leśniczówka? Drużyna harcerska? Towarzystwo Przyjaciół Lubniewic? Tak mi się marzy, żeby w tym pustym i odstraszającym klubie nad biblioteką powstała izba regionalna z pamiątkami po ostatnim prawdziwym polskim nemrodzie. Można by obok umieścić ślady pobytu Wańkowicza, Piętaka, Przybosia, Paukszty. Może zachowane zdjęcia, odznaczenia bojowe jednego z dwudziestu dwóch jeszcze żyjących hubalczyków? Dla wnu-

ków i prawnuków. Dla nowych pokoleń. Dla całej lubuskiej młodzieży.

„Las mi powiedział: «Talent przejawia się w przeróżnych dziedzinach, zarówno we wszelkiej sztuce, jak i nauce, technice. Sztuka powinna dawać nam piękno, to samo nieśmiertelne źródło, które znajdujemy w całej przyrodzie, które zasila naszą duszę, krzepi ją i wzmacnia w ciężkich chwilach naszego żywota, sił dodaje w walce z przeciwnościami».

Las mi powiedział: «Przyrody nic nie zastąpi»”.

1982 rok



Eugeniusz Paukšta

W połowie 1957 roku w Zielonej Górze powstało Lubuskie Towarzystwo Kultury. Janusz Koniusz wszedł w skład prezydium LTK. Był autorem zaledwie jednego zbiorku wierszy, bardziej działaczem kulturalnym niż poetą. Eugeniusz Paukszta napisał i wydał już wiele powieści i zbiorów opowiadań. Wtedy poznali się: dojrzały pisarz Eugeniusz Paukszta i początkujący poeta Janusz Koniusz. Przyjaźń ta trwała aż do śmierci epika polskiego zachodu — jak pisano i mówiono o Paukszcie.

Paukszta lubił pisać, pisał często i dużo. Były to listy proste w słowach i serdeczne, pełne troski o awans kulturalny Ziemi Lubuskiej, o rozwój środowiska literackiego w Gorzowie i Zielonej Górze.

Koniusz jest przeciwieństwem pisarskim Paukszty, pisze długo, niewiele. „Jest jak gdyby prozaikiem okazjonalnym, nie traktuje swej prozy zawodowo, ale od czasu do czasu, kiedy okoliczności życiowe podsuwają mu temat, a warunki psychiczne pozwolą dojrzewać pomysłowi — pisze. Bywa prozaikiem na tej samej zasadzie, jak to mówią, że bywa się poetą. Ale podobnie jak — paradoksalnie — poetą właśnie jest ten, kto nim bywa, tak i Koniusz na podobnej zasadzie jest prozaikiem” — pisał o Koniuszu Stefan Melkowski. Stosuje krótkie zdania, które znaczą więcej niż całe stronicy. To ich różniło.

Spotykali się w Poznaniu i Zielonej Górze, w małych miasteczkach Ziemi Lubuskiej i na wieczorach literackich. Razem tworzyli społeczny ruch kulturalny. Paukszta wymyślił, a Koniusz współorganizował Konwent Regionalnych Stowarzyszeń Kulturalnych Kujaw, Pomorza, Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej.

Korespondencja między obu pisarzami trwała do maja 1979 roku, do nagłej śmierci Eugeniusza Paukszty. Janusz Koniusz zachował listy, zgodził się ogłosić je we fragmentach.

28 czerwca 1961

Lada dzień należy oczekiwać sygnałnych egzemplarzy *Pogranicza* a jesienią ukążą się *Wszystkie barwy codzienności*, obie książki „lubuskie”. Chyba staram się o ten teren, co? Jak mnie nie zrobicie honorowym obywatelem Zielonej Góry, to się urażę i przeniosę na inne terenowo podwórko.

12 stycznia 1962

Ukazała się już moja powieść współczesna o Ziemi Lubuskiej *Wszystkie barwy codzienności*. Zatem moje zobowiązania w stosunku do Ziemi Lubuskiej spełniam zgodnie z zapowiedziami.

5 lutego 1962

Wyd. Pozn. zwróciło się do mnie o napisanie wstępu do baśni Pana Małżonki i p. Rutkowskiej, jeszcze niezależnie mam z redakcją ostatecznie przekonsultować wszystkie teksty [...] W końcu lutego rusza też na całego antologia lubuska.

12 czerwca 1962

Mam miłe wspomnienia z tych spotkań. Żałuję, że jakoś nie udało się mi może stworzyć lepszego klimatu na spotkaniu „czwartkowym”, ale albo ja byłem zmę-

czony, albo publiczność dosyć przygodna i nie przyzwyczajona do tego rodzaju „intymności pisarskich”.

30 listopada 1962

Wspomniał Pan o Babimoście, Kargowej i innych miejscowościach z tego kręgu [...] Czy nie dałoby się zorganizować znowu trzech spotkań w tym zasięgu terenowym? Miałby Pan obstawiony już przeze mnie teren moich powieści.

9 grudnia 1962

Propozycję Pana krośnieńsko-osiecznicko-słubicką akceptuję. Tyle, że w Osiecznicy trzeba będzie dobrze obliczyć się z czasem, jako że do Słubic stamtąd prawie 60 km, czyli dobrze nad godzinę jazdy, a jeszcze nie wiadomo, jaka będzie droga (czy nie ślisko itd., co by zwolniło znacznie tempo jazdy). Ale sądzę, że wszystko dobrze zmieści się w czasie. Z tym, że na wszelki wypadek warto Słubice uprzedzić o możliwości pewnego niewielkiego spóźnienia.

29 marca 1963

W związku ze Wschową — zależałoby mi na wyjeździe w dniu 7 kwietnia, niedziela — ostatni dzień, kiedy można odbyć spotkania. Zatem Wschowa. (Pytanie arcyważne, czy nie można by zorganizować trzech spotkań, nie tylko dwóch?) [...] I serdeczna prośba — skoro Pan byłby we Wschowie — czy nie mógłby Pan zabrać od razu ze sobą forsy — miałbym na Święta — bo nadal cienko śpiewam, a po tej chorobie jeszcze bardziej — dwa z górą miesiące nic nie robiłem, a to rzutuje i jeszcze jak mocno.

30 września 1963

W Zielonej Górze to nigdy nic nie wiadomo. Stąd bardziej, jako konkretniejsza, ucieszyła mnie wiadomość o opiniach nauczycieli o *Odzyskanych gniazdach*.

2 grudnia 1963

Robota mnie goni, piszę, pracuję, zarywam noce, kiedy to w ogóle się u mnie skończy? Kiedy odetchnę normalniej? Kroi się coś i z Ziemi Lubuskiej, jestem wier-ny i konsekwentny.

4 lutego 1964

Moja książka leci w „Złotym kłosie”, właśnie *Wszystkie barwy...*, a więc temat lubuski [...] Żałuję, że nie może Pan podjąć tematu mego dorobku, bardzo bym się cieszył, ale cóż poradzisz, jak już trzeba żyć między Ziomkami, Ziołkami, Ziętkami i podobnymi. Daj im Boże zdrowie i na kieliszek wódki.

3 sierpnia 1964

Siedzimy w Koszalińskim, a właściwie na jego przed-porożu, bo w okolicach Złotowa, w środowisku auto-chtonicznym. Ciekawe to na swój sposób, choć i ci lu-dzie mocno się już zmanierowali — to samo zjawisko, co w Bambimojskiem.

29 marca 1965

Na tle tych zmartwień nie potrafimy się ucieszyć ani przede wszystkim przeprowadzką do nowego domu, do-konaną na łapu-capu, właściwie permanentny bałagan jest po dziś, ani wręczoną mi przez Spychalskiego ko-mandorią Pol. Rest., co oczywiście zgola niszcząco po-działało ponoć na moich wszelkiej maści antagonistów. Cała pociecha, że choć oni mieli jakieś z tej racji wzru-szenia.

15 grudnia 1965

Co do albumu, pyta Pan, kiedy wyjdzie. Ba, jest ważniejsze pytanie, kiedy tę monografię napiszę? Po trosze coś tam dłubię, ale z wiosną dopiero na całego ruszę na Ziemię Lubuską odświeżyć, uzupełnić ma-

teriał, nadyszeć się klimatem. I wtedy dopiero rzecz ukaże, chcę, żeby naprawdę była piękna. Samego tekstu będzie ponad 15 arkuszy, a fotogramów pełnych planujemy coś kilkaset. Mają to wydać arcy, arcy. Zobaczymy.

1 marca 1967

Myślę, że Soliński mógłby w końcu się zdecydować, poświęcić tę ociupinkę miejsca. Nie wymawiając, ale ongiś w utrzymaniu przy życiu pisma też cokolwiek pomogłem, prawda? A poza tym, tyle w numerach leci niekiedy brecht, że jak przyzwoity tekst usunie co nieco, tylko „Nadodrz” wyjdzie to na lepiej.

15 sierpnia 1967

W „Nadodrz” fragment niemiłosiernie pocięty widziałem, honorarium otrzymałem. Już książka się ukazała, dwa tomy, mam tylko potąd „jaskółkę”. Jak będę miał egzemplarze, prześlę Panu, szczerze mówiąc, zależy mi trochę na huku przy tej okazji i gdyby Pan zechciał machnąć o niej jakąś większą recenzję w „Nadodrz”, byłbym wdzięczny.

15 października 1967

Mieć swoje zdanie, ostro je akcentować, jeśli trzeba. Bo inaczej zaszczą, zasrają, zabłocą. A na to nie wolno pozwolić. Nie wolno dlatego włożyć do chlewa, że świnie, tam czujące się świetnie, wciągają. I naprawdę nie zwracać uwagi na to wszystko [...] Nie dałem się wygryźć ani zagryźć. I jakoś ląduję. I coraz mniej mnie te piesunie skomlące obchodzą.

28 sierpnia 1968

Cóż u mnie? Niby wakacje, jeszcze tkwię w tej leśniczówce (w tym roku nieudanej), ale z wypoczynku właściwie nic. Stale jeździłem, to Warszawa, to Kraków, to Poznań, były pilne sprawy, ważne interesy,

na domiar ciążę mi kamieniem świadomość zawalonej roboty, terminy goniące sprzed wczoraj, jakaś niemożność skupienia się nad maszyną. To wredne nastroje, które nic a nic pracy nie pomagają, ale jakoś nie można też znaleźć na nie rady.

7 grudnia 1968

Wszystko się kielbasi. Myślę, że jednak za parę tygodni zastopuję i zacznę oddychać nieco normalniej. A jeszcze przyjąłem sporo spotkań autorskich i jak bies ganiam po całej Polsce. Czy Pan uwierzy, że tylko na jesienny okres miałem około 130 zaproszeń? Jasne, że tylko znikomą część mogę wykorzystać. Ale to cieszy. A tak między nami: z Zielonogórskiego — poza wrześniowym zaproszeniem z Nowej Soli (nie mogłem z niego skorzystać) — ani jednego.

Miałem ostatnio paradny wywiad w „Sonntagu”, bardzo antyniemiecki, puścili cały. Teraz leci taka historia duża w Paryżu, niedawno była w białoruskiej „Niwie”. Żebyż za tym szły przekłady książek, ale to nie takie proste.

6 kwietnia 1968

[...] że ostatecznie p. Chmielewski ani nikt inny z instytucji zielonogórskich mnie nie zaprasza, to problem nie tak istotny. Nie muszę się starać o zaproszenia. Tyle, że przy okazji mógłbym zawsze odwiedzić Zieloną Górę.

17 kwietnia 1968

Żałuję, rzadka okazja odwiedzenia Zielonej Góry, jako że tam [...] zapomniano o mnie zupełnie, znamienne, nawet na spotkania autorskie już się mnie w ogóle nie zaprasza, chyba że czasem przypadkowo jakaś Nowa Sól, fabryka albo któraś jednostka wojskowa [...] a trzeba to mi było pisać książki o Zielonogórskiem? Teraz zbieram owoce.

12 lipca 1968

Zdaje mi się, że pewnego dnia nastąpi, a wtedy już przesadny, nawrót do romantyki, do sentymentów. To drugie można już dziś obserwować u tej pozornie tak cynicznej, tak niby wyjałowionej z silniejszych uczuć młodzieży. Bo jednak pewna doza patrzenia na świat przez uczucia, przez jakąś silną w ten świat, w człowieka w nim, wiarę jest konieczna, by zachować samych siebie, by nie zatracić się do reszty w chaosie pseudoidei, pseudohaseł, pseudofikcji. Przeżywamy na jakiś sposób aaronowski koniec wieku ideologii, nawarstwiają się one, zachodzą na siebie, przenikają, a to dlatego, że są parawanem, pokryciem dla spraw i ambicji zgoła innych, dalekich. Ale są potrzebne dla kamuflażu. Ideologie zaś dogasają; jeszcze jedno dogasanie pewnych treści w człowieczym żywocie.

5 sierpnia 1968

W konkursie „Głosu Pracy” i CRZZ, pt. „Bliżej książki współczesnej” wyszedłem na pierwszą lokatę, przed Żukrowskim i Iwaszkiewiczem. Cieszy mnie to, ja w ogóle o konkursie nic nie wiedziałem, to jakiś obiektywny sprawdzian rzeczywistych zainteresowań czytelnich, co w końcu jest najważniejsze.

28 stycznia 1969

Ludziom trzeba czegoś, co by porwało, zapaliło, co by własne sprawy odsunęło na drugi plan. Trzeba wizji, mirażu choćby, trzeba celu. A co mają? [...] czy przed telewizorami tak bardzo tym ludziom starym, zwykłym dobrze, to jeszcze wielkie pytanie. O tyle dobrze, że chcą mieć spokój, bo dość mają bajzlu. Ostatecznie, w bajzlu można pobycć godzinę, niechby noc, ale tkwić wiecznie, stale, bez końca? Takich osilków nie ma. Stąd tumiwisizm, srajdupie, nasermatyzm.

Że coś się dzieje, boby było nudno? Że „pieretasowka”? Pewnie [...] to daje jakąś nadzieję, że proces zapoczątkowany nie zatrzyma się i kiedyś wreszcie te zmiany zaczną być sensowniejsze, przekroczą dostojne grono adoratorów wzajemnych, wszystkich równie zasłużonych, wszystkich równie zajętych wyłącznie podstawianiem sobie wzajemnie nóg i nie tylko nóg.

21 marca 1970

Myślałem, że właśnie dziś prześlę Panu tekst artykułu-impresji. Ale zakwękałem po zagrzebaniu się wozem [...] Natomiast uroczyście zobowiązuję się Panu, że dostarczę tekst do końca marca [...] Zresztą dobrze, że poniekąd się z tym wstrzymałem, ostatnio w Warszawie odbyłem kilka prywatnych ściśle rozmów z nieprywatnymi osobami z czołowej hierarchii. I wiem, co w trawie piszczy, jak należy widzieć pewne zagadnienia. Ponieważ to widzenie w generalnej linii (ale nie w przesłankach wyjściowych) zgadza się z moim, problemu nie ma, a będzie tekst „siedzieć”, bo raczej, choć z pogranicza kultury i literatury, będę mówił o sprawach polityczno-społecznych.

6 lipca 1973

U mnie? Też różnie bywało. Parę lat przeżywałem impas [...] Przeszło, minęło, wziąłem się w garść, choć nie było łatwo, działałem po trosze, znów piszę. Czasem wracam pamięcią do dawnych lat. Nie to, żebyśmy wszyscy po trosze podejrzewali, że mniej w nas zapалу, wigoru, to chyba nie tak i nieprawda. Raczej zagubiliśmy się co nieco w proporcjach, co ważne, a co mniej ważne, po trosze też i zmęczyliśmy się ciągłymi kołomyjkami, nastrojami, napięciami, zmianami, odwrotem i ofensywami. Ale może to jest ten szmat życia, który należy wygrać pisarsko?

3 stycznia 1978

Choruję, a jednak wczoraj w WTK zegnałem Gawrońskiego, który obejmuje w KC miejsce Lucka Motyki. A dzisiaj byłem wśród historyków, w Zakładzie Czesia Łuczaka, zebrała się nas czterdziestka, trochę pobajdurzyć, trochę się podziwować, a głównie może, choć nie było to nazwane, znaleźć, zrozumieć i potwierdzić sens naszego działania: na straży tradycji pięknych, zaszczytnych, których świat może nam zazdrościć. Na straży historii, bez której naród by skarłał, szczeł, zmarniał, dał się wymanewrować, wynarodowić...

Pisarz tworzy impulsywnie [...] nie dla aplauzu, ale dla ukazania prawdy swego pokolenia, swego czasu, w imię tegoż czasu i tegoż pokolenia czy pokoleń. Mało zła w nas samych, w Tobie, we mnie, a o wiele go więcej wokoło i wcale nie tak marginalnie. Kradzieże, łapówki, malwersacje, sitwy, defraudacje, które uchodzą na sucho, bo onże sekretarz, naczelnik [...] prządka za motek przędzy dostaje dwa lata bez zawieszenia, ale robotnik w „Zastalu” za kawałek miedzi dostaje pół roku i wpisy naganne... Pewnie, złe to, nie powinni, ale smród idzie od góry [...] Łajdactwo mnie boli, rozkradanie Polski mnie boli i będzie zawsze boleć. I na swój skromny dostępny mi sposób będę z tym walczył do upadłego.

[...] dom jest pełen Nadodrza... Pełen? A czy Ty wiesz, że ja nie mam żadnego autentycznie ładnego, dobrego artystycznie pejzażu z Ziemi Lubuskiej?

5 sierpnia 1978

Sprawa fragmentu. Otrzymasz. Z tym, że też dopiero pod koniec września, przypomnij się. Mam w tej chwili rzecz tak rozbabraną, że trudno by mi było wybierać coś zwartego. I nie będę się rozpraszać. Pod koniec września — tak. Obiecałem też Włodkowi So-

korskiemu do „Miesięcznika” [Literackiego — A.S.] i paru innym. Ale „Nadodrze” będę miał w pierwszym rzędzie na uwadze.

2 września 1978

Szykują się na koniec września czy na październik jakieś szopy z moim 40-leciem twórczości. Nie wiem nic, jakieś słuchy docierają to z Warszawy, to tu w Poznaniu. Coś tam będzie, jak, na ile głośno czy nie, czas pokaże. I znów jakiś moment do refleksji i obejrzenia się za siebie, by stwierdzić, iż w życiu tak się niewiele działo.

15 września 1978

Czy istniałaby możliwość, a jeśli tak, jakbyś Ty to widział, wydania *Czarownicy* [z *Zielonej Góry* — A.S.] przez LTK? Trochę bym przeredagował, komentarze historyczne przesunął jako aneks na zakończenie, może parę skrócił. Też sprawa ważna.

Nie orientuję się, o co chodzi, choć niewątpliwie byłoby mi cholernie miło, gdyby znalazł się jakiś akcent właśnie z Ziemi Lubuskiej. Bo naprawdę tyle mnie z nią związało i przecież kawałek nie mały jej serca oddałem.

28 października 1978

Ogromnie mnie wzruszyłeś swą troskliwością, opieką, staraniem, by ten mój pobyt w Zielonej Górze, o szczególnym z uwagi na to 40-lecie charakterze, wypadł jak najmilej [...] Wróciłem zauroczony, odżyły dawne sentymenty, wspomnienia sprzed wielu, wielu lat.

* *
*

Przed ludźmi niewiele można ukryć, wiedzą prawie wszystko, nawet to, że przy szosie zielonogórskiej w Sulechowie mieszka Amerykanin, a nie Kanadyjczyk.

— Myślał, co u nas, jak ma dolary, to kupi cały Sulechów. Dużo zwojował? Rozbabrał robotę i stoi jak ta fabryka w Cigacicach.

Z okien autobusu dobrze widać, że robota rozbrana. Dom pod dachem, ale pusty w środku i nie otynkowany, i jakiś wielki, rozlazły, jak dworek szlachecki. Po co komu taki duży dom?

— Farmę chciał zakładać.

— Nie wyszło? — pytam, choć to zbyteczne, bo Amerykanin, a ja poszukuję Kanadyjczyka, który na początku lat sześćdziesiątych przyjechał na Ziemię Lubuską i osiadł gdzieś między Nową Solą, Międzyrzeczem i Zieloną Górą.

— Za Gierka ściągnął do Polski. I po co to? Żle mu było w Ameryce?

— Oj, musi źle, strasznie źle, skoro on tu przyjechał z walizką pełną dolarów. A po co? Kłuc sulechowskich ludzi w wybałuszone oczy? To czemu wcześniej nie wracał? Mógł, jak Wańkowicz do siostry w Sulechowie, jak inni „Batorym” przyplłynąć do Gdyni i już byłby wieloletnim obywatelem. Może inaczej obmyślił swój triumfalny powrót? Może chciał pokazać się w tym krążowniku, który ledwie mieści się na wąskich uliczkach miasteczka?

— E, sprzedałby fordą i by kupił małego fiata albo ładę, bo syrenka musi za ciasna dla niego... I jemu szybki koniec.

Nie odnajdę miściny, ale jestem bardzo blisko, czuję zapach karmelków, wafli, ciastek w czekoladzie. Autobus telepie się, za chwilę Kargowa. Więc może tu, gdzie pośrodku rynku stoi siedemnastowieczny ratusz z kamienną tablicą ku czci kapitana Więckowskiego i

restauracja „Maraton”, i dom handlowy z wygasłym neonem? Chyba też nie, miała być tablica „Pamięci Krzysztofa Żegockiego i jego powstańców walczących na tych ziemiach przeciw Brandenburczykom i Szwedom 1655—1657”. Coś się nie zgadza ani w Kargowej, ani w Babimoście, nigdzie nie ma płyty czy pomnika pierwszego partyzanta Rzeczypospolitej. Gdyby nie nowosolski doktor i zarazem honorowy prezes Lubuskiego Towarzystwa Kultury, Wiesław Sauter, ci od karmelków, mebli kuchennych, napraw traktorów nie wiedzieliby, że taki człowiek żył i był starostą babimojskim. Ba! Z chłopskim wojskiem przepędził Szwedów spod Kościana, doszedł do Jasnej Góry, stanął u boku Jego Królewskiej Mości Jana Kazimierza, by w końcu przyjąć święcenia kapłańskie i zostać biskupem chełmskim. Zwłoki jego spoczywają na rodzinnej ziemi, w Gościeszynie pod Wolsztynem. O tym wiem z książki doktora Sautera. Ale nie po to szukam mieściny, w której osiadł Kanadyjec z *Wszystkich barw codzienności* Eugeniusza Paukszty. Po latach zamierzam znaleźć choćby ślady stóp pisarza — epika polskiego zachodu — w podzielonogórskich miasteczkach. Raz jeszcze czytam zapis Jana Koprowskiego: „W jego powieści [*Wszystkie barwy codzienności* — A.S.] nie mamy do czynienia z anonimowością ludzi i historii. Jego domeną są obserwacje, wrażliwość na urok i uroki świata, odczucie przyrody i pejzażu, zakochanie się w świecie widzianym i naszym zmysłom dostępnym. Powiem, że żaden ze współczesnych pisarzy polskich nie zna tak kraju i jego życia jak Eugeniusz Paukszta”.

Oznacza to, że tu, w Kargowej, jestem bardzo blisko prawdy. Jeszcze krok, a na pewno spotkam warsztat kamieniarski Łuczywka, stację benzynową na końcu miasteczka przy szosie poznańskiej, aptekę, obok dom kultury. Są! Odnalazłem i stację, i dom kultury, i kamieniczki wygrzewające się w resztkach jesiennego

słońca. A jednak Kargowa! To jeszcze szpital i doktor Gollub, i pierwszy kargowski magister.

— Szpital? — dziwi się modnie odziana osiemnastolatka z nosem à la Nastassia Kinsky. — Rejonowy w Sulechowie. Wojewódzki i inne w Zielonej Górze.

— Doktor Gollub? Pierwszy magister? Kierownik domu kultury?

Za dużo pytań. „Nastassia” spuszcza wzrok na wyasfaltowany rynek, obojętnie wzrusza ramionami, dodaje, że nie słyszała o takich. *Wszystkich barw codzienności* też nie czytała, ona nie ma czasu, pracuje w sulechowskiej „Dianie”, w Kargowej śpi i chodzi do kościoła. Dom kultury jest, stary budynek z oknami zabitymi deskami i zamknięty na kłódkę, bo może zawalić się, a nowy zaraz za pawilonem księgarskim, ale teraz też zamknięty, dopiero po południu pani dyrektorka otwiera go i włącza telewizor. W ogóle w Kargowej nudno, nie to, co w Zielonej Górze. Jej się bardzo spieszy, najlepiej spytać o wszystko pana Rabiegę.

— O tam, przy Więckowskiego 15 mieszka, za nowymi blokami.

Kłapa zupełna. Czyżby Jan Koprowski wprowadził mnie w błąd? Nie ma innego wyjścia, trzeba wracać do Zielonej Góry, spytać Janusza Koniusza, tego serdecznego, choć dużo młodszego przyjaciela epika polskiego zachodu. Zapytam go, czy zna: „Miasteczko biedne, tyle że co nieco uporządkowane po zniszczeniach wojennych, dopiero budzące się do jakiegoś przyszłego życia, rozplotkowane i zadufane w sobie, miasteczko, jakich w Polsce setki i tysiące”. Co odpowie organizator zielonogórskich towarzystw kulturalnych? Takie samo mogło być Krosno czy Świebodzin, nawet Nowa Sól, bo Kostrzyn albo Głogów zza morza gruzów nie widziały najbliższego świata. Dodam więc: „Ani ładniejsze, ani brzydsze. Że jeziora i rzeka, lasów trochę, niedaleko Zielona Góra, autem jeden skok do Poznania”. Pewne

jest, że to miasteczko musi być gdzieś na Ziemi Lubuskiej, między lasami sosnowymi, jeziorami i rzekami, dokąd przybywali ludzie spod Wilna, Łucka czy Lwowa, gdzie kończył się ten wielki *exodus*. „Pauksztę interesuje życie społeczne i człowiek współczesny na polskim zachodzie, a jeszcze ściślej: na Ziemi Lubuskiej, gdzie jak w soczewce ogniskują się ważne wydarzenia i przemiany tak charakterystyczne dla naszego powojennego życia”.

— W leśniczówce u państwa Mosiejenków w Linach, przy drodze z Babimostu do Kargowej, gdzie go odwiedziłem, pisał *Pogranicze*. Była to połowa 1957 roku. Chciał mieć za oknem pejzaż, który opisywał, a obok ludzi, o których pisał — powiedział Janusz Koniusz, serdeczny przyjaciel pisarza.

Jan Koprowski twierdzi, że *Pogranicze* to piękny pomnik, wystawiony ludziom znanym i bezimiennym, których walka, ofiara i poświęcenie powinny być żywe i ważne dla dzisiejszego pokolenia. W *Pograniczu* pisarz przypominał burzliwe dzieje Ziemi Babimojskiej, tego zachodniego skrawka polskości odciętego pruskimi nożycami od Matki-Polski, posiadającego najprostszych bohaterów, bo chłopów, nauczycieli, księży. *Wszystkie barwy codzienności* stanowią literacką kontynuację *Pogranicza* lat pięćdziesiątych, ale akcja powieści została przeniesiona na obrzeża Babimojszczyzny, nie do Sulechowa, nie do Nowej Soli, lecz do Kargowej, tam, „...gdzie niedaleko Zielona Góra, autem jeden skok do Poznania”.

Kargowa nie stała na drodze bezpośrednich działań ostatniej z wojen. Była niszczona wcześniej, bo leżała u wrót do Rzeczypospolitej. W dniu 22 stycznia 1793 roku od granicy brandenburskiej tędy wkroczył „...pruski major von Milkau na czele czwartego batalionu pułku Frankenbergu. Pruski dowódca szedł z pewnością naturalnie nie tyle zwycięstwa, ale i wszelkiego

bezpieczeństwa, ponieważ rozkazy wydane z Warszawy były znane. Stosownie do tego zawezwał kapitana Więckowskiego naprzód na parlamentarkę, następnie w ciągu niej do poddania miasta i ustąpienia. Więckowski zwinął swoją komendę, kazał jej się cofnąć, obsadzić ratusz, nabić broń i czekać jego rozkazów [...] Więckowski z oburzeniem szarpnął konia pruskiego dowódcy w tył, za uzdę i zawołał: «Niech się kto chce poddaje! Pokażemy im, że się bronić umiemy! Dzieci! Jesteście gotowi? Ognia!»". Historyk poznański i popularyzator Kazimierz Jarochowski opisał te wydarzenia dopiero dziewięćdziesiąt lat później. Twierdził, że przez długie lata niemieccy mieszkańcy miasteczka nie pozwalali remontować zrujnowanego ratusza. Autor opisu był w Kargowej, ale grobu kapitana Więckowskiego nie znalazł. Wydarzeniom na kargowskim rynku przyglądał się komisant księgarski August Krushau. Jego relacja trafiła na łamy „Monitora” i być może stamtąd o zajściu dowiedział się profesor paryskiej Sorbony, Adam Mickiewicz, który 26 kwietnia 1842 roku rzekł do swoich słuchaczy: „Sławna pieśń Legionów poczytna się od wierszy, które otwierają historię współczesną: «Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy»”.

Wydarzenia sprzed prawie dwustu lat nie mają pełnej dokumentacji. Nie wiadomo też, jak miał na imię kapitan Więckowski. Chociaż to tylko pół prawdy, na kargowskim ratuszu można odczytać:

1793—1959

Bohaterom poległym w obronie Kargowej:

kapitanowi Więckowskiemu Stefanowi i jego żołnierzom:
kapr. Szymonskiemu, szer. Dolibskiemu Bazylemu, szer. Szymańskiemu, szer. Włodarczykowi
poległym bohaterską śmiercią
w obronie przed zaborem germańskim,
broniąc honoru oręża i granic Rzeczypospolitej.

W dowód pamięci
społeczeństwo miasta Kargowej

Gdyby ten zapis przeniósł do swojej powieści Eugeniusz Paukszta, nie byłoby żadnych wątpliwości — *Wszystkie barwy codzienności* rozgrywają się w Kargowej. On jednak wybrał Żegockiego, też bohatera tej ziemi, patriotę, jakich na Babimojszczyźnie, w Wolsztyńskim było wielu.

Współcześni bohaterowie Kargowej wyglądają listonosza, zbierają grzyby, jagody i zioła w okolicznych lasach sosnowych, grzeją się przed domami w słońcu. Zatroškani o siebie i swoje rodziny nawet nie zauważyli, że to już prawie czterdzieści lat ich pobytu nad Obrą. Bohater *Wszystkich barw codzienności*, emerytowany kolejarz Siwak, łowiąc rybki tak powiedział: „Ale w ogóle żyć to dobrze. Chętnie bym jeszcze zobaczył nasze miasteczko za dalszych dziesięć lat. Jeżeli dotąd tyle zrobili...” Na to stary Jaruga odrzekł: „Pewnie, dobrze jest żyć, choć to różnie w tym życiu bywa”.

Trzydzieści lat temu Kargowa na dobre się rozbudziła. Ludzie młodzi, chętni do pracy, nie żalowali ani rąk, ani czasu, remontowali, budowali, projektowali i marzyli. Dzisiejsza Kargowa przykryła się cieniutką kołdrą kurzu i pajęczyn, śpi niewygodnie i sennie marzy o remoncie domu kultury, o mieszkaniach, o oczyszczalni ścieków... Wtedy ludzie zaczynali, osiadali tu, bo wierzyli w siebie i dawane im obietnice. Powieściowy Dominiak wspomina: „W *Manifestie* tyle się mówiło o Odrze i Nysie; ludzi tam braknie, tylko próbować szczęścia. Spróbował. Zgłosił się na punkt, przydzielili do ekipy, w pięciu kazali jechać, potem wyznaczili Zieloną Górę, a stamtąd pełnomocnik rządu przydział dał na miasteczko. Trzech ich było. Najstarszy został przewodniczącym, drugi objął komendę milicji, jego, Dominiaka, wyznaczili na głównego specja od gospodarki. Niby że ma rozkręcić wszystko, uruchomić produkcję, ludzi osiedlić [...] Co to bandziorów wtedy ciągnęło, co szabro-

wników, kurew różnych, a już najgorzej z tymi niby-politycznymi. Różni tacy broń mieli, za organizacje się podawali, za takie czy siakie wojsko, żądali posłuchu. Paru partyjniaków, co to się zaraz później zameldowali, sprzątnęli nawet, ani dojsć kto. Na przewodniczącego też raz granat rzucili, stoczył się w jakąś dziurę, tam wybuchł, więc mu tylko dwa palce urwało u ręki". Kargowscy ludzie są przekonani, że tak mogło być. Ginęęli nie tylko partyjniacy, chociaż ich najwięcej, lecz i wierzący, i niewinni, kobiety i starcy, nawet dzieci. Dlaczego? Za co? Już po wojnie? Koniejenko zmarł w obronie ziemi własnej, stara Jaruzyna z wycieńczenia i choróbsk wojennych. Nowy cmentarz szybko się postarzał. Byli też i tacy, którzy traktowali swój pobyt w Kargowej jako przygodę, przerwę w jeszcze dłuższej podróży.

Pani Kirgiełłowa mówiła do syna nauczyciela: „Nasze, nasze. Choćbyś nie chciał, musisz pamiętać, że nosisz nazwisko Kirgiełłów [...] Musimy mieć pieniądze, musimy wyjechać z tej strasznej dziury na stare ziemie, do Warszawy czy Krakowa". Na to jej jedynak, Henryk, odrzekł: „...ja do Warszawy ani trochę się nie palę [...] Czas by skończyć z tymi Kirgiełłami. Szanowny dziadek, a tato mamy, siedział na półszoście hektara ziemi w łapciach. Chodził i nie miał żadnych szlacheckich ambicji. A już najbardziej byłby zdumiony, że jakoby miał tam coś pośrednio wspólnego z Grunwaldem". Doktor Gollub myślał podobnie: „Docentura w Warszawie, krótko, nadeszła nominacja na profesora. Ruiny stolicy, ruiny ludzi [...] Rzuciłem to wszystko, przyjechałem tutaj, na Ziemię Lubuską. Jeszcze Gorzów był dla mnie za duży. Na własną prośbę wylądowałem w tej mieścinie. Z Kanady przyjechał Okińczyc, spod Leszna sekretarz partii. Z wszystkich stron ciągnęli ludzie na ziemie piastowskie [...] w zielonogórskim liceum mało to razy wyzywali się od «głębów wileńskich»,

od «pyr poznańskich», to znów od «chachołów» czy «rumunów», bo byli między nimi synowie reemigrantów z Rumunii”. Tak tworzyła się kargowska wieża Babel. Takich kargowian, babimojszczan, sulechowian obserwował Eugeniusz Paukszta, z takimi rozmawiał, takich opisywał.

Jan Koprowski przypomniał: „W roku 1947 Eugeniusz Paukszta wystąpił z debiutem powieściowym *Trud ziemi nowej*. Zapamiętajmy tę datę. Był to okres, kiedy w literaturze polskiej panowała bodaj niepodzielnie proza martyrologiczno-obozowa, kiedy nikt z pisarzy — poza jedynym chyba Jerzym Andrzejewskim w *Popiele i diamencie* — nie odczuwał potrzeby sięgania po temat współczesny, temat aktualny. Tym pierwszym autorem okazał się Eugeniusz Paukszta”.

Wolsztynianin z urodzenia Edward Rabiega aż na Wileńszczyźnie znalazł swoją żonę. Tęsknił, ciągnęło go w rodzinne strony, żał mu było słońca jakby ostrzej grzejącego, zim łagodniejszych, łąk inaczej pachnących, lasów sosnowych i dębowych. Najpierw jako nauczyciel w powiecie Stara Wilejka, później „zawiaduszczyj naczelnej szkoły”, znowu jako nauczyciel rozważał: „Wracać, nie wracać?”. Dla niego oznaczało to powrót, dla jego żony wyjazd. Wrócił w maju 1945 roku, pierwszego czerwca już miał w garści papier i funkcję nauczyciela szkoły w Kargowej. Być może, tym samym pociągiem jechał młody wileński prozaik Eugeniusz Paukszta. Nie znali się wtedy, chociaż pani Rabiegowej nazwisko piszącego krajana nie było obce. Rabiegowie osiedli w Kargowej, Paukszta w Poznaniu. Podobno kilka lat później pisarz zastanawiał się, czy nie przyjąć propozycji władz zielonogórskich i zmienić miejsce zamieszkania.

— W roku 1945 zapisałem się na socjologię w Uniwersytecie Poznańskim — wspomina Edward Rabiega. — Wtedy asystentem profesora Szczurkiewicza był dzi-

siejszy profesor etnografii Józef Burszta. Po czterech latach przerwałem studia. Nie dawałem rady, bo żona nagle zachorowała, było bardzo ciężko, dzieci małe; w 1948 roku, wbrew sobie, zostałem kierownikiem szkoły. Kiedy nastała moda na podnoszenie kwalifikacji nauczycieli w esenach, postanowiłem walczyć o dyplom magisterski. Tyle że w uniwersytecie już zlikwidowano studia socjologiczne. Szkoda mi było czterech lat. Zaczynać od nowa? Znowu tłuc się pociągami do Poznania? Zarywać noce, popołudnia?

Namówiony przez Józefa Bursztę włączył się do ekipy poznańskich etnografów badających kulturę ludową Babimojszczyzny, Ziemi Międzyrzeckiej, zapuszczającej się aż w okolice Zielonej Góry. Edward Rabięga odkrył i opracował dzieje Bractwa Rybackiego. W roku 1959 pojechał zupełnie przypadkowo do Babimostu, akurat odbywała się tam procesja z okazji Bożego Ciała. Ludzi zdobiły nie sukienki żorzetowe, nie garnitury elanowe, lecz dawne, w pełnej urodzie zachowane stroje ludowe. Tego dnia Edward Rabięga wybrał. Wiedział już, że musi zostać etnografem i pierwszym kargowskim magistrem. Właściwie drugim, bo zawierucha wojenna przygnała do Kargowej aptekarza, magistrą Dutkiewicza.

— Sekretarz komitetu powiatowego partii, Stanisław Czestkowski, wspaniały człowiek, dał mi zadanie: załóćcie, towarzyszu Rabięga, stowarzyszenie kulturalne...

W miasteczkach Ziemi Lubuskiej nauczyciele, urzędnicy, instruktorzy kulturalni zrzeszali się w kluby inteligencji. Powstałe w lipcu 1957 roku Lubuskie Towarzystwo Kultury już wydawało pierwsze czasopismo społeczno-kulturalne „Nadodrze”, Międzyrzecz sposobił się do obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, Wiesław Sauter spisywał pieśni regionu kozła lubuskiego, Stanisław Kowalski i Jan Muszyński opracowywali plan odbudowy zabytków architektury, ścieżka ze Stu-

dium Nauczycielskiego w Zielonej Górze poszerzała się tworząc „lubuską drogę do uniwersytetu”.

Do Edwarda Rabiegi przyjechał z Zielonej Góry Janusz Koniusz, obaj odwiedzili Michała Białasa, przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej w Babimoście, a wieczorem do drzwi mieszkania kargowskiego kierownika szkoły zapukał babimojski lekarz dentysta Alfred Kiciński i powiedział, że też chce coś robić. Niebawem jako jedno z pierwszych na Ziemi Lubuskiej powstało Towarzystwo Miłośników Ziemi Babimojskiej. Honorowym prezesem Lubuskiego Towarzystwa Kultury już wcześniej wybrano kramszczanina Jana Cichego, sławnego przed wojną „króla chłopów”. Nauczyciele, lekarze, urzędnicy wysoko zakasali rękawy i z zapałem wzięli się za solidną, rzetelną pracę. W Babimóście powstała Rabiegowa Izba Regionalna. Właściwie to i Białasowa, i Sauterowa, i Koniuszowa.

— Janusz nie wracał na noc do Zielonej Góry, spał u mnie. Wufemką kilka dni z rzędu tłukliśmy się po wsiach, zbieraliśmy materiały, układaliśmy je w gablotach...

Być może, świadkiem tamtych wydarzeń był Eugeniusz Paukszt. Z okna leśniczówki w Linach mógł widzieć Rabiegę i Koniusza na motocyklu i ich obserwować: zagonionych, spoconych, okurzonych, polemizujących, skoro we *Wszystkich barwach codzienności* napisał: „Nie dowierzali, chociaż widzieli własnymi oczyma. Cóż to za wyróżnienie dla ich miasteczka? Widzieli jednak to samo przy okazji wyjazdów w Sulechowie i Międzyrzeczu, i dalej, w Sulęcinnie, w Żarach, ktoś doniósł, że odżyło Krosno Odrzańskie, zupełnie już zagubione dziury raptem rozdzwaniały się uderzeniami kielni o cegły, zdumiewały ambitnymi planami, rozmachem [...] Objawiali też jeden po drugim własną ochotę dopomożenia temu, co się dzieje. Tu i ówdzie odżył już z własnej, nieprzymuszonej woli czyn społeczny

[...] ktoś apelował o uporządkowanie ogródków przed domami”.

Edward Rabiega i jego żona, która nosi w sobie wspomnienia wileńskiej młodości, jakby żalowali tamtych, pionierskich lat. Ale nie tylko oni żyli wtedy nadzieją. Wszystkim się wydawało, że pracą rąk i wysiłkiem mózgów można Kargową odmłodzić, zmienić.

„Okińczyc był zdumiony zarazem i rozbawiony. Przy podsumowaniu paromiesięcznej zaledwie działalności dopiero się okazywało, jak wiele już zostało zrobione. Razem z młodzieżą położyli podwaliny pod przyszły park, pomogły zakłady pracy, gdyby przeliczyć to na złotych, byłyby dziesiątki tysięcy. Zapewniony został regularny comiesięczny przyjazd teatru zielonogórskiego, wielka rzecz. Co drugi tydzień odbywały się prelekcje piątkowe: lekarze, inżynierowie, pisarze. Powodzenie różne, frekwencja jednak stale rosnąca. Teraz nowy wielki konik Golluba i Rękawka, już to ci dwaj dobrali się jak w korcu maku. Uczynić miasteczko i okolice ośrodkiem turystyki. Dogodne położenie, piękne plenery, trochę zabytków, woda, las, niezłe drogi”.

Kto wie, czy Eugeniusz Pauksza nie miał na myśli Alfreda Kicińskiego (doktor Gollub) i Edwarda Rabiega (magister Rękawek). Równie dobrze mógł przenosić na karty powieści postaci doktora Wierusza ze Świebodzina, doktora Jaraczewskiego z Torzymia, magister prawa Iwaszkiewicz z Żar, doktora Sautera z Nowej Soli, artystę malarza Alfa Kowalskiego z Międzyrzecza, magistrą Hajduka z Wolsztyna... Tacy jak oni podsycali żagwie ruchu regionalnego i od takich pisarz czerpał wiadomości, czasem naśladował ich, sam uczył się pracy społecznej, współtworząc w 1962 roku, a więc w pięć lat po powstaniu Lubuskiego Towarzystwa Kultury, Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne.

„Kanadyjec” kargowski Teodor Okińczyc postanowił pomóc młodzieży, ufundował stypendium imienia Fran-

ciszka Lipskiego. Pani Kirgiełłowa powiedziała do syna: „Byłam w Warszawie. Owszem, ładne miasto... Ale nasze na swój sposób nie brzydsze. Nie ma stąd po co wyjeżdżać. Ale jeszcze tam straszna drożyzna. Za niewielki jednorodzinny domek chcieli ode mnie niemalże milion złotych. Tyle mi w Totolotku nie wypłacili... Kupiłam od państwa domek, ponemiecki, do odbudowy. Cały remont ja przeprowadzę, chyba że się z tobą, dziecko, poradzę. Jeden pokój z osobnym wejściem zachowam dla siebie. Nie będę wam przeszkadzała, najwyżej pomogę”.

Rodzili dzieci, wyprawiali huczne weseliska, malowali i tynkowali domy, prześcigali się w pomysłach, czytali plakaty i ogłoszenia. Korcił ich wabiący napis „Twoja przyszłość w Totolotku”, ale oni inaczej myśleli. Powoli zapominali, kto Wilniuk, kto Poleszuk, kto spod Mławy; na nowo uczyli się siebie i nowej ziemi, i historii, i geografii; przyzwyczajali się do odwiedzin wczorajszych intruzów, dzisiejszych tylko gości zza Łaby, czasem sami wybierali się w podróż na stare ziemie.

— Wszystko, co organizowaliśmy, odbywało się w Babimoście i Kargowej. Dzień tu, dzień tam. Wtedy wmurowaliśmy tablicę ku czci żołnierzy kapitana Więckowskiego, bohatera z roku 1793. Jeden dziennikarz napisał, że to ja pośmiertnie ochrzciłem kapitana. Bo niby mieliśmy Stefana Czarnieckiego, Stefana Batorego, dlaczego Więckowski miałby nie być Stefanem, skoro to nasz bohater?

Edward Rabiega już na emeryturze, Michał Białas też, doktor Kiciński wyjechał, magister Dutkiewicz przeżył osiemdziesiąt lat i odszedł tam, skąd się nie wraca, najwyżej we wspomnieniach żywych.

Powszednie życie miasteczka toczy się wokół ratusza i w restauracji „Maraton”. A co w domu kultury?

— Remontuje się... Właściwie ten remont trwa już drugie dziesięciolecie... Proszę spojrzeć, naprawiamy dach.

Mężczyzna w kombinezonie, wsparty na szczotce, spogląda w moją stronę.

— Na czas remontu dom kultury przeniesiono do budynku przy ulicy 27 Stycznia. Wiele się tam dzieje. Są... — referent odpowiedzialny za organizowanie kultury w mieście i gminie bez zastanowienia mówi: — Zawsze można obejrzeć telewizję. A dyskoteki organizuje od ostatnich wakacji „Maraton”. Ludzie najchętniej siedzą w domach. Cały dzień narobią się, to i kultura im nie w głowach. Ale my się staramy...

Wielkie samochody nawet nie zatrzymują się na kargowskim rynku. Z hukiem mkną w kierunku Zielonej Góry albo Poznania. Miasteczko jest dla nich jedynie kropką na mapie. Jeżeli przystają, to tylko po to, żeby z przystanku autobusowego zabrać kilka dziewcząt.

— Towarzystwa kulturalnego nikt nie likwidował. Niby jest, w rzeczywistości go nie ma. Proszę o tym nie pisać — tłumaczy Edward Rabiega. — Jeszcze gotowi mieć mi to za złe.

Jan Koprowski pisał: *„Wszystkie barwy codzienności to jakby przekrój dnia Rzeczypospolitej, z tą jedynie poprawką, że rzecz dzieje się na Ziemiach Zachodnich, gdzie barwy są bardziej intensywne i konflikty bardziej napięte”*. Może wówczas, na początku lat sześćdziesiątych, tak było. Dziś... Dziś wszędzie podobnie, wszędzie ten sam polski język, te same problemy, to samo życie. Odchodzą starsi, rodzą się nowe pokolenia. Te nowe tworzą nowe problemy; może rosną w gąszczu spraw nie rozwiązanych, są jedynie spadkobiercami, sukcesorami?

Eugeniusz Paukszta, którego „...pisanie nie było zawodem [...], ale żywiołem”, odszedł ze świata ludzkich

problemów. Pozostały jego książki, wiele książek. Zapisana historia półkami wspinająca się ku bibliotecznym sufitom.

„Jego książki wydawano w dużych nakładach. Często wznawiano. Nigdy nie zalegały półek. Były czytane. Ale pisano o nich rzadko. W skąpych recenzjach chwälono go za podjęcie tematu. Ganiono za język, styl, kompozycję, gadulstwo, uproszczenia psychologiczne. Trafiając w gusty czytelników, rozmijał się z gustami krytyków. Zdarzały się nawet paszkwile. Niewiele sobie z nich robił. «Jak Żmudzina ugryzie gadzina, od krwi Żmudzina zdycha gadzina. A ja mam w sobie żmudzką krew»” — Janusz Koniusz znał go bardzo dobrze, mógł wydać taką opinię.

Paukszta przypominał trochę Kraszewskiego, przede wszystkim pracowitością. Może więc miał rację Koniusz powtarzając słowa pisarza: „Aby pisać [...] wystarczy mieć dwa procent talentu, pozostałe dziewięćdziesiąt ośmiem trzeba nadrobić pracą”. Również zdaniem Jana Koprowskiego: „...Paukszta jest przykładem pracowitości [...] pisze stale, codziennie, pisarstwo jest jego żywiołem”.

Już nie napisze niczego. Pozostał jedynie w pamięci czytelników, i to nie wszystkich.

— Nie, nic nie czytałem — wyznał odpowiedzialny za kulturę w mieście i gminie. — Mało czasu — próbował się usprawiedliwić.

— Proszę, pierwsze wydanie *Wszystkich barw codzienności* — Edward Rabiega przesuwając szybkę w witrynie, po kolei wyjmuje i kładzie na stole „Roczniki Lubuskie”, w których drukowano artykuły, albumy, powieści i zbiory opowiadań autorów lubuskich.

— Dawno nie mieliśmy książek Paukszty — informuje kierowniczka kargowskiej księgarni. — Gdyby były, w pierwszej kolejności sprzedalabym bibliotece.

Jan Koprowski w „Nadodrze” przypominał rozmowę z jakimś angielskim dżentelmenem: „U was, w Polsce, co drugi pisarz zapowiada się jako geniusz w wieku lat dwudziestu, ale gdy dobieje sześćdziesiątki, nic już zazwyczaj nie pisze i mało kto o nim pamięta. Wasza literatura jest mało pracowita, za wiele czasu poświęcać na rzeczy zupełnie nieważne”. Czy to dotyczy także Paukszty? Pisał przecież do ostatniej chwili życia. Pisał o „wszystkich barwach codzienności”, o sprawach ważnych i mało istotnych. „Pośpiech odbija się często niekorzystnie na materii językowej i stylistycznej utworów Paukszty. Są one rozgadane, a miejscami nawet — niechłujne”.

Zaden z powojennych pisarzy nie poświęcił w swoich książkach tyle miejsca sprawom i ludziom Ziemi Lubuskiej. Czekając na następnego, równie pracowitego, również spontanicznego i żywiołowego, trzeba pozostać przy sądach krytyków i gustach czytelników. Należy zgodzić się z Nikosem Chadzinikolau i Jerzym Mańkowskim, którzy napisali: „Paukszta jest wybitnym znawcą literatury naszych Ziem Zachodnich i Północnych, zarówno dawnej, jak i współczesnej. Poszczególne placówki wydawnicze przekazywały mu do oceny zbiory podań, baśni i legend pochodzących z tamtych terenów, zlecały mu pisanie wstępów do antologii, powieści, zbiorów baśni, albumów (*Złota dzida Bolesława Izabelli Koniusz*, Zielona Góra 1960; *Królewska pieczęć* — zbiór baśni i podań nadodrzańskich Izabelli Koniusz i Heleny Rutkowskiej, Poznań 1962). Jest także autorem licznych antologii, takich jak *Bursztynowym szlakiem* (antologia literacka Warmii i Mazur, Olsztyn 1963), *Odzyskane gniazda* (antologia literacka Ziemi Lubuskiej, Poznań 1963)”.

— Muszę coś zrobić, żeby w Linach pozostał ślad po Paukszcie — postanowił Edward Rabiega. — Wie pan, jeżeli Janusz odwiedzi mnie, to obaj zor-

ganizujemy jeszcze jedno muzeum. Izbę Eugeniusza Paukszy. — Zamyślił się, podniósł głowę, wzrok utopił w żonie. — On chodził naszymi tropami. Myśmy także przybyli z Wileńszczyzny. Kiedy my żyjemy... Niby ludzie pamiętają, ale pamięć zaczyna zawodzić.

1982 rok



Zygmunt Trziszka

„Miałem dwa rodzinne domy, ale nadodrzański jest sprawdzalny, rzeczywisty, mogę dotknąć go, obejść dookoła. Stanąc przy malowanej futrynie i przypomnieć sobie przewidywania przyszłości [...] Wracam na próg nadodrzańskiego domu, nisko pochylam głowę, żeby nie łupnąć czerepem w powalę. Przerosłem jego możliwości, wysokość, nie potrafi mnie pomieścić. Musiałbym chodzić w nim ze stale przygarbionymi plecami i chyba tylko dlatego mógł mi wybaczyć odejście i nie posądził o zdradę rodzinnego progu”. Tak mówił narrator opowiadania *Dom nadodrzański* o tym drugim domu, który mógł być nad Nysą, Odrą czy Notecią. A co mówił o poprzednim, bo przecież autor opowiadania, Zygmunt Trziszka, miał dwa rodzinne domy, w jednym rodził się, w drugim wychowywał? „Dwa razy spłonął mój dom od iskier małej, dziecinnej, mikrej lokomotywy, trzeci raz zabrała go wojna. Wtedy wydawało mi się, że to nie mój prawdziwy dom, bo nie ma dla mnie litości, kiedy tak łatwo chce płonąć, dlatego nie mam go w pamięci”. O innych swoich domach Zygmunt Trziszka rzadko pisze, jakby ten drugi był najważniejszy, nie drugi, lecz pierwszy i ostatni. Przecież on miał i trzeci dom w Ulimiu, i czwarty w podgorzowskiej Kłodawie, i piąty w Zielonej Górze, teraz ma szósty w

Warszawie. Nim dostał klucze do ostatniego domu, nim „wyawansował się” na warszawiaka, popasał w rozmaitych hotelikach, gospodach, pokojach sublokatorskich, na dworcach, w gabinetach. O pierwszym domu wspomina rzadko, najwyżej przy okazji wypełniania ankiety personalnej, bo ten jego pierwszy dom to miejsce urodzenia: Węldirz koło Stanisławowa. Ani wieżowiec z windami szybkobieżnymi, ani murowaniec z wielkiej płyty, tylko mały drewniany domek.

— Kamenicy naszy, ulicy waszy — śmiejąc się wyjaśnia Emil Kunik, który od dziecka dobrze zna wszystkich Trziszaków, bo z ojcem Zygmunta ganiał boso po Niagarynie, nim Józef ożenił się w Węldirzu i założył swoją rodzinę. — Polsko-żydowsko-rusińskie miasteczko, jedna uliczka jak w naszym Jastrzębniku.

Sfatygowana ciuchcia ze Skwierzyny wlokła się dobrą godzinę. Sapała, dychała, kichała, nabierała rozpedu, to przystawała w Gaju, to znowu w Lipkach, w końcu znarowiona opadła z sił w Goszczanowie. Wyśiadłem na śródleśnej stacyjce, maszynista zagwizdał, dorzucił węgla, para ledwie buchnęła, ciuchcia podryndała do Krzyża.

— Którędy do Jastrzębnika? — pytam zawiadowczynię stacyjki, która dwa razy na dzień odprawia ciuchciowe pociągi w kierunku Skwierzyny albo Krzyża. — Pamięta pani Zygmunta Trziszkę, tego pisarza?

— Jego nie miałabym pamiętać? Taż kolegował się z moim synem — ona na to radośnie. — A pamiętam, jak przyjeżdżał pocztowym rowerem po listy, paczki, bo on tu trochę był za listonosza.

„Tom dobrze trafił” — myślę sobie. I nim po szutrowej drodze wytyczonej między dzikimi bzami zszedłem do śliskiej asfaltówki, przypomniałem sobie Trziszkowe pisanie: „Po szynie gna łomotanie ciuchciowe, drymbula przykładą ucho. Liczy w duszy: ciuchcia jest teraz w Chościmiu. O teraz już w Szczanowcu. Dojeżdża

do Goszczowa. Mija pierwsze chałupy Strzębnika”. „E, chyba nie to zapamiętałem?” Ale zaraz otwiera się przede mną *Dom nadodrzański*, czytam: „Po szynie gna łomotanie ciuchciowe, drymbula przykładą ucho. Liczy w duszy. Ciuchcia już teraz w Gościmiu. O, teraz w Goszczanowcu. Dojeżdża do Goszczanowa. Mija pierwsze chałupy Jastrzębnika”. „Aha, jestem we właściwym miejscu”. Popędzany ciuchciowym stękanem mijam pierwsze chałupy Jastrzębnika zamglonego, deszczowego, zatrzymuję się dopiero przed nowym sklepem, pawilonem zupełnie miejskim, pytam:

— Gdzie stoi dom Trziszków?

— Trziszków? Ich już tu nie ma! — odpowiada kobieta w jasnej chustce na głowie z rodzaju tych, jakich gospodynie już nie noszą. — I domu ichnego nie ma. Rozwalony.

Rozwalony? Dom nadnotecki Zygmunta Trziszki, który był dla niego domem nadodrzańskim, rozwalony? On na to mógł pozwolić? Toż pisał: „Nasza chałupa siedzi jakby pod okapem sośniny, stąd blisko sztreki”. Czyżby bez zgody Trziszki, bez uprzedzenia nagle zerwała się leśna wichura, burza, szuru-buru, pokręciła dachówki w esy-floresy, popchała ceglane ściany i nie ma chałupy — drugiej mateńki? Bo to nie pisał: „Jak nie rośniemy na swoim miejscu, to wszystko jedno gdzie nas posadzą”?

Nie wierzę kobiecie, idę szukać chociażby jednej czerwonej cegły, dzikich bzów, drobnego śladu tego domu, w którym Zygmunt Trziszka miał uczyć się od swojego ojca szewskiego rzemiosła. Rozglądam się, patrzę przed siebie. Wieś jak nadrzeczna wieś, po prawej stronie „jedno wielkie bagnisko na służbie wody rozleniwionej. Takiej drugiej wsi nie ma w tym państwie. Słyszał kto o rzece, żeby była zbyt leniwa? Tylko ta Noteć przewielebna sunie przez dolinę jak ciało bez duszy. Wychłapie z siebie wodę i nie umie jej zebrać.

Słońce tego także nie wypije”. Narrator opowiadania *Manuśko* widział podobnie: „Gdzie okiem sięgnąć, ciągnie się młaka. Łęgi zaczynają się od przyodrzańskich zieloności i biegną hen, do sośninowych wydmy. Dalej łożyna ochoczo pije wodę i znów czahary, czahary aż do horyzontu”.

Od lasu ciągną ciężkie, ciemne chmury, zaraz lunie. Ludzie od dawna czekają na deszcz, bo ziemię tu bardzo liche, piaszczyste, żytnio-ziemniaczane. I tydzień ulewnego deszczu niczemu nie zaszkodzi. Przed klubem-kawiarnią kilku mężczyzn z rękami wsuniętymi po łokcie w kieszenie spodni ćmi popularne, czekają na towar, który Tadeusz Uchacz zamówił w hurtowni. Pałają papierosy i czekają, i gawędzą to o tym, to o tamtym, co jakiś czas któryś wychodzi na asfaltówkę i sprawdza, czy już wiozą ten towar. Bo to może przywiozą lepszy proszek do prania albo papierosy zagraniczne, albo chałwę, albo mydło? Pogoda taka, że nikomu nigdzie się nie spieszy.

— Ludzi z Węldirza znajdzie pan w Goszczanowie, w Jastrzębniku, ale najwięcej osiedliło się we wrocławskim województwie. Jak my jechali? Taż wiadomo, co pociągami towarowym do Krzyża, a stamtąd na Zwierzyn. Dostali gospodarki, ziemię, to i siedzimy. Dokąd iść, czego jeszcze szukać? Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Jastrzębnik to była taka mała wieś, coś sześćdziesiąt pięć numerów. Za Niemca żyli tu robotnicy, no, może i gospodarze, ale na pewno więcej było robotników. Jedne dojeżdżali do tartaku, drugie do cegielni w Murzynowie, inne robili w lesie. Jak i teraz — wyjaśnia Emil Kunik, który chował się razem z ojcem pisarza i o którym mówią w Jastrzębniku, że ma gadane.

Jeśli on taki odważny i wygadany, z kilku pieców kosztował komiśniak, to śmiało pytam, co sądzi o piarstwie Zygmunta Trziszki.

— Hm... E... — spuszcza oczy na ziemię. — Ja tego nie czytał. Ludzie gadają, co Zygmunt opisał całą wieś. Ojca opisał. Matkę opisał. Wuja opisał! Ciotkę opisał...

— Czemu śmieje się z kukurydzy, ha? Taż sam wykarmił się na niej. U nas, panie, ziemia mokra, topielna, to kukurydza rośnie jak ta lala, do nieba.

— O! Adaškowa — Tadeusz Uchacz pokazuje przez szybę. — Adaškowa! Chodźcie do nas.

Wchodzi wysoka, chuda kobieta, na klubowym stoliku stawia cztery butelki wody mineralnej, patrzy w moją stronę, jeszcze nic nie mówi, tylko patrzy, jakby wiedziała, po co przyjechałem.

— Cały Jastrzębnik obmalował — zaczyna — nie tylko mnie. Głupek! Całą wioskę obmalował. Tfu, tfu, tfu... Komuż to potrzebne? Pisał, panie, jak się krowa cieli. Abo o Trześniowskim... Sam zapomniał, co kukurydzę jadł. Głupek! Tfu, tfu, tfu! — Chwyta te swoje cztery butelki pod pachę, niby odchodzi, ale wraca spod drzwi, to siada na krześle, to wstaje.

— Prawdę opisał — broni autora *Wielkiego świniobicia* Kunik.

— A ty skąd wiesz? — Adaškowa podrywa się z krzesła. — Prawdę, prawdę...

— Jakby ktoś chciał go podać do sądu, wygra? — pyta Antoni Boratyn, uprzednio opowiedziawszy swój przed- i powojenny życiorys.

— Chyba o was źle nie pisał? — tłumaczę powtarzając to, co Stefan Jurkowski napisał w „Tygodniku Kulturalnym”: „... debiut prozatorski Zygmunta Trziszki zwrócił na siebie uwagę, niemal od razu stawiając autora *Wielkiego świniobicia* w szeregu pisarzy rokujących duże nadzieje. Zaprezentował bowiem Trziszka i tematykę nie byle jaką, i sztukę narracji odznaczającą się swoistym witalizmem, pomysłowością w zakresie językowym”.

Adaškowa znowu ustawia butelki na stoliku, pod-

chodzi do mnie, nachyla się, macha rękami, tłumaczy:

— Mnie on nie opisał. Ale jakby mnie... — Podniosła rękę zaciśniętą w kułak.

— No i co byście zrobili, Adaškowa? — pyta Uchacz, śmiejąc się z sąsiadki.

— Na ten przykład złodziej. Siedzi pod kluczem, ale w „Gazecie Zielonogórskiej” nie piszą, jak się on nazywa, tylko jakiś B. albo C. Tajemnica? — Boratyn zadziera głowę.

— O tych z „Solidarności” pisali prawdę — twierdzi Adaškowa.

— Jaką prawdę? — buntuje się Boratyn przypalając kolejnego papierosa. — Co my wiedzieli?

Potem było o partii, wojsku, zbowidzie, naczelniku gminy, remoncie klubu-kawiarni, znowu o partii... I znowu o rodzinie Zygmunta Trziszki, o wujach i ciotkach, o całej wsi, która jest jak wielka rodzina. Adaškowa już wychodziła, wracała spod drzwi na oścież rozdziawionych, teraz mnie każe iść do sołtysa albo Forsterów, albo do jeszcze kogoś innego, bo w Jastrzębniku ludzie spokrewnieni. „Nasza wieś jest jak jedna rodzina. Przyjeżdżali najpierw Poleszuki. Takim wodniakom mokradła pachną, tacy za czarnymi torfowiskami tęsknią jak górale za połoninami”.

Stefan Jurkowski: „Ale Trziszkę interesują przede wszystkim ludzie, ich reakcje, sposoby aklimatyzowania się. Fascynuje go cały dramatyzm tego typu przeżyć, wywołanych zmianami społecznymi; dramatyzm biorący u Trziszki swe źródła nie tyle może z pokładów tkwiących w świadomości chłopskiej, ile odwołujący się do tożsamości ludzi, których nagle historia rzuciła w zupełnie nowe i obce im obszary nie tylko geograficznie, ale i psychologicznie”.

— Co nam? Dobre życie — twierdzi Adaškowa i pokazuje te swoje cztery butelki wody mineralnej.

— My zgodne — Boratyn na to. A Kunik, zapaliwszy zagranicznego papierosa, rzekł wesoło:

— Mrugniesz do sąsiadki za stodołą, już wszyscy wiedzą.

Po chwili nijakiego bajtlowania wracamy do powojennych lat Jastrzębnika. Już spokojnie, bez przekrzykiwania się, już się wszyscy zgodzili, że Zygmunt Trziszka nikomu nie wyrządził żadnej krzywdy. Opisał ich i jakby nie ich. Więc pytam, jak go zapamiętali.

— Ja szedł z żoną, a on dogadywał: „Ale nóżki” — przypomina Emil Kunik, a Tadeusz Uchacz potwierdza to.

— U nas był mocny elzetes. Chłopaki dobrze grali w siatkówkę. Jeździli do Murzynowa, do drugich wsi w powiecie. Nie było na nas silnych. Zygmunt Nowakowski, Stacho Wójciszyn, Hajdasz. Zygmunt nie grał. Najwyżej siedział na pieńku i sędziował albo dogadywał.

W opowiadaniu *Wschodzący dzień* czytam: „Trzeba włożyć do Kunikowego ogrodu. Stara Kuniczka siedzi przy oknie i niech tylko zobaczy, że piłka leży na grządce, to już w garść bierze kawał paterygi i łup, łup, przez plecy”.

— Dziś co? Młodzi nie chcą sportu. Pojedzie jeden taki do baru, weźmie pięć setek za sześćset złotych... Ot i masz cały sport. — Kunik macha ręką jakby odganiał komary, których, choć to maj, jakoś nie widać i nie słychać. Dopiero pod wieczór rozkomarzy się, że nie wiadomo, dokąd uciekać. — Takie nastały czasy, nie ma co.

— U Trziszków była bida — mówi Boratyn, zły, że nie chce słuchać jego ciekawego życiorysu. — Ojciec chorował, stękał, kwękał i umarł. Czworo dzieci, Zygmunt był drugi, to i ciężko samotnej kobiecie. Rodzina trochę pomogła. Jednego wziął na wychowanie wujek.

Co by matka sama zrobiła? Taż chłopaczyska, jeść dać trzeba, ubrać, a i dupę pasem zerznąć.

„Przyszedł dla mnie uroczysty wyjazd do szkoły. Od rana paradowałem w garniturku, zrobili go na miejską modłę, ale potem dowiedziałem się, że nie jest miejski. Rozgłosiłem o tym, we wsi mówili: «Chłop ze syła, a chodaky z mista» — i było im wesoło. Paradowałem w garniturku. Na pożegnanie zebrała się cała wieś, no przynajmniej pół. Mówili: «Jedź, przetrzyj drogę dla naszych synów»”.

A on spartaczył robotę, przetaił nie drogę, lecz ścieżkę, taką ścieżynkę, wąską, wyboistą. Sam wyedukował się na nauczycielczaka, później — wojewódzkiego żurnalistę, jeszcze później — samodzielnego skrybę. Była też zsyłka na „działakowanie” w Związku Młodzieży Wiejskiej w Zielonej Górze. I chociaż tamten uczniowski garniturek wymienił na dobrze skrojony garnitur z elany, na nogi założył skórzane meszty, długo jeszcze pamiętał słowa pożegnalne ludzi ze swojej wsi. Przypomniał je w opowiadaniu *Ucieczka*: „Miałbym zawieść ufne spojrzenia, które prosiły: «Jedź i wymość drogę do miasta, pokaż naszym synom drogę do miasta». Nie o mnie mi szło, siebiem nie żałował, ale nie miałem prawa zawieść całej wsi”. W *Dojrzewaniu* zaś: „Mama mówiła, że jak kogo do dziadowskiej księgi zapiszą, to już musi dziadygą zostać”.

Nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jak szpetnie spartaczył owo przecieranie drogi do miasta. Niewielu jastrzębniczian przywdziało miejski garnitur, wsiadło do niebieskiego autobusu i odjechało stąd na zawsze. Owszem, jeżdżą, ale do gorzowskiego „Stilonu”, „Silwany”, do skwierzyńskiej wikliniarni, do eskaeru w Lipkach. Wstają razem z kurami i dopiero o zmierzchu, zmęczeni, wracają na krótki nocleg do Jastrzębnika.

— Ze stodoły zrobił ja córce dom, drugi syn też zo-

naty, najmłodszy przy mnie, piekarz — dumnie opowiada Emil Kunik, bo niby dzieci dobrze wywianował. Antoni Boratyn dodaje:

— Teraz u nas mało gospodarzy. Hajdasz, Baranowski Henryk, Słonimski Józef i Kazimierz... Błatkiewicz. Kto jeszcze?

— Kiliański — wtrąca Hala, wuj Zygmunta Trziszki.

— Mówił ja. Aha! Depa, Tokarska. O, Śniegowski!

— Nie więcej niż dziesięciu — podsumowuje Hala wyciągając obie dłonie.

Ziemia licha, podmokła, między lasami sosnowymi, wśród oczeretów, więc pytam, czy ta ziemia leży odłogiem.

— E, nie. Trochę wziął pegeer Murzynowo, trochę eskaer Lipki, trochę dali na działki rencistom. To, pannie, kiepska ziemia. Wiosną przyjdzie woda i zaleje pola, że nie wiesz, gdzie brzeg Noteci, a gdzie łąka.

Nie pytam, ale wygląda na to, że Jastrzębnik od Trziszkowych lat wcale się nie zmienił. „Prawdziwego gospodarza nie było tu nawet na lekarstwo. Prawdę mówiąc, ułomki i tałatajstwo. Waśka ich nazywał społecznymi perekińczykami, co Podolak i Wołyniak rozumieli tak samo jak «fornal» łemkowski. Na palcach obliczali tak: prorok Bryndza — w cywilu woźny-nauczyciel, Kaniuk — chłop-budowlaniec, Manuśko — manipulant-parobek, Gospodarczuk — robotnik-fornal”.

Deszcz zacina w szyby, a my tak sobie siedzimy i rozmawiamy; Boratyn wspomina powojenne czasy kolektywizacji, Kunik żali się, że za mało otrzymuje emerytury czy renty, Hala pociąga popularnego, a Uchacz to sprzedaje papierosy, to staje obok nas i kiwa głową.

— Ja zasłużony. My z Halą byli w Istribitielnych Batalionach. Co, nie należy się więcej? — Kunik wyciąga z kieszeni ostatni odcinek renty czy emerytury.

— Dobry był chłopak.

— Kto? — pytam, bo Boratyn nie wymienił żadnego imienia.

— Zygmunt. Ja mam u siebie dwie jego książki. Moja córka, co mieszka w Gnieźnie, wszystkie.

— Myślicie, że ja nie mam? — Uchacz na to.

— Każdy ma — twierdzi Kunik.

— Jest taka druga wieś, żeby o niej aż tyle było w książkach? O nas już historia... Żeby tak opisać moje życie. Ja walczył pod generałem Bortnowskim... — Boratyn zaczyna opowieść, której wcześniej ani Adaśkowa, ani Kunik, ani Uchacz nie pozwolili mu skończyć. — Moje życie było ciekawe. Rękę urwało pod...

Już i Adaśkowa nie ma nic przeciw Trziszkowemu pisaniu ani Hala, ani Kunik, ani Uchacz. Zgodzili się ze mną, są zadowoleni, że wnuki poznają historię osadników znad Prypeci i Prutu, być może kiedyś zanućą którąś pieśń wpisaną w opowiadania Trziszki, a może zechcą wypłacać łapcie z łyka, piec komiśniak na zakwasku. Po chwili milczenia Boratyn dodaje:

— On tak pisał, jak my rozmawiali. Czemuż się dziwić? Ludzie zbierane, jedne z Polesia, drugie spod Warszawy.

— Tak i ono jest — westchnęła Adaśkowa kiwając głową.

Dziś na weselach w Jastrzębniku nie słyszy się tego, co druhenki śpiewały na zaślubinach Heńki:

Wstążeczki jej odpinajum,
rozmarynek za piec épajum,
zawdziiali ji to czepczyskuo,
musi kochać to chłopiskuo.

A i Rusnacy nie wyśpiewują po swojemu:

Cziom ty płaczesz, czoho tobi žal,
toho winka zelenoho, szty ty mi ho wziął.

Bo i wesela teraz inne, najwyżej w sobotę po południu, całą niedzielę, a w poniedziałek pan młody autobusem musi jechać do Gorzowa, Murzynowa, Lipiek. I już nie schodzi się cała wieś, najwyżej najbliższa rodzina, koleżanki, koledzy, znajomi z fabryki.

Niekiedy wracał Zygmunt Trziszka do swojego Jastrzębnika, bywał na zabawach w Goszczanowie, Lipkach Wielkich, gdzie bufet obficie zaopatrzony i orkiestra doborowa, ale już jako gość, wyedukowany nauczycielczak, paniaga. „Niby byłem polonistą, a jednak nie byłem. Chwała kiepskim profesorom wszystkich zakładów naukowych, którzy chcieli mnie nafaszerować akademickimi frazesami [...] W Opolu u profesora Kolbuszewskiego robiłem wszystko, żeby nie zostać licencjonowanym polonistą”.

Jako polonista i autor pierwszych opowiadań, wtedy jeszcze sporadycznie drukowanych tu i tam, awansował. „Było tak: zostałem zupełnie nieopierzonym mieszkańcem wojewódzkiej Zielonej Góry i jako najczystszej wody wolontariusz zacząłem służyć w «Gazecie Chłopskiej». Zielona Góra była wtedy pewnie najlepszym miejscem na świecie, gdzie można było uprawiać «selfmademaństwo». We wszystkich branżach wyzwolonych — dziennikarstwie, literaturze, nauce — doszli do głosu samoucy. Samouctwo rozumiem bardzo szeroko, wliczam do samouków wszystkich kształcących się zacocznie i za pomocą innych «kombinacji». Wojewódzka Zielona Góra chciała zafundować sobie własne środowisko twórcze, więc aura sprzyjała samoukom. Z tego eksperymentu miasto ma dziś własnych profesorów i docentów, poetów i dziennikarzy [...] Wydaje się, że w pisarstwie akurat samouctwo jest najwłaściwszą szkołą”.

W książce-wyznaniu *Mój pisarz* już nie jastrzębnikowski, nie zielonogórski, lecz warszawski Zygmunt Trziszka przyznał się: „...niedawno Henryk Bereza po-

twierdził moje przypuszczenia pisząc, że jestem swego rodzaju self-made man, na własny rachunek „robiący siebie”, czyli swoją biografię wewnętrzną. A więc nie o pobieranie nauk szkolnych by tu chodziło, bo pisarz powinien uczyć się siebie, innych ludzi i świata z Księgi Autentyku, której nie sposób wydrukować, bo nikt nie wie, gdzie się znajduje jej oryginał”.

Chwilowe zapomnienie? Roztargnienie? Skromność? Może nieuczciwość? Przecież Zygmunt Trziszka doskonale wie, że oryginał jego Księgi Autentyku znajduje się w Jastrzębniku na Ziemi Lubuskiej, nad Notecią przewielebną. Przechowują go Forsterowie, Kunikowie, Hajdaszowie, Kiliańscy, Błatkiewiczowie, Boratynowie... Starzy przekazują Księgę Autentyku młodszym, ojcowie synom, matki córkom. Henryk Bereza w *Ziemii pisarza* twierdzi, że „... świat wewnętrzny każdego człowieka, a więc i pisarza, kształtuje się w dzieciństwie i młodości [...] ten ukształtowany wewnętrznie świat pierwszy ustanawia, jeśli nie jedyną, to podstawową przestrzeń życia wewnętrznego”. Autor zaś *Wielkiego świniobicia* dodaje: „Ta ziemia, pierwszy język, pierwsze odczucie świata — jest niczym matryca, w psychologii określona przez Kępińskiego terminem *imprinting*, a w sensie społecznym oznaczająca pierwszą rzeczywistość ludzką”. Wcześniej, tuż po ukazaniu się trzeciego zbioru opowiadań *Dom nadodrzański*, prozaik wyznał czytelnikom „Tygodnika Kulturalnego”: „Pisząc opowiadania, wykorzystałem pamięć prostą, dokumentalną, mówione pamiętniki mojej rodziny [...] Słucham żywej mowy mieszkańców tych okolic [...] Sięgam do swojej biografii i przypominam sobie, że jak zaczął się repatriancki *exodus*, to miałem osiem lat, a to najlepszy wiek, żeby dni wyjścia do nowej ziemi zapisać sobie w podświadomości”.

Zygmunt Trziszka miał wielu nauczycieli. Najczęściej wspomina sąsiadów — jako pisarz, nie plotkarz,

nie sołtys, nie milicjant, lecz właśnie trochę socjolog, trochę psycholog. Mówi o nich zapominając, że tylko ich ma na myśli, że ich mowę, obyczaj, kłopoty i sukcesy przenosi na karty swoich książek. Ma także innych nauczycieli, o których tak pisze: „U Berezy uczyłem się filozofii świata literatury, Buczkowski dał mi możliwość wglądu w mowę wewnętrzną, Kępiński wyłożył mi filozofię człowieka i świata, a Ozga umożliwił nawiązanie do zagubionej tradycji ludowej, z jej najważniejszą wartością — kulturą śmiechu, wreszcie Worcell nauczył mnie, jak literacko należy traktować doświadczenia życiowe”.

Stefan Jurkowski pisał: „Korzystając więc [...] z niezwykle dynamicznych realiów, mógł pisarz stosunkowo łatwo ustrzec się fabularnej statyczności. I zapewne w jakiejś mierze samemu tematowi zawdzięcza taką wyrazistość akcji, ale jednak, będąc twórcą ambitnym, Zygmunt Trziszka już od pierwszej książki nie poszedł tylko na taką łatwiznę. Od razu dał się poznać jako psycholog i w pewnym sensie socjolog, starający się nie tylko opisywać, ale głębiej analizować te wszystkie zjawiska, pokazać je w szerszym aspekcie, a nie tylko w małym wycinku fabularnym”.

Od wczesnego rana siedzę w deszczowym Jastrzębniku, słucham mowy tych ludzi w czapkach-uszatkach, chustach pstrokatych zarzuconych na przygarbione plecy, którzy kropla w kroplę przypominają Seczukowego Jasia, Krzesiaka, Franczuka, Olszewską, Skową, ale już nie słyszę „chachłajskiego” ani „pyrakowatego”, ani poleszuckiego, ani rusińskiego języka. Czyżby jastrzębniczanie wstydzili się swojej domowej, rodzinnej, codziennej mowy? A może zapomnieli, co to młodycia, pateryga, kaban, newistka? Bo jeszcze nie tak dawno, może dziesięć, może dwadzieścia lat temu, Manuśko uczył matkę: „... mów: «będę» — a ona: «gege-bęę» — przedrzeźnia. — A ty «pyraku»-duraku. —

Myśli, że jakby jej «pyrę»-newistkę przyprowadził, toby ciągle musiała „ękać”, bo byłoby tamtej dziwno”. Co człowiek, to inny język. Tak jest prawie we wszystkich opowiadaniach i powieściach pisarza znad Noteci. Stefan Melkowski odważył się napisać: „Trziszka jest mistrzem niezrównanym. Snuje swoją opowieść zdawałoby się językiem Orzeszkowej. I raptem niepostrzeżenie, nie jak u tej Znakomitej Pani na zasadzie ostro wyodrębnionego cytatu, ale jako element konieczny dla skomponowania całości padają słowa znad Prypeci i znad Prutu, słowa zaczerpnięte z gwar całej Polski”. W Jastrzębniku, wśród tych ludzi, nie można już rozpoznać, kto ciągnął pierzyny, wozy, łóżka, konie znad Prypeci, kto znad Prutu, kto spod Koła czy spod Łomży. Ludzie wymieszali się jak ciasto chlebowe w dzieży, znadnotecieli, zjastrzębnicyli się. Gdyby Mieczysław Orski znowu chciał, mógłby kontynuować pisanie Trziszkowego słowniczka, uzupełniać to, co kiedyś zaczął: „Bohater Trziszki nie mówi, tylko «jojczy, mamka, plumka, glanie, bałaka, bajtluje», nie myli, tylko «kapułka», nie gubi, tylko «za potarajka», nie jeździ wozem, tylko «drandygą», nie śpi w łóżku, tylko w «koju, jebotku — wilusiowym, bejcowanym, wyfiuczonym», jego adwersarze nie złoścą się, lecz «sekuja», on sam umie ich «okmasztować, oczmucić»”.

Najpierw Boratyn podniósł się ciężko, po nim wstał Wacław Hala, w końcu najbardziej cierpliwy Emil Kunik. Adaśkowa już dawno wyszła z klubu-kawiarni, ale jeszcze nie poszła do domu, tylko zatrzymała się przed sklepem, gdzie w południe najwięcej ludzi. Czekają na niebieski autobus do Gorzowa, wyglądają geesowskiego samochodu, który lada chwila powinien przywieźć chleb i coś jeszcze. Może jakąś kiełbasę albo herbatę „Madras”, albo pieprz, albo kawę prawdziwą. Tadeusz Uchacz, gospodarz jastrzębnickiej klubu-kawiarni od prawie dwudziestu lat, oprowadza mnie po pomieszcze-

niach, których nie powstydziliby się żaden miejski dom kultury. Na ścianach dyplomy za zajęcie pierwszych miejsc w konkursach „Na najlepszy klub Ziemi Lubuskiej”. Za drzwiami na wprost wiejskie, skromne muzeum: polowy aparat telefoniczny, granat, mundur żołnierza „informowanego” — jak powiedział Boratyn albo Kunik — nad Oką. W ostatniej sali w gablotach medale za Berlin, Odrę, Nysę, Bałtyk, Warszawę, listy Jana Malarza do rodziny pisane w Strusow pod Frankfurtem nad Odrą, rogatywka przedwojennego kawalerzysty.

— Po remoncie trzeba będzie znaleźć kącik dla książek Zygmunta — stwierdza Tadeusz Uchacz i pokazuje kronikę klubową, w której jest spisana długa lista nazwisk i życzeń pisarzy, dziennikarzy, muzyków, aktorów, działaczy. — Nawet Julian Kawalec był u nas — dodaje dumnie, czekając na mój zachwyt.

Długo szukałem wpisu, choćby kilku słów, skromnego życzenia czy podziękowania Zygmunta Trziszki. Nie znalazłem. Ale kronika jeszcze w połowie pusta.

— O, jego dawno nie było. Do kogo przyjedzie?

Na goszczanowskiej górcie odnalazłem mogiłę z 1953 roku Józefa Trziszki. Na tym kawałku śródleśnego piaszczystego pola, przy kościółku z solidnej, czerwonej cegły spoczęło na zawsze wielu jastrzębniczan: Karolina Forster — 1958, Franciszek Forster — 1962, Alojzy Forster — 1968, Franciszek Kunik — 1964, Maria Pereszłucka — 1975, Ewa Sobczuk, Bożena Sobczuk... Miejsca dużo, las pachnie żywicą, drzewa szumią jakby grały wieczny hymn zmarłym. Bronisław Patriarcha w powieści *Dopala się noc* tak sobie rozmyślał w sadzie: „Grzech mówić, bo wojna najgorsze nieszczęście, ale dopiero tu może zaznam spokoju, gdy marnotrawnego syna zgubiło za rzeką. Nim dojdzie jaka wiadomość, kawał czasu trzeba. Spokojnie doczekam swoich dni.

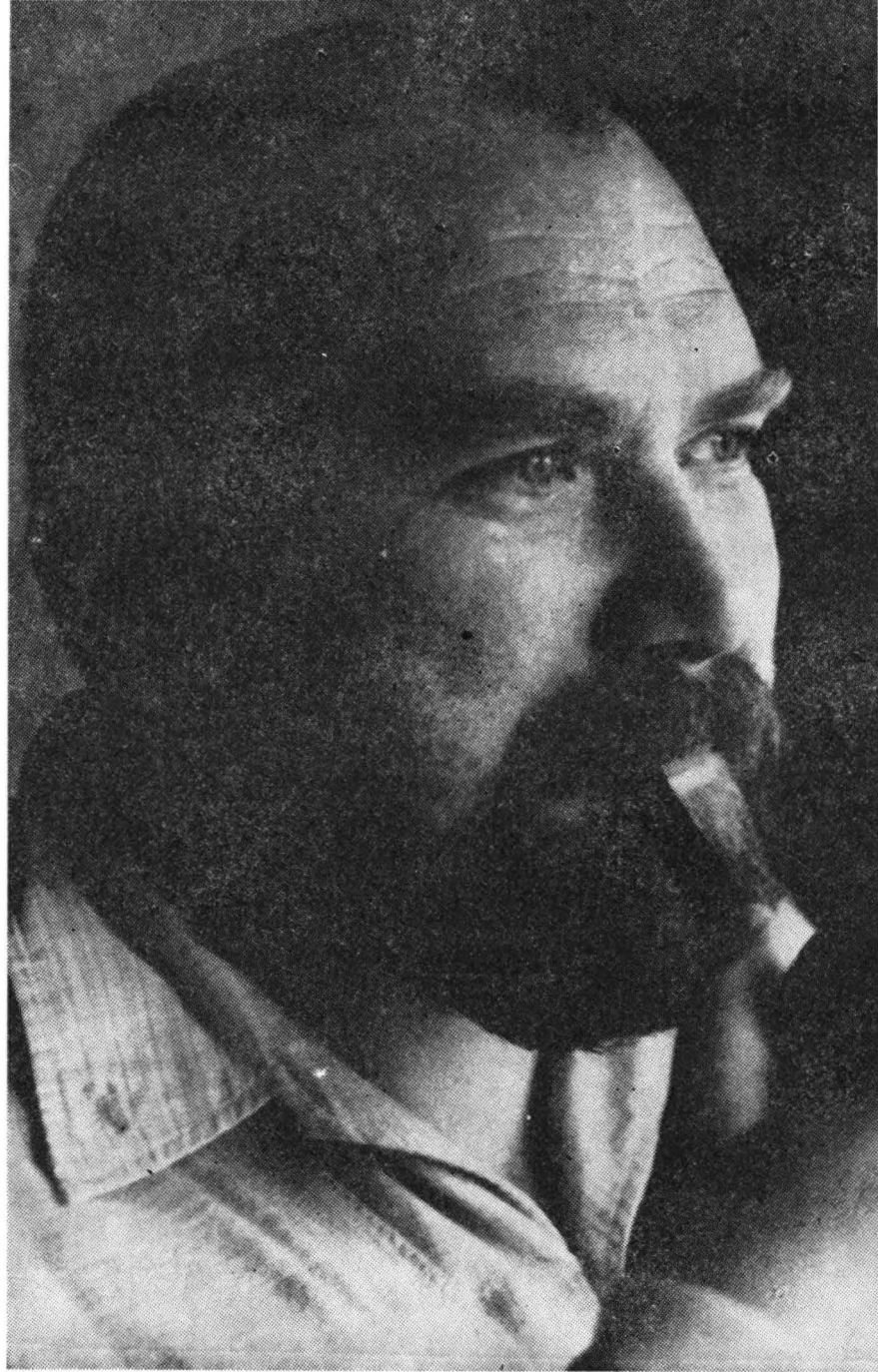
A Pan Bóg dobry, może zezwoli położyć kości na swo-

im polu. Ile to może potrwać? Rok, dwa, pięć". Mały goszczanowski cmentarz jest zadbany, cichy.

W liście do mnie Zygmunt Trziszka pyta: „A czort jego zna, gdzie nasze miejsce? W Weldirzu? No, jak wracać do Weldirza, kiedy tato leży na górze w Goszczanowie? To może do tata, koło tata? Ale mama w Lubsku. To do mamy? «Kto liczy plony nasze [...] skazanych na wieczne rozstaje»”.

Asfaltową szosą, wzdłuż której rozsiadły się murywane domy Goszczanowa i Jastrzębnika, idę na koniec wsi, do tego miejsca, gdzie kiedyś stała chatka-mateńka. Nie ma już domu nadnoteckiego Zygmunta Trziszki, ani śladu, ani jednej cegły, ani płotu pochylonego; niczego nie ma. I jego już nie ma w Jastrzębniku ani w Zielonej Górze. Teraz chodzi Marszałkowską, Jerozolimskimi, Grzybowską i patrzy na domy z aluminium, szkła, na wieżowce i bunkry z wielkiej i małej płyty, i może mówi sam do siebie: „Ty, bratku, nikogo nie bałamuć, zawsze przechrzta najgorszą zgagą, tyś taki sam przepisaniec, chłopskie papiery przerobiłeś na pańskie, ale są tak zababrane, że nikogo nie okimtujesz, żeś pan [...] Przebierańca i przepisańca trzeba się bać jak ognia, uciekać na kilometr”.

1983 rok



Janusz Olczak

Skwierzyńskie skrzydła

Sumiennie zapisywać będę wszystkie wielkie wydarzenia, których nie braknie, aby karty dziejów naszego batalionu usiane były wawrzynami.

(Jaroslav Haszek: *Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej*)

Przez Skwierzynę wiedzie najkrótsza droga ze Sztokholmu do Pragi, Budapesztu, Istambułu. Przez Stołpce najbliżej z Paryża do Moskwy i Władywostoku. W Skwierzynie przystają wielkie auta, w Stołpcach zatrzymywały się pociągi międzynarodowe. Obie miejsciny połączył swoją osobą Janusz Olczak, pisarz przypominający bohatera opowieści Jaroslava Haška, kronikarz i piewca Skwierzyny aż w szesnastu wydanych drukiem powieściach i zbiorach opowiadań. Kto ze współczesnych włodarzy pióra jest podobnie wierny swemu gniazdu rodzimemu, kto dostaje skrzydeł, by z wysokości wieży magistrackiej ciągle patrzeć na domy zszarzałe, ludzi takich i owakich, kto?

Melchior Wańkowicz w tomie *Od Stołpców po Kair* napisał: „Doktor Lewin poczuł ciepło w sercu od tego salutowania. Zamknawszy drzwi, raz jeszcze spojrzał na wezwanie: dwudziesty ósmy sierpnia, poniedziałek. To jutro. Wyciągnął z szafy mundur”. Następnego dnia po uderzeniu wojsk niemieckich na Związek Radziecki, armia pancerna Guderiana zajęła Stołpce, wycofała się i po kilku godzinach, już 24 czerwca, zdobyła je powtórnie. Tego samego dnia w stołpcckim szpitalu, dosłownie na linii frontu, w rodzinie Olczaków urodził się chłopiec, któremu nadano jedno imię: Janusz. Był

zły wojenny czas, a jego — jak wielkiego hospodara — witały wystrzały armatnie. Może rzeczywiście narodził się wielki, no, potężny? W *Siwych skrzydłach* narrator wyznawał: „Ważylem dziewięćdziesiąt siedem kilo i łysiałem od czoła. Każdy mówił i ja tak uważałem, że ładnie łysieję, bo tylko czoło mi się powiększa i ciągle mam włosy, mogąc czesać się i na bok, i z grzywką, i nawet na jeża. A co do wagi, to zawsze byłem z rodzaju «człowieka-szafy», w miarę wysoki, ale głównie szeroki, barczysty i potężnostopy. Nawet w latach młodzieńczej szczupłości zawsze ważyłem ponad osiemdziesiątkę. Jak z tego wynika, ani swojej tuszy, ani łysienia nigdy nie dostrzegałem, dopiero gdy te dwa skrzydła siwych włosów zatrzepotały mi w oczach”. Wbiłem wzrok w amatorską, a więc bez retuszu fotografię Janusza Olczaka, powtarzam tekst, zastanawiam się — on, nie on? Chyba jednak on. Na pewno on.

Zenon Łukaszewicz, który niejedną godzinę przegadał w skwierzyńskiej pracowni prozaika, pisał: „Dla kogoś, kto zna biografię autora, wie, jak bardzo on ją eksploatuje, jak wierny jest własnym przeżyciom. Ta proza powstaje z autopsji, korzenie jej tkwią w osobistych doznaniach i obserwacjach”. Olczak w ostatniej swojej książce zrewanżował się Łukaszewiczowi, nawet Bogu ducha winnemu Henrykowi Ankiewiczowi. „Nawet Andabata, błyskotliwy dziennikarz z Zielonej Góry, nie potrafił wypełnić tej luki na resztę urlopu. Andabata sporo opowiadał Brandenburze o swoim redakcyjnym koledze Zenku, który miał wiele ciekawych pomysłów i w ogóle zdrowy, jasny, szlachetny pogląd na człowieka i jego wspaniałe życie”.

Wybrałem się więc do Skwierzyny, gdzie znajduje się skrzyżowanie światowych dróg, gdzie jesień pracowitego życia spędza matka pisarza, gdzie wieże magistratu, knajpa „Bycze Jajo”. Zaraz, zaraz, „Bycze Jajo”? To może „Pod Bykiem”? Po ekranie umykającej

pamięci przebiegłem miasteczko wszerek i wzdłuż, byłem na trapezowatym rynku, w restauracji „Warta”, w kawiarni bez nazwy, ale knajpy „Bycze Jajo” ani śladu. „... więc chcąc nie chcąc poszliśmy do knajpy «Bycze Jajo», niosąc ze sobą niecierpliwie zakupione butelki”. Zwątpilem w prawdomówność Łukaszewicza. Czyżby Olczak nie zawsze korzystał z autopsji?

— Gdzie można wypić setkę? — pytam kolejowego emeryta i udaję zziębniętego, chociaż zimy ani widu, ani słyhu. Styczeń, jak zawsze w tych stronach, kwietniowy.

— Nu, „Pod Bykiem” — rzekł emeryt, szczerząc bezzębne dżiasła. — Pójdiesz pan jak te wielkie auta, prosto na Gorzów. — Zbaraniałem. On musiał to dostrzec, bo zaraz dodał: — Napisano „Bar Lubuski”, a my jego nazywajemy „Pod Bykiem”.

Tom prawie w domu. Już wierzę Łukaszewiczowi, Olczak też ma rację, nie okłamał mnie. Znudzony pisaniem, wtykał waryńszczaka w kieszeń i walił „Pod Byka”. A z kim on tam pił, czyje zdrowie, chyba nie sam i nie przed lustrem? Już się nie dziwię, wielkich nie potrafią zrozumieć mali. Co drugi pisarz dziwaczej nad manuskryptami, normalni zjadacze chleba nie piszą powieści, najwyżej układają tomy na półkach i cieszą się, że ładnie, że modnie. U kogo więcej równiutko wspinających się ku sufitowi woluminów, ten mądrzejszy, „światowiec”. Tak sobie myśląc, doczłapałem do ostatnich domów Skwierzyny. Dalej już las, a za lasem wojewódzki Gorzów.

W „Barze Lubuskim” jak przed koncertem wielkiej orkiestry symfonicznej: szuranie, przestawianie, rzępolenie. Więc i on to słyszał; wchodził krokiem powolnym, rozglądał się. Sala milkła. „Nasz pisarz!” — tak zapewne krzyczeli bywalcy i robili mu miejsce przy stolikach. „Do nas, mistrzu! Zdrowie pisarza! Nie, zdrowie wieszczka! Niech żyje! Sto lat! Setka za pisarza, set-

ka za Skwierzynę, setka za spotkanie, setka..." Och, ciężko. Ile człowiek może wypić?

— Zależy jaki człowiek, bo są różne ludzie. Na ten przykład ja — chudogęba wali pięścią w piersi aż dudni — i pół litra obale. Byle piwa dowieźli.

To i może Janusz Olczak przyjmował takie zakłady i wygrywał je, a oni z podziwu kręcili głowami. Wszak on waży blisko cetnar.

Obejmuję wzrokiem twarze: zmęczone, nie golone przynajmniej pół miesiąca, co drugi ma baki „jak u sobaki”, czapki zawiadacko zepchnięte na tył łysiny, kufajki, kurtki, rozchelstane marynarki. Siedzą przy stolikach uginających się od kufli z... winem „Familijnym”. Taki praktyczny zwyczaj — tłumaczę sobie. Po co dwa razy brudzić literatki, jeśli kufle pojemniejsze? W dansingowej restauracji wino sprzedaje się na lampki, a tu nie, po pół litra. Lokalny wynalazek, z kufli się pije.

„Nietrzeźwym i młodzieży do lat 18 alkoholu nie sprzedajemy”. Kto nietrzeźwy, kto małolat — trudno zgadnąć, więc bufetowa nie patrzy na twarze. „Proszę się przesuwac” — woła i napełnia kufle winem coraz szybciej, bo kolejka się wydłuża. Przez nikogo nie zaczepiany, postąłem z boku i z głową pełną jazgotu wyniosłem się na ulicę, gdzie kilku kufajkarzy mętym wzrokiem dodawało złotych. „Albo «Bycze Jajo» w Skwierzynie, ten klejnot koronny na skrzyżowaniu chyba wszystkich dróg świata, gdzie można przyjechać i wszędzie odjechać, dmuchając we własne żagle”.

W tym miasteczku na skrzyżowaniu ważnych tras w 1945 roku zatrzymał się stołpccki transport, z wagonów wysypało się mrowie ludzi, wśród nich pierwszy lekarz, pierwsza dentystka, naczelnik poczty, szewc Franio, no i pierwszy przyszły pisarz. W Krzyżu kończył bieg pociąg z Wędirza, wiozący Zygmunta Trziszkę, też dziecko naznaczone piętnem pisarza. Swojego

beletrystę miało Ośno Lubuskie, Międzyrzecz, Świebodzin, a Gorzów aż kilku. Lasy tu inne, powietrze też, i wzgórza, i rzeki, ale Olczak ciągle, nawet gdy wyrosły mu skrzydła, tęsknił do mateczki Skwierzyny. „Nie ta matka — jak powiadają w moich stronach — która urodziła, lecz ta, która wykarmiła”. Jego wykarmiły, wykształciły okolice skwierzynne. „Czy widzieliście te miejsca, w których Obra wpada do Warty, a Warta do Odry? W okolicach skwierzyńskich, zasypanych piaskiem, można jeszcze złapać rybę. Albo przyjedziesz do Gorzowa i jeździsz sobie tramwajem jak po Paryżu. Nie mówiąc już o Międzyrzeczu, który jest słodzusieńki sam w sobie. Czy znacie stamtąd Jasia Kominiarza, zaczął duszę, z którym połączyły mnie losy w poszukiwaniu przygód, kobiet i metafizyki? Czy oglądaliście kiedy Ośno w drodze z Lipeczki, jadąc dwukołową prowadzoną przez woźnicę obznajomionego z kroniką skandaliczną całej okolicy z bardzo wielu lat? Albo takie Krobielewko z niezapomnianą wieżą triangulacyjną! [...] Wszystkie te miasteczka były dla mnie monumentalne i triumfalne. Monumentalne, bo założone przez polskich królów”.

W latach mojej młodości, spędzonej tam, gdzie Warta wpada do Odry, rodzice straszili Skwierzyną niegrzeczne dzieci, nie babą-jagą, nie diabłami tasmańskimi, nie zbójami z Zaholeckiego Lasu, lecz właśnie Skwierzyną. „Oj, żebyć nie do szpitalu w Skwierzynie — błagały sąsiadki rodzące pierworodnych. — Jeśli mam umrzeć, to w domu”. — A felczer szkolny, gdy zapadłem na koklusz, przekonywał: „Synek zje te pastylki, bo jak nie, to go pošlemy do Skwierzyny”. Łykałem i bałem się skwierzyńskiej lecznicy. Później, gdy jako siedmioklasiści przymierzaliśmy się do licealnych mundurków, pani od polskiego radziła: „Broń was, Panie Boże, żeby mi któreś wybierało się do skwierzyńskiego ogólniaka!” Wierzyliśmy wszystkim, cho-

ciaż żadne z nas nie było w Skwierzynie, a to jeszcze ten sam powiat. Szkoda, bo może spotkałbym „Olka”, później to i „Bankiera”?

W skwierzyńskim ogólniaku wypytuję o Janusza Olczaka, a oni, profesorowie i dyrektor, kiwają głowami, jakby chcieli powiedzieć, że owszem był taki, coś o nich pisał. Pytam, czy czytali, czy mają u siebie jego książki, bo powinni mieć, przynajmniej „Francuzica”. Pani od francuskiego odeszła tam, skąd się nigdy nie wraca. Czy czytali? Sienkiewicza tak, Kraszewskiego tak, Mickiewicza, Słowackiego... Każdy licealista musi czytać lektury. Dyrektor radzi, bym poszedł do pani Haliny Cichockiej, drugi blok za „Delikatesami”. Pani od polskiego ma wiele czasu, to i chyba czyta Olczaka.

Wszyscy sławni aktorzy podobni są
do kogoś ze Skwierzyny
sprawdzają się tu także
większe i mniejsze prawdy

Świat bez Skwierzyny
byłby mniejszy o ładny
kawałek planety
ładny i taki skwierzynny

Krażę po miasteczku trzeci dzień, szukam tych, którzy znali i czytali którąkolwiek z Olczakowych powieści, ale to nie takie łatwe. Znać, owszem, znali Olczaka. Czytać... raczej nie czytali, bo co on może o nich napisać? Co?! Ludzie! Sportretował was, opisał, wyśmiał, przepraszam, wykpił! Czy pamiętacie, jak wyglądały wasze obchody jubileuszowe? „Nawet Fogg z damską orkiestrą przyjechał. Starsze panie zachwycają się Foggiem, a ich wnukowie samą orkiestrą. Dla panów są takie atrakcje — zawody oldboyów [...] Nad rzekami odbywa się wędkarska impreza Złotej Rybki. Tylko tu ją jeszcze można chwycić, z dala od wielkiej

chemii, ale i tak zła macocha ją odbierze na zagrychę, bo teraz wszyscy piją”.

Pomyślałem, że w magistracie dowiem się więcej. „Ratusz z jednej strony był pstrokato odmalowany, podczas gdy trzy pozostałe ściany straszyły obokurym liszajem łuszczących się, spleśniałych kawałków tynku [...] Po likwidacji powiatu i sądu powiatowego w budynku tym oprócz władz burmistrzowskich zainstalowano hotel, szturmowany przez setki podróżnych, na rynku bowiem krzyżowały się drogi prowadzące w cztery strony świata i miastem naprawdę rządzą turyści. Tylko miejscowi pijacy potrafili dogadać się z nimi w knajpach, łamiąc język nad chińszczyzną Szwedów czy równie krzykliwych Finów”.

W holu magistratu ściany ozdobione obrazkami z Międzyrzecza, Gorzowa, Sulęcina, wzdłuż korytarza pokoje, przed nimi kolejki interesantów. Naczelniczka na urlopie wypoczynkowym, referenci spoceni, zabiegani. Urzędniczka, która знаła Olczaka od dziecka, powiedziała, że musiał coś napisać, bo urząd dofinansowuje jakąś książkę wydawaną przez oficynę Gorzowskiego Towarzystwa Kultury. Grzecznie poinformowałem, że zapewne chodzi o ostatnią pracę Olczaka, a jednocześnie debiut poetycki pt. *Okolice skwierzyńne*. Urzędniczka nie zaprzeczyła, ale i nie miała pewności.

„Z tego ratusza w czasie rozbiorów kapitan Więckowski ostrzeliwał się Prusakom”. Przesada, w Skwierzyźnie nie legł kapitan Stefan Więckowski. Kargową wybrał czy też los mu ją wyznaczył. Mam na to dowody: tablica pamiątkowa na ścianie kargowskiego ratusza i relacje naocznych świadków, potwórzzone później przez Mickiewicza w Paryżu. Ale, ale, czego można rasowemu beletryście zabronić? Niech więc on ma rację, skwierzyńscy ludzie nie interesują się takimi drobnostkami.

W księgarni dowiedziałem się, że książki Olczaka szły jak woda wiosenna w Warcie. Kto kupował? Też pytanie! Koledzy! Każdy szukał siebie. Czy znaleźli swoje fotografie? Może gdyby czytali *Kamenę*, machnęliby ręką na księgarnię, poszliby „Pod Byka”, bo Olczak wyznaje: „Głównym bohaterem wielu utworów jest tak zwany bohater zespołowy”.

Dokąd by jeszcze? Może do kina? „Dawne kino mieściło się na obecnym skrzyżowaniu dróg międzynarodowych. Już nie z lat gimnazjalnych, ale przedszkolnych pamiętam piękny budynek nowoczesnego kina, który rozsypał się w proch, aż wreszcie zostały po nim bardzo intymne kłozety, wykładane czerwonymi kafelkami. Początkowo wystarczyło załatać dach [...] Wreszcie zostały te kibelki, które rozebrano w trakcie budowy krzyżówki komunikacyjnej. W ten sposób krzyżówka została rozwiązana”. To tak, jak w moim Kostrzynie, jeszcze użyteczne domy rozbierano, a z czerwonej cegły wznoszono warszawskie ministerstwa. Kto wie, czy MDM nie powstała ze skwierzyńskiego kina albo z domów kostrzyńskich kolejarzy?

„Przejdzie pan koło czerwonej szkoły” — słyszy się często. Chyba wszystkie skwierzyńskie szkoły z czerwonej cegły? Wszak miasto stare, w roku 1296 otrzymało lokację na prawie polskim, w 1390 — Władysław Jagiełło ustanowił tu komorę celną, a w 1406 — nadał mu prawa magdeburskie. Dopiero po drugim rozbiorze odpadło od Rzeczypospolitej, by w 1945 roku na zawsze wrócić do macierzy.

Przedemną ulicą Teatralną, gmaszysko kina „Lech”, a dalej Skwierzyński Ośrodek Kultury w wiecznym remoncie. Kino nieczynne, ale ośrodek już pracuje na ćwierć zamachu. „Taka moda — wyjaśniam sam sobie — kończyć poprzedni remont i zaczynać następny; budowlani nie muszą szukać zajęcia, mają je na miejscu”.

— O nie! — oburza się Teresa Nyga, od trzech mie-

sięcy kolejna, piąta czy trzydziesta, dyrektorka ośrodka. — W maju kończymy i ruszamy z kulturą!

Ho, ho, ho, odważna pani dyrektor. Iluż poprzedników składało podobne obietnice? Obiecanki cacanki; odchodzili nagle, w gabinecie dyrektorskim usadawiali się następni, zmieniali plany, remontowali, obiecywali i odchodzili. Skwierzyńska karuzela kulturalno-remontowa kręci się wytrwale. Od roku 1972 remont goni remont. W tym roku zostaną wydane ostatnie cztery miliony. I koniec.

A ile ten wieczny remont kosztuje? Dyrektorka wzrusza ramionami. Chyba każe iść do naczelniczki? Nie? Naczelniczka też nowa. Dyrektorzy ośrodka — okazuje się — oraz naczelnicy miasta i gminy zmieniali się z jednakową częstotliwością.

Nie pytam o zainteresowania kulturalne skwierzynian, bo kto je rozpoznawał? Może Janusz Olczak? Zaraz, zaraz, w latach jego młodości musiało coś się dziać, przynajmniej zbierało się Towarzystwo Miłośników Skwierzyny. Dyrektora ogólniaka spytałem o TMS, rzekł, że chyba jeszcze jest, ale w stanie anabiozy, najlepiej o tym pomówić z profesorem Edwardem Janikiem. Zajrzałem do Olczakowej powieści: „Przy okazji Francuzica rozdzieliła między nami tematy artykułów do jednodniówki. Bankier, który się trochę spóźnił, dostał handel i inwestycje. Nauczyciele szkół średnich zmontują rys historyczno-geograficzny. Stary śledzienik dostarczy fraszki, a młody kierownik będzie cykał fotografie oraz dokona wywiadów z najbardziej zasłużonymi ludźmi”. Czy jednodniówka wyszła poza plany, dyrektorka ośrodka nie wie. Za młoda. Wtedy była dzieckiem.

Teresa Nyga należy do rodowitych skwierzynianek. Tylko na cztery lata wyjechała do Zielonej Góry, gdzie studiowała w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Wróciła z dyplomem rusycystki, wyszła za mąż i czeka na mie-

szkanie spółdzielcze. Kiedy je otrzyma, tego nikt nie wie, a już na pewno ona. To może dlatego tylu skwierzynianom wyrosły skrzydła? Wzbijali się nad lasy sosnowe w poszukiwaniu nowych gniazd. „Po prymusach celujących głównie w mat-fiz-chemii następowała grupa humanistów, których łącznikiem był [...] Matys. Ja z Heniem Lebieziem, najtężsi historycy i poloniści, mieliśmy czwórki z tych przedmiotów, z których prymusi też wysmażali na ogół piąteczki [...] Pozostali uczniowie reprezentowali dwóje oraz mocne bądź słabowite trójczyny. W ich gronie wychowywał się przyszły artysta malarz i przyszły pracownik naukowy politechniki”. Z klasy maturalnej Janusza Olczaka niewiele pozostało w Skwierzynie: Jerzy Józepczyk osiadł w Poznaniu, gdzie jest profesorem politechniki, czworo maturzystów uczy dzieci w szkołach zielonogórskich, ktoś jest dyrektorem w Elblągu, ktoś inżynierem w Stoczni Gdańskiej. Czołowy lubuski plastyk amator, Zygmunt Marcinkowski, przez jakiś czas był nawet prezesem Nadnoteckiego Towarzystwa Kultury w Dreźnie. Henryk Lebieź, poeta, członek grupy „Dziwin”, dyktuje w szkole samochodowej w Żarach. Janusz Matys, pierwszy na Ziemi Lubuskiej magister filmologii, był kierownikiem Muzeum Jeńców Alianckich w Żaganiu. W takich Skwierzynach, Sulęcinach, Międzyrzeczach, Krobielewkach rodzą się talenty najczystszej wody. Potem lokalne wychowalnie kadr pustoszeją. „Socjologowie dawno stwierdzili, że my, młodzi z pierwszego pokolenia na Ziemiach Zachodnich, jesteśmy bardzo ambitni i ekspansywni”.

Janusz Olczak z własnej woli i zamiłowania wybrał historię w gorzowskim Studium Nauczycielskim, by po roku zamienić ją na polonistykę w Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Razem z nim studiowali inni architekci myśli: Janusz Żernicki, Jacek Kotlica, Krzysztof Nowicki, Erwin Kruk. Pierwsze seme-

stry dławiły Olczaka, omawiał z Żernickim wyjazd w Polskę. Czy Żernicki zdecydował się opuścić toruńską Alma Mater, nie wiem; Olczak zdobywanie doświadczeń kontynuował na wielkich budowach Turoszowa. Potem włóczył się po lubuskich szkołach, był m.in. nauczycielem w Kosieczynie i Goszczanowie, meliorantem w Świebodzinie, budowlancem w Zielonej Górze. Miesiąc tu, miesiąc tam. Bez powodu pakował książki do walizki, bo z książkami nigdy się nie rozstawał, mówił kolegom „do widzenia” i szedł na azymut, czasem zatrzepotał skrzydłami nad Skwierzyną. W końcu zanosło go do Lublina, na uniwersytet. A gdy magister teatrologii Janusz Olczak wrócił do gniazda rodzinnego na skrzyżowanie ważnych tras komunikacyjnych, stwierdził, że „... jest tu nie tylko Bar Centralny, ale i centrum świata, przynajmniej dla mnie w tych dniach. Podobnie działo się z Napoleonem. Gdzie przystanął, tam była jego metropolia, Paryż”. I zaczął pisać jak zawodowiec — dwie książki w roku — i wygrywać konkursy literackie, i drukować. Zenon Łukaszewicz w *Liście otwartym do Janusza Olczaka* tak pisał: „Tworzysz i opisujesz ludzi z wielką serdecznością i wyrozumiałością, tkasz swoją narrację z ciągu zabawnych anegdot, opowieści w stylu Szwejka [...] z łatwością przerzucasz się z krańca Polski wschodniej na jej zachodnie rubieże, mieszasz czasy i wydarzenia, «mickiewiczowski zaścianek» odnajdujesz w lubuskich lasach”. Sam prozaik wyznaje: „... osobiście bardzo lubię tematykę lat pionierskich na Ziemiach Zachodnich. To jest baśń mojego dzieciństwa i jednocześnie wielka sprawa Polski”. Wanda Leopold zaś o *Szyldzie pisanym antykwą* tak wyraziła się: „Sprawy [...] widziane oczyma dziecka i подростка, przynoszą świeży autentyczny materiał obyczajowy, doskonałą galerię typów ludzkich i przez trafny skrót literacki więcej mówią o procesach wrastania w te ziemie niż niejedne

studia". Tadeusz J. Żółciński uważał, że: „Dokonuje Olczak zderzenia i konfrontacji światów — małomiasteczkowego z wielkomiejskim. W zderzeniu tym zwycięsko wychodzi małe miasteczko ze swoją pozorną stagnacją, pozornie tylko ospałą społecznością. Bo w rzeczywistości ta małomiasteczkowa społeczność jest aktywna, prężna, żyjąca i stwarzająca coraz to nowe sytuacje, wciągające wszystkich". Nie zgadzam się z krytykami, może pierwsze książki Olczaka były ciekawe, może jeszcze *Siwe skrzydła*, ale nie mogę tego powiedzieć o *Spacerach pielgrzymów*. Tadeusz Błazejewski twierdzi: „Pisarstwo Olczaka ma tę istotną zaletę, że jest do czytania". Stanisław Zieliński uważa, że: „Brzmi w podtekście nutka patriotyzmu, ta ujmuje czytelnika". Ja natomiast zgadzam się z Łukaszewiczem: „Niepokoi mnie [...] ta ogromna żywiołowość, ta potężna erupcja zdań i całych sekwencji, które nie mają żadnej wartości artystycznej, są — ot, takim sobie przeciętnym sposobem opowiedzenia jeszcze jednej dykteryjki, jeszcze jednej anegdoty. Tą drogą daleko się nie «zajedzie» w artystycznej karierze [...] Bez ambitnego podwyższania «poprzeczki» nie można niczego dokonać, to truizm. Ale warto o nim pamiętać na co dzień".

Kogo słuchać, gdzie szukać prawdy? Wybrałem się więc do lokalnej Temidy — do Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy w Skwierzynie. Niech rozstrzygają czytelnicy.

Wśród dwudziestu tysięcy woluminów prawie wszystkie powieści i zbiory opowiadań Olczaka, niektóre wyczytane do białego, bez obwolut. Ostatnie prawie nowe. Dziesięć lat temu ustawiała się długa kolejka, każdy chciał wiedzieć, co o nim Olczak napisał. Dopasowywali Chudołębę do Janusza Matysa, Śledzia do Henryka Lebieźdza. Domyślali się, kto to: Pluskota, Azbest, Pierdusiewicz, Kaczor, Baryła, Słonina, Salceson,

Oblizajko, Maranda. Zaraz na początku Olczakowej erupcji wydawniczej do biblioteki wpadł dyrektor POM, Dubiec: „Ma pani Olczaka?” Brał wszystko, czytał ale już pod koniec coraz rzadziej pytał o tomy spod pióra rodaka. Nauczyciel Technikum Wikliniarskiego, który nie przebierał w książkach, nie mógł przebrnąć przez *Wieżę magistratu*. Na debiutanckie *Białe kołnierzyki* czyhało w księgarni wielu skwierzynian, próbowano ogołocić z nich bibliotekę, wykraść wszystkie tomy. O tej pierwszej książce Łukaszewicz entuzjastycznie pisał: „Młody pisarz (rocznik 1941), obdarzony bogatą i różnorodną biografią, w umiejętny sposób wręcz żywiołowy, wykorzystuje tu swoje doświadczenia życiowe wiejskiego nauczyciela i melioranta, przepatpia je w sfabularyzowaną opowieść, próbując zarazem — na ogół ze skutkami — odsłonić mechanizmy wiejskiego życia społecznego i obyczajowego. Choć sam autor [...] nie jest ściśle rodowodem związany ze wsią i występuje w roli okazjonalnego, czasowego li tylko przybysza, wykazuje jednak dobrą umiejętność obserwacji wydarzeń i ludzi ze wsi, kreśląc sceny żywe i barwne, będące w ciągłym ruchu i ciągłym przetwarzaniu sytuacji”. Z upływem lat Łukaszewicz zmieniał opinię o twórczości Olczaka, zmieniali ją i czytelnicy skwierzyńscy. Dziś mało kto pyta o *Siwe skrzydła*, a o *Spacerach pielgrzymów* nie wiedzą nawet bibliotekarki. Przyzwyczaili się? A może niczego już nie spodziewają się po kolejnych książkach rodaka?

Dyrektorka biblioteki, Walentyna Rubis, twierdzi, że za mało otrzymuje pieniędzy na zakup nowości; ostatnio książki bardzo podrożały, prasa też drożeje, najpierw trzeba zapewnić lektury młodym czytelnikom. Tak, to pedagogiczna prawda. Walentyna Rubis nie z jednego pieca chleb jadła, wie, że mogą napisać cokolwiek więcej niż wypowiedział publicznie Łukaszewicz w *Liście otwartym do Janusza Olczaka*.

Tak sobie siedzimy w dyrektorskim gabinecie, ona wspomina Olczaka, narzeka na współpracę z księżnicą wojewódzką, na byłych naczelników, którzy dla kultury nigdy nie mieli czasu.

— Nie zdarzyło się jeszcze, a bibliotekarką jestem od 1956 roku, aby w Skwierzynie ktoś z gospodarzy miasta przyszedł na imprezę kulturalną. A bywali u nas i znakomici autorzy: Jan Gerhard, Leszek Prorok, Waldemar Kotowicz, Gerard Górnicki, Włodzimierz Ścisłowski. — Na potwierdzenie tego pokazuje wpisy do kroniki księżnicy.

Co jej odpowiedzieć, że naczelnik nie ma czasu, bo handel, usługi, zebrania, dyskusje polityczne ważniejsze? Nie uwierzy. Rzeczywiście Walentyna Rubis nie wierzy. Wypina ze skoroszytu plik już pożółkłych pism urzędowych, tłumaczy, śmiejąc się. W roku 1977 za biblioteczne pieniądze dyrektorka kupiła telewizor do odbioru audycji w kolorze. Kupiła go z myślą o dzieciach, których matki pracują na drugą zmianę. Wtedy jeszcze o kolorze w telewizji opowiadano różności. Gdyby wiedziała, w co się pakuje, nie oszczędzałaby, nie kupowałaby, nie martwiłaby się o dzieci. Dnia 9 listopada 1977 roku otrzymała list: „Urząd Miasta i Gminy w Skwierzynie po przeanalizowaniu sprawy zakupu telewizora ze środków budżetowych do odbioru programów w kolorze uznał, że posiadanie tego urządzenia na potrzeby Biblioteki nie ma uzasadnienia. W związku z powyższym proszę Obyw. Kierownika o dostarczenie w terminie 5 dni telewizora wraz z urządzeniami (anteną, kable) wartości 22 789,50 zł do tut. Urzędu. Zostanie on przekazany do Inspektoratu Oświaty i Wychowania w Skwierzynie w celu właściwego zagospodarowania”. Co naczelnik miał na myśli, trudno zgadnąć. Chyba uznał, że inspektor powinien ten telewizor ustawić w swoim gabinecie. W dniu 5 grudnia tego samego roku naczelnik postraszył Walen-

tynę Rubis: „W przypadku niepodporządkowania się wydanym decyzjom, wyciągnę wnioski służbowe do Obywatelki”. Skończyło się na tym, że telewizor pozostał tam, gdzie jego miejsce, pani Rubis nadal jest bibliotekarką, a naczelnik przesiadł się z fotela w magistracie na fotel w gabinecie dyrektora przedsiębiorstwa produkcji nieдрzewnej „Las”. Tego epizodu w Olczakowym życiorysie powojennej Skwierzyny nie spotkałem, więc jeśli chce, odstępuję mu za torebkę suszonych prawdziwków. Czy pisarz nie był bardzo blisko, skoro mówił: „Miasteczko ze swoimi tartakami, fabrykami mebli, zakładami wikliniarskimi i nawet firmą produkcji nieдрzewnej «Las» — co brzmi trochę jak zakład produkcji zbrojeniowej «Niewypał» — żyło z tej puszczy. Szansę swą widziało w lokalizacji paru następnych zakładów drzewnych, ale nie jestem pewny, czy to byłaby szansa dla tej puszczy, która budziła w nas teraz uczucia regionalnej pychy”.

O twórczości literackiej Janusza Olczaka recenzenci wypowiadali się różnie, podobnie jak i czytelnicy. Mnie autor *Siwych skrzydeł* zadziwia od lat, ma swoich zwolenników i przeciwników. Których więcej? Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć jednoznacznie, chociaż długo, bardzo długo starałem się ich policzyć. Olczak jak Kraszewski, łatwo zmienia miejsca i adresy, jak Kraszewski maluje. Jak Kraszewski pisze do wielu czasopism. Rozsyła listy do znajomych i nieznajomych. I jak Kraszewski jednym się podoba, innym nie.

Henryk Bereza jest zdania, że: „*Siwe skrzydła* to książka bogata i bujna. Autor prezentuje się w niej jako wytrawny epik współczesności. Humor, satyra, ostryość widzenia są u niego na usługach epiki. Bez takich lub podobnych środków epika dzisiejsza nie może się obyć, zdewaluowały się bowiem niektóre jej środki”. Tadeusz Błażejowski konstatuje: „...autor jest najpracowitszym i najpłodniejszym debiutantem lat sie-

demdziesiątych w zakresie prozy, dbającym przy tym o problemową jednolitość i jakość artystyczną (co jednak nie zawsze — zapewne ze względu na pośpiech — udaje się). Cała twórczość Olczaka podporządkowana jest jednemu zamysłowi naczelnemu — groteskowej wizji świata”. Według Janusza Termiera: „*Siwe skrzydła*, jak zresztą i poprzednie utwory Olczaka, skrzą się od humoru i niezłej klasy dowcipnych dialogów. Mówi w nich autor o sprawach zwykłych naszej codziennej krzątania życiowej, społeczno-obyczajowych problemach czasu teraźniejszego bezpretensjonalnie, ale na wesoło, bez namaszczenia i pompy, stylem lekkim i czytelniczo atrakcyjnym, za którym jednak kryje się niezła znajomość rzeczywistości”.

Pomyślałem sobie, że czytelnicy skwierzyńscy należą do rodziny ponuraków, nie śmieją się ani z tego eks-naczelnika, który teraz przebywa w gabinecie dyrektorskim, ani z wiecznego remontu ośrodka kultury, ani z knajpy „Pod Bykiem”. Wpatrywałem się w oczy ludzi, wzrokiem ciekawskim obejmowałem twarze. Chyba mam rację. A może się mylę, jak każdy turysta?

W roku 1977 Janusz Olczak rozciągnął skrzydła, zatrzepotał, wzbił się wysoko nad Skwierzynę i odfrunął do Lublina. Mógł wybierać między Gorzowem a Lublinem. Tu i tam czekało na niego mieszkanie. Gdyby był leśnikiem, drzewiarzem, bednarzem, cieślą, inżynierem technologiemi — zapewne i w Skwierzynie otrzymałby służbówkę, może nawet plac pod willę z płaskim dachem i lusterkami nad oknami. A on co? Pisarz. Takiemu byle kąć dać, byle ciupinka powinna być nagrodą. Skwierzyński naczelnik znał się na ludziach, na kulturze. Czy nie napisał, że „...posiadanie tego urządzenia dla potrzeb Biblioteki nie ma uzasadnienia”? To Olczakowi, który obsmarowuje miasto i gminę, dać mieszkanie? Żeby chociaż był referentem w magistracie, sprzedawał frytki czy gofry, gdy przy-

jeżdżają tabuny turystów. W Skwierzynie pisarz własnego chowu okazał się zbyteczny. Zawadzał.

Już z Lublina otrzymałem list. Autor *Siwych skrzydeł* donosił: „...zabieram się do przepisywania ~~mojej~~ nowej powieści skwierzyńskiej, w której podsumowuję własne skwierzyńskie lata siedemdziesiąte”. Czy przyleci „Pod Byka”, wychyli kieliszek za skwierzyńian? Chyba tak. On ciągle „lata”, przynajmniej raz w roku do mateńki, a przy okazji do tych, którym skrzydła już nigdy nie wyrosną.

1983 rok



Stanisław Srokowski

„Cała twórczość Srokowskiego powstała z doświadczeń na rozdrożu świata, piętnowana jest międzykulturowym brakiem poczucia bezpieczeństwa i zadomowienia. Dochodzą w niej do głosu ludzie bezprizorni, których dotknęły prohony z miejsca na miejsce — twierdzi krajan i rówieśnik pisarza Stanisława Srokowskiego, Zygmunt Trziszka — z jednej klasy społecznej do drugiej, z fachu do fachu. Wszędzie są obcy, wszędzie zbędni, z poczuciem gorszości, na którą nie chcą jednak przystać. Buntują się więc przeciwko osobistej degradacji, jak i zdegradowaniu świata, który zaprzędawszy się cywilizacji utracił więź z naturą, z przyrodą [...] Największy żal wyraża za utratą «boskiego świata» swoich rodziców, gdzie czuł się bezpieczny”.

Rodzice Srokowskiego mieli nie jeden, lecz trzy „boskie światy”, no, przynajmniej dwa: tamten w polsko-ukraińsko-rusińsko-żydowskich Hnileczach koło Podhajec i ten w Planie koło Mieszkowic. A trzeci? Trzeci to już nie ich świat, to świat ich synów, Stanisława i Michała, świat ucywilizowany, miejski, do którego starzy musieli, a nie umieli się przyzwyczaić. I Stanisław Srokowski, choć odbył studia humanistyczne i żyje w naprawdę wielkim mieście, ceni tylko dwa „boskie

światy” swoich rodziców i pisze o nich, i przywołuje we wspomnieniach. Pierwszy świat pamięta jak przez mgłę, bo ileż wtedy miał lat? W roku 1939 — trzy, w 1945 — osiem.

„W Hnileczach mieszkałem osiem lat, do czasu, gdy wioska została spalona przez bandy ukraińskie — powiedział Józefowi Baranowi z tygodnika «Wieści» w chwilę po odebraniu Nagrody imienia Stanisława Piętaka za debiutancką powieść *Przyjść, aby wołać*. — Ojciec był właścicielem karłowatego gospodarstwa, pamiętam chałupę pod strzechą, podłogę z gliny i zapiecek, gdzie rodzice pozostawiali mnie często samego, wyruszając w lecie o czwartej rano w pole. Najpiękniejsze obrazy dzieciństwa to fruwające ptaki, którym przyglądałem się z okna zamkniętej — na czas nieobecności rodziców — chałupy. I las. Tajemniczy, szumiący — był zagadką. W wyobraźni małego chłopca urastał do niepojętej baśni. Ten sposób patrzenia na las pozostał mi zresztą do dzisiaj. Szukałem w nim «wysokich» i «niskich» duchów, przyglądałem się płasającym w słońcu wiewiórkom i trwożliwym sarnom. [...] Nasza chałupa stała na odludziu, nie należy się więc dziwić, że tło przyrody, poszum lasu, ptactwa — odgrywały tak ważną rolę w pierwszych wspomnieniach, a potem — już w twórczości — powracały echem do wierszy. Motyw samotności obsesyjnie przeżywa się przez wszystkie trzy powieści. Na pewno nie bez znaczenia dla kształtowania się świadomości były obrazy egzekucji, wieszania i rozstrzeliwania, całej tej strasznej «zabawy» dorosłych, której świadkiem byłem w latach okupacji”.

Stanisław Srokowski tamten podhajecki świat trzyośmiolatek zapamiętał dobrze, aż za dobrze, za dokładnie. „Wojna gdzieś w górze albo za lasem. Ptaki latają mniej. Są wystraszone. Nie wiem, co się dzieje z tymi ludźmi, którzy chodzili po ulicy. Ktoś wykopał

w nocy rowy. Ale nikt się w rowach nie chowa. Nikogo nie widać. Hela nie wyszła na dwór. Nie widzę jej już trzeci dzień. Nie wiem, co się stało. W bramie pusto. Matka nie puszcza mnie z domu. Mówi, że zbliża się front. To dziwne. Już był jeden front". Wracала do Hnilcz wojna. Czuć ją było. Widać łuny nad lasami, nad zielonymi górami, nad łąkami pachnącymi ostatnimi pokosami siana. Czasem ktoś obcy człapał po wsi, najczęściej był to dziad prorokujący. „Jeden, z opaską na oku, z ogorzałą twarzą, mówił od rzeczy, że to już nie śmierć idzie, ale całe piekło toczy się po górach i dolinach [...] Konie chudły w oczach, choć karmione. Cielaki nie wstawały ze swoich miejsc. Koguty nie piał. A psy przed nocą, wystraszone i lękliwe, jakby kusego widziały, cofały się do swoich bud. A po cmentarzu poszukiwania i westchnienia roznosiły się pomiędzy grobami”.

Nikogo nie muszę przekonywać, że dziad miał rację, nie wiedział jedynie, że będzie to wojna z nacjonalistami ukraińskimi. A tej ludzkiej w Hnilczach bali się najbardziej, bo to wojna z sąsiadami, znajomymi, kumami, swatami. Wszystkie wojny są straszne, ale wojna ze swoimi najstraszniejsza, to bitwa w jednej wielkiej rodzinie, na tym samym rozdrożu, o łąkę miłą obu stronom, wśród lasów nikomu nieobcych. Narrator opowiadania *Dziadek* mówi: „... z cerkwi nikt nie strzela kiedy się zacznie i słucham świstu powietrza podnosząc głowę coś lśniącego ruszyło się pod chmurami i w tym momencie zaczęło się to pod cerkwią wała wała mówi dziadek chłopci skaczą pod ścianami coraz bliżej wieży rozsypując się i biegną w pojedynkę ktoś pada potem drugi a pod wieżą ogień i siekanina że no ogień zżera deski przedostaje się do wnętrza cerkwi z wieży pada pierwszy człowiek leci pod nogi mężczyzna wije się pełźnie aż któryś z tych na ziemi odsuwa go od ognia i zostawia pod ścianą chaty a sam wraca do swoich”.

— To była duża wioska, jakieś osiemset ludzi tam żyło. Nie murowana, nie oświetlona, ale tylko duża wioska. Polacy uciekali. Najbliżej do Podhajec. Na krótko — przypomina Jan Srokowski, kuzyn Stanisława.

— Przeżyć pomogła nam Ukrainka, Misiuraczka — dodaje Stanisław. — Przyszła wieczorem pod chatę i powiedziała, że tej nocy banderowcy z UPA będą rezać Polaczków. Uciekać! Dokąd uciekać? Ale to była dobra Ukrainka. Zaprowadziła nas do swojej stodoły i ukryła pod słomą.

Noc jak dzień, za długa dla żywych: łuny, płonące chałupy. Lała się polska krew. Rano oczom Srokowskich pokazały się pogorzeliska. Czuć było swąd spalenizny.

A potem miała nastać cisza, długa. Od czasu do czasu jednak słychać było płacz wdów i sierot, i mlaskanie dziadków, i rżenie koni, i szczekanie psów. Ale to już było z dala od Hnilcz, w wagonach, które jechały na zachód, nad Odrę, w to miejsce, gdzie żołnierze z orłami na rogatywkach forsowali rzekę. Pod Siekierki, pod Gozdowice, pod Czelin. Gdy noc wędrówki dopalała się, transport zatrzymał się na stacji w Barwicach, choć miasteczko zwało się Mieszkowice. Mrowie ludzi rozsypało się po torowiskach, uliczkach, placyku. Było to 18 sierpnia 1945 roku.

Na nowym był już Szymon Drozd (Halina Auderska: *Ptasi gościniec*). „Nu, jest głód, jest jezioro, a ten budaj — mój szalas — takoc do kurenia podobny. I ot prawda pierwsza: lubię ja tu przyszedłszy popatrzeć, polubować się. Widok z tego miejsca szeroki, nie powiem, na prawo — droga przez wieś, za nami — las, przed nami — pola i łąki, a tam, w lewo — rzeka. Odra, znaczy się. Nikt na nią nie powie — rieczyszczce, wiadomo, rieczyszczce jedno tylko jest — Prypeć, ale rzeka, owszem, nie najgorsza”.

Co większe i lepsze gospodarstwa były już zajęte, tliło się nowe życie, jeszcze nie płonęło, nie na pełnych obrotach kieratu, ale już nowe i życie. „Kto tylko mógł, wychodził w pole, wypalał dwuletnie czahary ognichy, samosiejek olszyny i topoli, i kroił pługiem nowy zagon. Każdy się śpieszył, żeby jak najwięcej dla siebie chapnąć, bo poszła pogłoska, że ma przyjechać z repatriacji cały eszelon nowych osadników i może zrobić się ciasno” — tak w powieści *Królowa matka* pisał Władysław Milczarek.

„Przyjechała ta ludzka hurma bez żywego rogu, bez jednego kopyta — parę kur i to wszystko! Gmina zaraz pomogła, na ile mogła, odezwiała się z powiatu UNRRA, ale i ona nie była bez dna, odezwali się także ludzie, już tu mieszkający, podchodząc z życzliwą radą, jak to ludzie [...] A tymczasem co lepsze było już zajęte albo rozszabrowane: ani jednego całego okna w mieszkaniu, ani jednych drzwi. Kupy śmieci, gołe zimne ściany i rozpoczynaj nowe życie z nadzieją, że jutro może się poprawi”.

— Ano, tak i ono było — kiwa głową starowina może osiemdziesięcioletni. — A co pan myślisz, nie dumali my, że jedziem na zmarnowanie? Dumali, dumali. Czekali, kiedy się nam wracać przyjdzie. Dokąd wracać?

— To i czekali. Długo można czekać? Dzień, no tydzień. Chłop nie nauczony siedzieć z założonymi rękami, bierze się za robotę. A jak jeszcze widział, że domy ceglane, stodoły mocne, podwórza wielkie, maszyny, pola, to robił.

— Ja miał tylko czterdzieści lat, był akuratny do roboty — znowu dziadek. — To nie to, co dzisiaj. Dzisiaj u mnie nie ma siły. O, wtedy mnie słońko nie paliło w plecy. Deszczu się nie bał. Ale tak to jest, pókiś młody, robota pali ci się w rękach, nie spałbyś, prze-

kaślił kawałek chleba, popił mlekiem i w pole do nocy. Ziemia rodziła buraki, pszenicę, len, co niektóre tytoń siali.

— I bogacili się. Oj, jak się bogacili.

Stanisław Srokowski nigdzie nie pisze o witaniu się z nowym. Konstatuje tylko: „Ludzie mówią, że wojna niszczy, a ja, że nie, że przepala wszystkie drzwi i otwiera świat, którego bym bez niej nigdy nie zobaczył”.

Co zobaczył? Wielkie płaskie pole przecinała wstążka wybrukowanej szosy, gdzieniegdzie w kępach drzew niczyje jeszcze gospodarstwa, na samym końcu drogi pałac. Ludzie z Hnilcz omijali samotne gospodarstwa, szli do pałacu, jakby bali się życia w samotności. Strach osadził ich w pałacu. Cztery rodziny z czterech glinianych chat pod jednym wielkim dachem z solidnych, czerwonych dachówek: Kwaśniakowie, Soleccy, Spławscy i Srokowscy. W jednym przypałacowym domu dwie rodziny z Wileńszczyzny, w drugim — „Paruczak” i przybysze z niewiadomego. Kwadrat wielkiego podwórza oplatały puste obory. Dalej były tylko pola. Zaczynali.

Wszyscy zaczynali. W sąsiedniej gminie już rządził wójt Grabczyk — mówili zabużanie, a ci ze środka Polski — Grabarek. „I tak Urząd Gminy przyjął nazwę Bolesławice, a Zarząd Miejski, którego budynek stał naprzeciwko na rynku, raptem dwadzieścia metrów długości, nazwał się Bolkowice. Ksiądz Durnaj, który grzebał w starych księgach parafialnych, twierdził z uporem, że stara słowiańska nazwa miejscowości brzmi: Boleszkowice, od imienia księcia Bolesława, którego nazywano zdrobniale Boleszko”. Sąsiednie miasteczko raz nazywało się Barwice, to znowu Mieszkowice, nad Wartą to leżała Kobyła Góra, to Gorzów. Tylko wieś Srokowskich nigdy nie zmieniała nazwy — Plan i przypominała im Hnilcze; gospodarstwa jak

na planie rozrzucone były po polach wokół Boleszkowic i Mieszkowic.

Jak wyjść w pole bez konia, bez pługa, czym obsiać zagony? Czekać na pomoc z powiatu? Gołymi rękami gmerać w ziemi? Jesień przecież, czas najwyższy szykować rolę pod zasiewy. Każdy z pałacowych był właścicielem ośmiu hektarów dobrej, urodzajnej, pszenno-buraczanej ziemi, jakiej w podhajeckich Hnilczach nikt nie miał. Czas leczy rany i robi swoje. I ręce robią swoje. Ludzie, jeśli są zdrowi i chcą, mogą wiele. Oni mogli. I chcieli.

Wójt w Boleszkowicach czerwonymi kulfonami na wielkim arkuszu białego kartonu kazał wyrysować:

„Wywieska

Jak bendzie nowy Obywatel Starosta zebranie sie odbendzie. O czym sie doniesie. Władza prosi o spokój i porzundek a reakcje sie ukarze. A co jest wiadome wszystkim jest wiadome: baza paszowa bendzie bo była letka zima i do GS przyszły nasiona. Jaja zakoguczone bez kwoki można składać do wylengarni bo kurczont nie ma. Do licencji bendzie w gminie dwóch buhajkuw. Bendo także aktywisty z województwa”.

W roku 1949, gdy już pałacowi gospodarze przodowali w gminie, zaczął się czas kolektywizacji wsi. Przyjeżdżali do Planu wysłannicy z Dębna i tłumaczyli, że jeżeli pałacowi przystąpią do spółdzielni, cała kolonia będzie spółdzielcza. A pałacowi tego nie chcieli, bo jakże wspólnie gospodarować? I ziemię oddać, krowy oddać, maszyny oddać? I wszyscy: pijacy, lenie, złodzieje mają być równi najlepszym gospodarzom? Dzielić się? „Nie — mówili pałacowi — możemy i chcemy produkować dużo, w terminie oddawać kontyngenty, ale pracować na swoim, uczciwie i jeść uczciwie zapracowany chleb”. Trudne to były lata, lecz dla pałacowych gospodarzy jeszcze trudniejszy był rok 1963. „Ja był gospodarz. Cztery krowy, trzy konie. Kto tyle miał?

No, to zaczęli plotkować, że w pałacu straszy, że trzymam z diabłem. Tak było. Tak zawsze z ludźmi. Jak się komuś zacznie powodzić, szukają dziury. I tak było z pałacem [...] Całe życie oddałem, żeby mieć gospodarkę, całe życie. Żeby mieć dużą gospodarkę [...] To była gospodarka na schwał. Nikt w całej okolicy takiej nie miał". Musieli odejść, zostawić wszystko, znowu odejść na nowe. I chociaż dostali po czterdzieści tysięcy złotych, czuli się oszukani. Przegrali.

W pałacu, na ich polach pszenno-buraczanych, w ich oborach suchych i wielkich rozsiadło się gospodarstwo szkolne mieszkowickiego Technikum Rolniczego. „— Pałac? — zdziwiło go to nagłe przejście. — Pałac to co innego. Tamto było nasze. Było moje, moje drewno, moja robota, moje ręce, mój pot. A pałac...” Jedni zajmowali zrujnowane, rozszabrowane, od powojnia niczyje gospodarstwa wokół Mieszkowic, inni — kupowali ziemię na Dolnym Śląsku, uciekali daleko od wspomnień pracowitej młodości, ale nie do miast, pozostawiali w swoim nowym „boskim świecie”. Srokowscy osiedlili się jeszcze raz, jak dzieci uczyli się nowych pól, łąk, lasu pod Złotoryją. Sami, nie było z nimi synów: Stanisława i Michała. Obaj odeszli od „boskiego świata” swoich rodziców, bo nie było dla nich miejsca na wsi. Stanisław uczył dzieci w Legnicy.

Dopiero teraz zgadzam się ze Stanisławem Srokowskim, rozumiem jego stwierdzenie, że wojna „...przepała wszystkie drzwi i otwiera świat”. Gdyby nie ta wojna, ta straszna burza, tysiące synów chłopskich byłyby tylko chłopami, a nie pisarzami, uczonymi, lekarzami, najwyżej nauczycielami albo księżmi, on też byłby wiejskim bakałarzem albo gospodarzem na ojcowiznie, bo starszy od Michała, orałby, siał, zbierał kłosa, płodził chłopskie dzieci, śpiewał na chłopskich weselach, chrzcinach, pogrzebach. Takich jak on wojna wyprowadziła na rozdroża świata, wypędziła ze wsi

do miast, których chłopscy synowie nie lubią, nie kochają, ale gdzie mają żyć, jeżeli oni już niewiejszy i jeszcze niemiejszy? Dopiero ich synowie, którzy nie pamiętają ani dzierżaków, ani sierpów, ani kos, wprzęgną się w miejski świat cywilizacji. A oni, krew z krwi chłopi, stoją na rozdrożu świata i szukają swojego miejsca i pragną, by był to „boski świat” rodziców i „boski świat” ich. Męczą się, bo takiego świata już nie ma.

W Planie pozostali młodzi i starzy; pierwszych niewiele, drugich dziesiątki. O pierwszych Stanisław Srokowski pisze mało, drugich często przywołuje w swoich powieściach, opowiadaniach i dramatach. Dziwne i trudne do wyjaśnienia: on mówi za starych, ich językiem, choć sam jest młody, rozumie ich. Mówi tak, jakby był starcem, którego synowie pozostawili w wielkim i pustym domu, a sami odeszli do wieżowca. „Oboje zrozumieli jak nigdy dotąd, że są samotni, coraz bardziej samotni, opuszczeni. A przecież nie przyznawali się do tego, nigdy do tego się nie przyznawali, szukali setek pretekstów, żeby nie mówić o swojej samotności, oszukiwali się przy każdej okazji, żeby tylko zagłuszyć ciężące, coraz bardziej dokuczliwe stany rozgoryczenia, samotności, lęku. I teraz, w tej chwili, gorączkowo myśleli, każde na swój użytek, jak uciec od tej ciężącej atmosfery, jak z niej wyjść”.

Przyjść, aby wołać jest powieścią o dwojgu starcach, którzy oddali ziemię, ponieważ nie mogli jej uprawiać. Treść ich starczego życia wypełnia tylko oczekiwanie na list i odwiedziny synów z miasta. „A listonosz wczoraj mówił, że listy teraz idą bardzo długo. Tak mówił. I listonosz lubi ze mną pogadać. On mówił, że teraz przychodzi dużo listów. Ludzie piszą z zagranicy, dużo piszą, moc. Miasta rosną, coraz więcej tam mieszka młodych, miasta puchną, tak powiedział listonosz, a każdy z miasta coś pisze. I list nieraz idzie kilka ty-

godni, a bywa, że i kilka miesięcy, nawet lat. Listonosz mówił, że przywozi jeszcze listy z wojny. Tak to teraz jest. Ludzi się namnożyło. I każdy umie pisać, każdy pisze”.

Starzy są samotni, zniewoleni własną samotnością, są zbędni. Zdając sobie z tego sprawę, oszukują się — stary jeździ do miasta i wysyła do starej pisane od siebie w imieniu syna listy. „Do samego miasta patrzył przez okno. Nie spuszczał wzroku z pól, szacował je po gospodarsku. Pszenica jak pień. Samo złoto. Dobre urodzaje. Podorywki za płytkie. Siewy nie mogą się spóźnić. Rozmawiał z drzewami, z polami, z łąką, z niebem. Będzie pogoda. Musi być”. Stary Kozak chce zrozumieć młodych, nie oskarża ich. Świat już inny niż dawniej. Rośnie coś, czego my nie rozumiemy”.

Myślę, jestem przekonany, że Srokowski, pisząc powieść *Przyjść, aby wolać*, podobnie jak dwie następne

— *Fatum* oraz *Lęk*, długo zastanawiał się jak pokazać dwa światy: świat rodziców i świat ich dzieci. Wiedział, rozumiał, że tęsknota rodziców w jego powieściach nie może być konwencjonalna. I wiedział także, że musi zadać gwałt — pisanie listów do siebie. Czyż nie jest to korespondencja z niebem, tajemnicza korespondencja? Przecież stara wieś wierzy w siły tajemne, boskie, wierzy we wróżki, zabobony, przepowiednie. A te listy, to nic innego jak wiara — wywoływanie duchów „wysokich” i „niskich”.

Starzy są skazani na siebie żyjących w chacie-świecie, na dożywanie w osamotnieniu i złudzeniu. „Omiłali się wzrokiem, błędzili spojrzeniami po kątach chaty, patrzyli na swoje ręce, od czasu do czasu któreś mruknęło, nieraz nasłuchiwali, czy ktoś się nie odezwie za oknem”. Schorowany stary mówił do chorej żony: „Człowiek umarł, leży w ziemi, zjedzą go robaki, a chata nie poruszyła się. Jak gdyby nic. Tak to już jest na świecie. Nam się zdaje, że po nas zginie świa-

tło, zapanuje noc, spadną gwiazdy, znieruchomieją rzeki, wody, oceany. Tak się nam zdaje, a świat żyje po swojemu”.

Powieść tę, chyba najlepszą w dotychczasowym dorobku artystycznym Srokowskiego, wydał autor, mając czterdzieści lat. Czy człowiek w tym wieku może rozumieć psychikę starca? Na to pytanie szukałem odpowiedzi najpierw w Planie, a potem we Wrocławiu, gdzie pisarz mieszka obecnie. Doszedłem do wniosku, że właśnie Srokowski miał prawo i obowiązek napisać *Przyjść, aby wołać* w imieniu wszystkich starych ludzi, żyjących w wiejskiej samotności, z dala od cywilizacji, polityki. To on bardzo przeżył wyjazd rodziców z Planu, spod Złotoryi. On też dwa lata pracował w najsmutniejszym domu — domu starców. On widział starość niedołęzną, przegrywającą, rozpaczliwą i czuł ją, chociaż miał wtedy zaledwie czterdzieści lat; tylko on mógł wejść w skórę starca i myśleć jak człowiek stary, w osamotnieniu czekający końca żywota.

„Biografia, osobiste przeżycia, doświadczenia, intuicja, wyobraźnia, zmysł dotyku — oto co czyni literaturę, no i jeszcze coś, o czym nie mamy pojęcia. Ale własna biografia, a biografia zapisana w książce to są antyświaty” — twierdzi pisarz.

Powieść *Przyjść, aby wołać* jak mało która powieść współczesna poruszyła czytelników, odezwali się krytycy i doświadczeni pisarze. Oto najciekawsze.

Henryk Worcell: „Groza wieje nie tylko od czarnych okien we wsi, ale i od zimno mrugających gwiazd, które też kiedyś zgasną i pozostanie wielkie Nic, a nawet tego Nic nie będzie. Podobną grozę, ale o innym zabarwieniu, odczuwał Pascal, a w całej pełni Witkiewicz. Mnie osobiście odpowiada pascalskie zabarwienie grozy, odrzucam witkiewiczowskie. Więc właściwie odrzucam i grozę Srokowskiego. Ale przyjmuję ją jako czytelnik jego książki, jako obłędne za-

patrzenie się w kierunku *numinosum tremendum*, przed którym tylko i tylko «bojaźń i drżenie»”.

Marek Jodłowski: „Srokowskiemu udało się narzędziami prozy behawiorystycznej stworzyć postacie nie szeleszczące papierem, o wyrazistej acz skomplikowanej psychice, postacie ludzi prostych, a przecież irytujących czytelnika schematycznym prymitywizmem wnętrza; psychika dwojga starych pokazana została dynamicznie, w rozwoju, bez jednoznaczności. Dzieje się to trochę tak, jak w teatrze, jak w dobrym dramacie: nic nie jest powiedziane wprost (nawet synów się nie oskarża, mówi się o nich jak najlepiej), wszystko dopiero się staje, sygnalizowane jest przez kontrolowany gest, odruch, przez rozwój wydarzeń”.

Jan Kurowicki: „... to książka zaskakująca. Niby wierna szczegółom, kolokwialna w języku, szara i zgrzebna. A jednak wyrażająca swoisty świat. Miesza się w nim bezwzględność z tkliwością, zwyczajność z poezją. Jest to zaskakujące tym bardziej, że bohaterami tej powieści, rozgrywającej się wśród realiów naszej wsi, nie są ludzie obcy całemu otoczeniu, ale «jak inni»”.

Jan Pierzchała: „Stanisław Srokowski, studiując w swej mądrej powieści gasnące życie dwojga starych bohaterów, określa przy tym rzecz zgoła nadrzędną, a mianowicie kondycję człowieka współczesnego, uwikłanego w niewolę starego obyczaju i poddanego zupełnie nowej przemocy moralnej”.

Wojciech Żukrowski: „To jest bardzo człowiecza opowieść o niechętnym odchodzeniu, o dzikiej obronie świadomości przed grozą marnego prognozy. Srokowskiemu udało się nie tylko nas wciągnąć w ten na wpół-imaginacyjny świat staruchów, zainteresować mroczną przygodą, ale i wzbudzić szczere współczucie. Stajemy się przez jego sztukę bardziej wrażliwi na ów margines życia, który radzi bylibyśmy pominąć, nie

dostrzegać, choć kryje się w nim jakby napomnienie, bo i na nas przyjdzie pora. Jak na każdego”.

Na przydrożnym cmentarzu w Zielinie trzej mężczyźni kopią dół. Co kilka tygodni pochód pogrzebowy odprowadza z Planu najstarszych. Umierają kobiety i mężczyźni, częściej jednak mężczyźni. I choć Plan niewielki, mogił na zieleńskim cmentarzu mnogość, wdów dużo: Jurkowa, Solecka, Krukowska, Splawska, Kwaśniakowa. Korowaj nie żyje, Gnatowski nie żyje, Srokowski nie żyje. Babcia Gładkowska też nie żyje, umarła mając dziewięćdziesiąt cztery lata, ale do ostatniego dnia swojego stapania po ziemi pracowała uczciwie. Gdy sąsiedzi pytali ją, dlaczego nie wygrzewa starych kości w lipcowym słońcu, tylko zrywa porzeczeki, odpowiadała:

— Ta Staszko nie ma czasu. — I tymi swoimi suchymi palcami szukała krwistych gron.

— Jeść darmowy chleb? — pyta starowina może osiemdziesięcioletni i drżącymi rękami chwytą wielkie głowy buraczane, i wrzuca je na przyczepę. Pochyla się wolno, sapie, prostuje kark.

Ręce. Stare, długie, kościste. To one, te drżące ręce, te koślawe palce trzymały cepigi pługa, to one obejmowały twardy trzonek wideł, gabli, siekiery. To one, jak haki, jak kleszcze nie pozwalają starym ciałom usiąść przy ciepłym piecu i drzemać, i wspominać, i cieszyć się spokojną starością, wyjściem synów. Te ręce zawsze muszą czuć twardość siekiery, miękkość krowich wymion, codziennie muszą gładzić grzbiet konia i sprawdzać, która kura zniesie jajko. To te stare dłonie, stwardniałe, chropowate, to one piszą listy i skubią porzeczeki, chwytają buraki. Tylko one.

Młodzi. Młodych gospodarzy w Planie niewielu. Młodzieży dużo, lecz w gospodarstwach jej nie ma. Rannym autobusem dojeżdżają młodzi do Dębna, do Zie-

lina, do Mieszkowic. Gdy wracają, wita ich wonna noc i szczekanie psów.

Po lewej stronie drogi do Mieszkowic jak bocianie gniazdo rozłożyło się gospodarstwo jednego z trzech młodych rolników — Jana Srokowskiego. Kiedyś był trochę robotnikiem, trochę chłopem, trzymał dwie sroki za ogon. Teraz jest tylko gospodarzem i to jakim. Rocznie sprzedaje państwu za milion czterysta tysięcy złotych, ma traktor, maszyny, krowy, psy, zbiera po siedemdziesiąt kwintali pszenicy, po czterysta pięćdziesiąt kwintali buraków cukrowych. Podobnie radzi sobie Biliński z synem i Helena Srokowska.

— Jakby się nie pogorszyło, można wytrzymać. Kto ma słabą produkcję, to mu ciężko, bardzo ciężko — twierdzi Jan Srokowski i zaraz dodaje: — Maszyny drogie. Siewnik nawozowy dwa lata temu kosztował osiem tysięcy złotych, teraz dwadzieścia pięć, a zbożowy siewnik skoczył z dwudziestu na osiemdziesiąt tysięcy, a i to nie można kupić.

— Dom stary, trzeba remontować. Dawno my chcieli, ale nie było czym, bo materiały tylko na przydział. Teraz my dostali cement, wiosną zabierzemy się, żeby było jak u innych ludzi. — Jadwiga Srokowska mówi jeszcze, że to nie tylko dla nich, lecz i dla dzieci. Ale nie ma pewności, czy dzieci nie wyjadą do miasta.

Do nich też przyjdzie starość. Już idzie. Nie pytam, jak sobie wyobrażają jesienne lata, bo przecież mają dopiero po czterdziestce. Ale chyba każdy człowiek myśli o starości, wszak ona dokoła.

W pałacu i w majątku już nie ma gospodarstwa szkolnego, teraz jest tam gospodarstwo Stadniny Koni w Bielinie. Pałac też już nie w Planie 16, lecz w Ranowie. Nie ma jednego z dwu domków przypałacowych, jest za to nowoczesny blok wielorodzinny, mieszkania z centralnym ogrzewaniem, bieżącą wodą, łazienkami, wielkimi oknami. Ale podwórze zaniedbane,

zniszczone. I obory zrujnowane. Brzydota. I pałac taki sam. Na parterze mieszka kierownik, więc tam czysto, na piętrze robotnicy, a tam smród, bałagan, bród, okna poczerniałe, drzwi koślawe. Zootechnik gospodarstwa zwiesza głowę, chyba się wstydzi.

— Budujemy następny blok mieszkalny. Będzie inaczej — ale nie mówi, że pałacowi ludzie przeniosą się do nowego bloku. W nowym bloku zamieszkają nowi robotnicy, bo rąk do roboty brakuje.

A pałac?

— Ludzie nie szanują. — I jakbym nie wierzył, to proszę, przyjeżdżają do roboty sezonowej aż z Kieleckiego. Miesiąc harują, trzy dni piją. Co zarobią, to przehulają.

Pałac się zestarzał, więc musi zniknąć. Jak ludzie. On nie pasuje do tego świata. On zawadza. Śmiesz. Drażni.

— Każdego roku w lipcu przyjeżdża córka junkierskiego właściciela, ale do pałacu nie wchodzi, tylko pod więzem składa bukiet kwiatów.

Gdzie ogród? Gdzie jabłonie kwitnące? Grusze? Śliwy? Wzdłuż drogi asfaltowej topole. Jeszcze młode. Smukłe.

Wiem też, że z piątki pierwszych gospodarzy nikt tu nie zagląda. Omijając pałac, czasem tylko zwracając głowy. Coś tu zostawili. Młode, pracowite lata? Nie tylko, bo i wiarę, siłę, zapal.

Ale Stanisław Srokowski niekiedy wraca do Planu, nie do Ranowa, lecz właśnie do Planu, zatrzymuje się wtedy u kuzyna Jana, wychodzi przed dom na rozdroże i patrzy na pałac skulony. Nie idzie tam jednak, tylko stoi i patrzy. I patrzy.

muszę wypowiedzieć siebie
gdy rzucam się w pisanie
jak w rozpacz

Kiedys odwiedzi pałac, obiecywał mi to. Wróci w najnowszej powieści, którą zaczyna. Nie będzie tam o starości, o odchodzeniu, będzie chyba o tych, którzy szukając swojego miejsca na rozdrożach świata, są już niewiejszy i jeszcze niemiejszy. O Bogdanie Krukowskim — ekonomście, Waławie Krukowskim — kwalifikowanym robotniku, Ryszardzie Korowaju — dyrektorze w Szczecinie, nauczycielkach, księgowych. Dla nich, dla Stanisława Srokowskiego, dla ich rodziców — domy w miastach są wciąż obce, a ulicami chodzą nieznanomi ludzie.

1983 rok



Edward Stachura

Siekerezada... albo kotlańska zima Stachury, Czopika i sławnej dentystki Majki Nowak

Pociąg sennie kołysze się. W przedziale jestem sam, samotnie. Za oknem las sosnowy. Czy pachnie żywicą? Za oknem śnieg. Dlaczego poszarzały?

— Głogów Huta! — krzyczy konduktor nie wysiadając z wagonu. — Odjazd!

Huta miedzi dymi, szara, gęsta rzeka dymu unosi się nad lasem. W wagonie cisza. Prawie nikogo. Bez tłoku. Można położyć się na ławce i spać. Nawet nie ma z kim porozmawiać.

— Głogów! — znowu ten sam otyły konduktor, ale już z peronu, bo Głogów to duża stacja, może większa niż Zielona Góra, gdzie dworzec jest nowoczesny, a już na pewno większa niż Kotla. A czy w Kotli zatrzymują się pociągi?

Nie szukam zakładu fryzjerskiego, ogoliłem się w domu, zagraniczną, dobrą żyłetką „Wilkinson”. Mógłbym wejść do któregoś fryzjera i spytać, czy to u niego golił się Stachura. Co on wtedy powie? Tylu przychodzi, rozmawia, ale żaden nie mówi, jak się nazywa. Może i był jakiś Stachura, i kazał się ogolić, pokropić wodą fryzjerską i poczęstował mistrza sportem. Wyszedł, mówiąc „do widzenia”. Nie idę do fryzjera, nawet nie wiem, gdzie to może być. W barze mlecznym kupuję duże mleko i dwie suche bułki.

Zując myślę, czy do Kotli daleko jeżeli on, Edward Stachura, nie jechał tam nawet autobusem. Skąd mu się to wzięło, to wybranie Kotli, ta podróż pociągiem osobowym z Wrocławia do Głogowa, ta wycieczka nad Odrę skutą lodami, to zimowanie w lubuskich lasach sosnowych?

Do poety Bogusława Żurakowskiego mieszkającego w nadodrzańskim Opolu Edward Stachura napisał: „Twój ostatni, sprzed dwóch miesięcy chyba, list doszedł mnie w Kotli, gdzie akurat byłem u Czopika. Jakiś czas u nich mieszkalem. Pracowałem przez styczeń—luty w lesie na zrębie w Zielonogórskim, następna wioska za Kotlą w stronę Nowej Soli. Trochę więc mieszkalem u Czopika, trochę w tej wsi na kwarterze”.

W Edwardzie Stachurze — prawdziwie wielkim pisarzu, któremu można było wiele zabronić, ale nie nakazać — płynęła krew wędrownika, obieżyświata, włóczęgi, trampa. Dlaczego znalazł się w 1967 roku na przykotlańskim zrębie? Na to pytanie bardzo łatwo odpowiedzieć, ale strasznie trudno zrozumieć. Łatwo, bo w Kotli mieszkał i pracował przyjaciel poety-prozaika-pieśniarza, inny znakomity poeta-prozaik, Jan Czopik-Leżachowski, prowadzący nieoficjalny salon artystyczny. Trudno, bo Stachura wcale nie musiał rąbać zawzięcie, ciachać, dziabać, w lewo i w prawo, z góry, z dołu, machać, wywijać siekierą i nie myśleć, nie, musiał myśleć, wszak on był stworzony nie do siekiery, lecz do pióra. Może ma rację Henryk Beresza pisząc: „Naprawdę życie Stachury jest życio-pisaniem, jedno z drugiego wynika, jedno jest drugim, jest to jedność całkowita, jego pisarstwo jest tożsame z jego życiem. Zdaję sobie sprawę z tego, że wypowiadam sądy niesprawdzalne i co najmniej dziwne, wiem jednak, co mówię i akurat to chcę powiedzieć. Ta szczególność czy wyjątkowość zjawiska pisarskie-

go, któremu na imię Edward Stachura, nie ma nic wspólnego ani z wartościowaniem literackim, ani z jakimkolwiek innym. To wszystko znaczy tylko tyle, że Stachura jest pisarzem urodzonym, skazanym na wielkie ryzyko życia-pisania, skazanym na mękę takiego życia i takiego pisania, skazanym na piekło i niebo swojego szczęścia-nieszczęścia, swojego istnienia dla słów, których prawda liczy się jakże często tak samo jak fałsz, których prawdy od fałszu już jakże często nie potrafimy wcale odróżnić. Życio-pisanie Stachury jest dramatem czystym, dramatem nieustannym i na całe życie dramatem bez rozwiązania”.

Kotla, wieś gminna w pobliżu Głogowa, Sławy, Nowej Soli, na uboczu wielkiej huty, na skraju lasów sosnowych, skąd wszędzie bardzo daleko. Przyjechałem tu rannym autobusem z nadzieją odtworzenia wydarzeń sprzed piętnastu lat, kiedy gminna Kotla w swoisty sposób konkurowała z wojewódzką Zieloną Górą. Wtedy bowiem, piętnaście lat temu, powstawała Stachurowa *Siekierzada albo Zima leśnych ludzi*, której akcja dzieje się w nadodrzańskich wsiach, wśród ludzi przybyłych spod Tarnopola, Kielc, Szamotuł, z Francji, ze Śląska, wśród drwali, leśniczych, chłopów pracowitych i zgarbionych, babć śpiewających nabożne pieśni. I wtedy, a właściwie kilka miesięcy wcześniej w Kotli zaczęła rwać dziurawę zęby i leczyć obolałe dźiąsła sławna dentystka Majka Nowak, „...w której kochały się wszystkie miejscowe chłopaki. Tak szeroko głośliła fama. Chodzili do Ośrodka Zdrowia i ze słynnym poświęceniem znanym tylko jednemu uczuciu dawali sobie świdrować bormaszyną w nadpsutych zębach i wyrywać bez zastrzyku, po męsku, te niewyleczalne. Tak to czysta platoniczna miłość uzdrawia chore zastępy narodu”.

Powieściowa Majka Nowak to zapewne doktor Maria Czopik-Leżachowska, odrabiająca w kotlańskiej

lecznicy stypendium fundowane zielonogórskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Nie mam ani pewności, ani kogo spytać, lekarz bowiem wojewódzki doktor Stanisław Gura awansował na ministerialny stołek, wierzę więc Zygmuntowi Trziszce i pielęgniarkom z nowego już Gminnego Ośrodka Zdrowia w Kotli.

— Żyli jak studenci. Gromadzka Rada Narodowa przydzieliła im pokój z kuchnią i stoliczek. Na strychu było królestwo pana Czopika. Zbierał wszystko: jakieś korby, klamki, koła, kafle. Pytaliśmy, po co mu te rupiecie? A on, że to takie ładne, że niepowtarzalne. I opisywał to wszystko, ale bardzo dziwnie, wcale nie rozumieliśmy jego słów. — Zofia Gołdyn wspomina tamte lata z zażenowaniem, jakby się wstydziła. Wtedy jeszcze nie wiedziała, nie miała pojęcia, nie sądziła, że jest po raz pierwszy w życiu, może i ostatni, naczynym świadkiem procesu tworzenia, pisania najprawdziwszych, najszczerzych, porywających wierszy i opowiadań, i powieści. Dopiero dziś, właśnie w tej chwili, teraz zdaje sobie z tego sprawę. — Za pożyczone pieniądze państwo Czopikowie kupili wersalkę i dwa fotele. Stołu nigdy nie mieli. U nich jadło się, grało w brydża, rozmawiało, siedząc na podłodze.

„Wygódka była w polu za składzikiem na węgiel i chodziło się «na wschód»” — zapisał Jan Czopik-Leżachowski.

— Mieli psa, nie był to jakiś tam kundel, lecz ładny rasowy pies. Kupili go razem z wersalką i fotelami za dwa i pół tysiąca złotych. Wtedy to było strasznie dużo — przypomina Zofia Gołdyn, ale nie dodaje, że ludzie dziwili się, pytali, po co dentystce pies.

Urszula Wojno, teraz już mężatka i instruktorka w Gminnym Ośrodku Kultury, wspominając Czopików, bo do Wojnów było najbliżej, i oni, ci najbliżsi sąsiedzi, mieli telewizor, a we wsi niewielu jeszcze wtedy stać było na telewizor, mówi, że ten pies wabił się

Charon. Kiedy zdechł, Czopikowie chowali go nie na cmentarzu w Kotli, lecz pod Grochowem, ale wszyscy myśleli, że to nie pies, bo słysząc było śpiewy pogrzebowe. Potem ktoś poszedł tam, zobaczył kopczyk usypany z żółtego piasku. I znowu ludzie dziwili się doktorce, ale już nic nie mówili.

Nie spotkałem żadnego z chłopaków, którzy kochali się w sławnej dentystce Majce Nowak. Chłopcy pierwszym autobusem wyjechali z Kotli, zapomnieli. Może nie, może czasem jeszcze wspominają i pytają bezradnie, „skąd tyle siły w tej szczupłej młodej ładnej dziewczynie”?

Kotla wtedy raz, jedyny raz konkurowała z Zieloną Górą. Nie to, żeby miała ambicje przejęcia władzy, nie. W gminnej Kotli, w tym pokoiku na poddaszu, toczyły się ważne spory artystyczne, dyskusje twórcze, o jakie w wojewódzkiej Zielonej Górze zawsze trudno. Jan Czopik-Leżachowski pisał: „Wieczorami słuchaliśmy Liszta i Beethovena, nigdy się nam nie nudziła *Mała nocna muzyka* Mozarta”. Przyjeżdżali poeci, pisarze, dziennikarze, aktorzy z bliskiej Zielonej Góry, dalszego Wrocławia i bardzo dalekiej Warszawy. Bywali: Edward Stachura, Zyta Oryszyn, Olgierd Łotoczko. Zygmunt Trziszka tak wspomina: „Byłem właśnie w międzysłownej Kotli i dobrze pamiętam, że występowałem w roli posłańca-listonosza: zabrałem Stachurowy list, adresowany do — jeśli się nie mylę — Gałązki Jabłoni. Stedowi zależało, żeby wrzucić ten list w Zielonej Górze, skąd szybciej trafi do adresatki”. Zbigniew Ryndak, wtedy debiutujący prozaik, dodaje, że w mieszkaniu zielonogórskim Andrzeja K. Waśkiewicza słuchał piosenek Stachury, ale nie sądził, że Sted sam je pisze.

Zimowe, chłodne i słoneczne, świąteczne i powszednie dni gospodarzy i licznych gości były wypełnione także normalnym, pełnym zmartwień, trosk, nadziei,

radości wiejskim życiem. Jan Czopik-Leżachowski najpierw upowszechniał kulturę w głogowskim Powiatowym Domu Kultury, potem krzewił oświatę w Szkole Podstawowej w Grochowicach, dokąd codziennie — jak przystało na nauczyciela i wychowawcę nowych zastępów drwali i hutników — sumiennie jeździł na rowerze. Goście, a tych nigdy nie brakowało, raczej miejsca na podłodze, żyli za to, co przywieźli, co zarobili Czopikowie. W roku 1966 całą grupą byli na weselu w Grochowicach, wtedy Anna Józwiakówna wychodziła za mąż za Jakubiszyna. Dziś Anna Jakubiszynowa z prawdziwym śmiechem przywołuje tamte dni, których chyba — jak mówi — do śmierci nie zapomni.

Starsi kotłanie odtwarzają obrazy zapisane przed piętnastu laty. Potwierdzają niektóre wydarzenia pięknie przeniesione na kartki *Siekierzady albo Zimy leśnych ludzi*. Młodzi niewiele wiedzą o Stachurze, prawie nic o Czopiku-Leżachowskim, wcale nie słyszeli o Łotoczce. Nie pytam o Oryszyn, o innych. Oni mają usprawiedliwienie, na pewno powiedzą, że książek za mało, że czasu...

— Może i byli w Kotli? — nie wątpię i nie zaprzeczają. A ja, naiwny, inaczej ich osądzałem. — Tylu różnych tu przyjeżdżało. Od roku 1970 samych lekarzy czterech. I czterech nowych dentystów. Nowi nauczyciele, oficerowie, ksiądz.

Siekierzady... nikt nie czytał. Może pani Maszewska, która każdego z nich uczyła historii ojczystej. Nikt z tych młodych nie widział *Siekierzady...* w głogowskich księgarniach ani na bibliotecznych półkach. Jedynie pielęgniarki z Ośrodka Zdrowia mają u siebie jakieś książki Czopika. Sam je im przyniósł, coś miłego wpisał i podarował.

— No, trzeba będzie przeczytać.

Ktoś skubiąc paznokcie dodaje ledwie słyszalnym głosem:

— Czasu nie ma. Przyjedzie się z roboty albo ze szkoły i ciemna noc.

W gminnej Kotli młodzieży niby dużo. Co z tego, jeśli dziewczęta i chłopcy już myślą jak zawołani robotnicy głogowskiej huty. Podobno nawet niektórzy Osiedle Kopernika nazywają Nową Kotłą, a inni — Nowymi Grochowicami, a jeszcze inni — Nowymi Żukowicami albo Nową Sławą. Miejskie, ciasne bloki młodzi dobrowolnie wybrali, wyrzekli się ojcowizny, bo „... ziemia słaba. Marna. Czwarta, piąta, szósta klasa. Poniektórędy trzecia. Ale to rzadko, trzeciej to ja mam hektar. Reszta to przypalisko. Z hektara pięć metrów żyta się zbiera. Szósta klasa więcej nie da. Słonko uderzy i nie ma nic z tej ziemi”. Tak powiedział drwał, powieściowy Peresada. A dzisiejsi młodzi to potwierdzają i dodają, że w hucie spokojniejsza robota, chociaż też ciężko. Każdy swoje odbębni i fajrant, na wódeczkę, na kawę z sacharyną, na dziewczuchy. Na dwieście piętnaście numerów — jak mówią w Kotli — rolników indywidualnych można policzyć na palcach jednej ręki. Reszta dojeżdża do huty, część pracuje w pegerze, geesie, lesie. Ktoś w domu kultury, ktoś w cukrowni, ktoś w piekarni. W Kotli kupują, modlą się, chorują, grzebią zmarłych, płodzą dzieci, które tu chodzą do przedszkola i nowej szkoły podstawowej.

Trzy lata temu do nowego, wybudowanego za społeczne pieniądze, Gminnego Ośrodka Zdrowia na stałe przyjechał doktor Mieczysław Krysiukiewicz. Nie może pamiętać sławnej dentystki Marii Czopik-Leżachowskiej, ale od ludzi słyszał, że dobrze leczyła i była lubiana. A to bardzo dużo, teraz i jemu łatwiej, ludzie wierzą. Doktor Krysiukiewicz zostawił Żukowice, w których jeszcze mniej gospodarzy niż w Kotli i Grochowicach razem, do Kotli zawołało go mieszkanie, było lepsze i miłsze. Jak długo będzie badał, nakazywał, przypominał, przypisywał lekarstwa? Nie wie. Chyba

do przyspieszonej emerytury nie doczeka, bo jego dzieci szybko rosną. Dzieci to konieczność bliskiej i dobrej szkoły średniej. I żona, dyplomowana farmaceutka, nie pracuje. A z jednej pensji ciężko wyżyć i utrzymać rodzinę. Gdyby na miejscu była apteka! Najbliższa apteka w Głogowie. Doktor Krysiukiewicz tylko pisze, wypisuje recepty, które w tym hutniczym Głogowie czytają i kiwają głowami, że tego nie ma, tamtego nie ma. Po poważniejsze sprawunki też jeździ się stąd do Głogowa. Przez Kozie Doły pół godziny autobusem. Jest i krótsza droga. Wtedy najwyżej dwadzieścia minut.

— Czy to prawda, że w okolicach huty ludzie częściej chorują na choroby nowotworowe? — pytam pamiętając niedawny reportaż telewizyjny.

— Niczego nie można potwierdzić. Owszem, prowadzono badania. Ale ludzie wszędzie chorują. Może częściej, gdy zapylenie powietrza większe? W samej Kotli ani mniej, ani więcej. Mamy tu do czynienia z chorobami powszechnie spotykanymi. Gdyby ktoś przyjechał spod Piły, z terenu czystego, odczułby szkodliwy wpływ pyłów hutniczych na swój prawie dzieciwicz organizm. Tutejsi przez tyle lat zdążyli się przyzwyczaić. Organizm ludzki ma zdolności adaptowania się w najtrudniejszych warunkach życia.

Przypomina mi się fragment Stachuruwego *Pogodzić się ze światem*. Czytam: — „Czy to jest nienormalne, chorobliwe pragnąć szczęścia ludzi, oczywiście bezwyjątkowo wszystkich ludzi, bo czy «wszyscy» ludzie mogliby być szczęśliwi wiedząc, mając świadomość, że jest na świecie chociażby jeden człowiek nieszczęśliwy”.

Doktor Krysiukiewicz ma mało czasu. Rozmawiamy prawie przelotnie. Do jedenastej leczy w głogowskim szpitalu, między jedenastą a piętnastą — w Ośrodku Zdrowia, gdzie zwykle czeka grubo ponad pięćdziesięciu

pacjentów, najwięcej w poniedziałki i dnie poświęczone. Po południu, aż do wieczora wizyty domowe. Teren rozległy, od Sławy po Nową Sól, od Głogowa po Grochowice. Lekarzy brakuje. Leków też i miejsc w szpitalu. Wszystko na jego głowie.

Uparcie wracam do wcześniej postawionego pytania. Nie wierzę, że pyły hutnicze są obojętne dla ludzkiego zdrowia. Okoliczne lasy skarłowaciały, zwierzęta kaszła. Doktor na to:

— Niczego nie można potwierdzić.

Po chwili dodaje:

— Można zastanawiać się, czy skutki zapylenia nie wpłyną ujemnie na następne pokolenia. Tego nikt na razie nie wyklucza.

Aha — myślę sobie — to ten śnieg w podzukunftowych lasach poszarzał od hutniczych pyłów. I domy w Głogowie, chociaż jeszcze nowe, od tego poszarzały, i ludzie szarzeją.

— Swoim pacjentom mogę zalecać tylko tyle, ile nakazują specjaliści, a więc: myć owoce przed spożyciem, łykać witaminę C, nie palić tytoniu, nie pić alkoholu.

Skoro tylko tyle: nie pić, nie palić, łykać i myć, można — pozostawiając doktora Krysiukiewicza z jego pacjentami — wrócić do Stachury i Czopika-Leżachowskiego.

„W Kotli koło Głogowa przez trzy lata mieszkałem. Przez trzy lata pracowałem jako wiejski nauczyciel w Grochowicach. Pięć kilometrów. Dojeżdżałem na rowerze [...] W roku 1967 mieszkał u nas przez kilka miesięcy Edward Stachura. Pracował przy wyrębie lasu pod Grochowicami i pisał książkę. W *Siekierzadzie albo Zimie leśnych ludzi* Grochowice nazywają się Bobowice, Kotla — Hopla, a Majka uchodzi za najlepszą dentystkę we wsi i kocha się w niej cała młodzież z podgrodzia. W mojej powieści *Góra—dół* Grochowice

nazywają się Kosowice, zaś Edward Stachura, w kurtce marki «Douglas», gra na bębnie, zastępując prawdziwego bębniście, któremu akurat zległa żona. Nie muszę dodawać, że gra zachwycająco” — zanotował Czopik-Leżachowski.

— To święta prawda! — nagle wykrzykuje Bronisława Wełnic, pielęgniarka środowiskowa. — Chodził w takiej wytartej kurtce, kołnierz postawiony, z gołą głową. Zima. Śnieg. Mróz. Pytam, czy mu zimno? Uśmiechnął się tylko. Czasem spotykałam pana Stachurę na przedszkolnym podwórku, siedział na huśtawce. „Nudzi się pan”? — pytam. On na to: „Tworzę”.

Co wtedy, na tej dziecinnej huśtawce, tworzył, czy już zapisywał w pamięci *Siekierezadę...*, tego pani Bronisława nie wie. Chociaż mogła sprawdzić, spytać, bo często bywała w mieszkaniu Czopików. Zresztą nie tylko ona. Do małego pokoiku na poddaszu przychodziło wielu ludzi.

— Pamiętam takie zdarzenie — przypomina sobie Zofia Goldyn. — Pan Czopik na rowerze, a za nim inni panowie, Stachura, Olgierd i jeszcze ktoś, bo nazwisk wszystkich nie znaleźmy. Tak szli do pracy w lesie. Oni jakiś czas — na pewno było to zimą — pracowali w Grochowicach jako drwale na zrębnie. Ludzie jak wiejscy ludzie, troszkę się dziwili, no, jak tutejsi ludzie.

Powieściowy Janek Pradera zamieszkał nie w Hopli, lecz w Bobrowicach. „Znalazłem ten duży dom z białej cegły i wszedłem do niego. Na podwórzu psa nie było. Babcia Oleńka zajmowała w tym wielkim domu najmniejszy pokoik. Malutką izdebkę, ciupkę taką od sieni na prawo. Tam się przeniosła na samotność. Na stare lata. Do tej ciupki małej, która składzikiem, schowkiem była kiedyś, kiedy w tym wielkim domu panował wielki ruch. Teraz nie było tego. Cicho i pusto

było. Powiedziałem «dobry wieczór» i że ja na kwatere. Że przysłał mnie leśniczy Bogdański».

Babcia Franciszka Olechna, może w drewnianej trumnie z firmy stolarza Ołoczyna, odbyła podróż z Grochowic do „Hadesu poprzez rzekę Styks”. Nie ma jej wśród żywych. Nie ma Edwarda Stachury. Nie ma Jana Czopika-Leżachowskiego. Babcia była stara, bardzo stara, miała osiemdziesiąt albo sto lat, a oni obaj bardzo młodzi, ledwie czterdziestki dożyli.

„Nie jest chyba ciężko umierać, kiedy się nie umiera sameinu. Samemu chyba strasznie umierać. I myślę sobie, że gdyby tak mnie przyszło żyć wiecznie, to byłoby straszne, może jeszcze straszniejsze niż umierać samemu”.

Jest, żyje leśniczy Włodzimierz Majdański, który mógł być wzorem powieściowego leśniczego Bogdańskiego. „No i kłusownicy. Będzie dwa lata, zabili gajowego z Czerniawy. Sąsiednia wieś, ale już nie nasze nadleśnictwo”. Ludzie w Grochowicach, Kotli dobrze zapamiętali ten tragiczny i straszny wypadek. Bo zdarzyło się to ani nie we śnie, ani tylko w powieści. Ten straszny wypadek miał swój dzień i miejsce — Bielaawy koło Nowej Soli.

Już kilka dni chodzę po błotnistych drogach Kotli i Grochowic, zatrzymuję ludzi, pytam o tamte dni, odczytuję fragmenty *Siekierezady*... A oni, rozdziawiając usta, odnajdują siebie, może nie ze wszystkimi wadami, ale czują zapach żywicy, słyszą bełkotliwy głos któregoś drwala wracającego z „Kotlanki”, słyszą rzenie spoconych, pokrytych białą pianą koni ciągnących kłoce ze zrębu. Powieściowi: Selpka, Nikodem, Pearsada, Batiuk, Wasyluk, Patryło, Kłoniś? Nie zaprzeczają, mogą nimi być. Ale kto jest kim? Kogo Stachura, ten ich kolega drwał, ten kompan do kieliszka i tańca, przeniósł na kartki powieści? Tego na pewno nie odgadniemy. Zresztą nie ma takiej potrzeby. Oni

dalej mówią tym swoim językiem, którego nie uczą w szkołach. Dalej piją czyściochę i zagryzają śledzi-kiem w oleju, dalej śpiewają, wracając z gospody. Tacy są. Prawdziwi.

Szukam Grażynki, która: „Powiedziała, że pan tak ładnie tańczył, a ona się myliła”, córki leśniczego Bogdańskiego.

— Pan Majdański, co wtedy był za leśniczego, ma córkę Grażynę — mówi Anna Jakubiszynowa, która każdego dnia w kotlańskim Ośrodku Zdrowia musi zarejestrować przynajmniej pięćdziesięciu pacjentów doktora Krysiukiewicza. — Wyszła za męża. Ma dwoje dzieci.

W powieści: „Przyszła Grażynka, powiedziała «dzień dobry» i stanęła pod piecem z wielkimi rumieńcami na policzkach. Płonące rumieńce wydawały się być większe od policzków. — Przekazuję ci w opiekę mojego przyjaciela, Grażynko — powiedziałem, pokazując na Michała. — Jego przyjaźń jest bardzo dużo warta — dodałem, zwracając się już nie do Grażynki, lecz tak w ogóle”.

Zanim pożegniam Grochowice, czytam jeszcze jeden fragment: „Wtedy Kaziuk podniósł wysoko siekierę, a Peresada pchnął w jego stronę stół. I zaczęła się siekierzada [...] Wszyscy patrzyli na bezbłędne technicznie, ale straszliwe widowisko rąbiącego stoły pokrwanawionego Kaziuka całego we władaniu szaleńczych niszczycielskich Furii”.

— Pamiętam, było to na zabawie w Grochowicach — potwierdza Anna Jakubiszynowa. — Bałam się strasznie, bo pisk był wielki i ta siekiera, i krew, więc ukryłam się pod stołem.

W roku 1967 w gminnej Kotli były dwie konkurujące ze sobą restauracje, geesowska „Kotlanka” i prywatna Józefa Borodaja. Książkowy bohater Janek Pradera mówi: „...zaniosło mnie pod prywatny kantor Bałada-

ja, który konkurował z państwową nie opodał restauracją »Hoplanka«. Wlazłem tam i kazałem sobie zimne piwo. Baładaj, stojąc za bufetem, chwalił się komuś, że spod jego knajpy jeszcze nie zginął żaden rower, a spod «Hoplanki» już niejeden zginął. A pompki od rowerów giną co rusz». Nie ma już prywatnej restauracji, jej właściciel Józef Borodaj najął się za magazyniera w geesie. Spod „Kotlanki” też nic nie ginie, bo restauracyjna kuchnia przypomina kiosk spożywczy nie opodał, w którym najwięcej pustych półek. Zaraz po cienkim kluskowym obiedzie zamykają się drzwi „Kotlanki”. Nawet w niedziele pusto.

Nie zamierzałem szukać potwierdzenia całej *Siekierzady*... Nie taki miałem cel, nie jest bowiem to książka reporterska, chociaż Stachura w dzienniku o swoim pisaniu zanotował: „O czym pisać. O tym samym, o czym dotąd. O sobie. Mało wymyśliłem fabuł. Było to niepotrzebne. Każdy człowiek jest wielką tajemnicą i wystarczy, żeby zgłębiał siebie i spisywał swoje doznania i stany, i jest to ciekawe”.

Inna indywidualność literacka, rówieśnik i kolega Edwarda Stachury, znakomitość i osobowość, której ziemia nad Odrą i Wartą powinna być wdzięczna, Zygmunt Trziszka, tak pisze: „*Siekierzada*... poczęta w zielonogórskiej Kotli przez swój absolutny autentyzm da się zestawić z ostatnim najważniejszym osiągnięciem pisarskim Stachury, z *Pogodzić się ze światem*”.

A krytyk literacki — Henryk Bereza, dla którego życie jest czytaniem, a czytanie życiem, tak przewidywał: „Edwardowi Stachurze, który stopił tak nierozdzielnie pisarską powagę z wyrazem duchowej młodości, grozi w jego przypadku prawdziwy dramat konieczności pogodzenia się z wiekiem męskim, przy czym zbiega się to akurat z zewnętrznymi objawami niechęci tych, którzy za sztukę nie są gotowi płacić tak wysokiej ceny, jaką on sam — na skutek bardzo głębokich

przyczyn — płacić musi. Stachura zresztą ani nie miał, ani nie będzie mógł mieć łatwego pisarskiego życia”.

Całe życie Steda było wielką wędrówką, wędrował po Polsce, po świecie i zapisywał to, co widział, co czuł, czego się domyślał, czego inni nie widzieli.

Urodził się we Francji w rodzinie polskiego emigranta, w roku 1948 wraz z rodzicami przyjechał na Kujawy, do krainy matki. Po ukończeniu szkoły podstawowej miał być nauczony przez ojca górnikarstwa robotności. Dał temu wyraz w liście z 1958 roku, gdy po maturze nie został studentem gdańskiej uczelni plastycznej. „Poszukuję znowu jakiejś roboty. Tymczasem dużo pracuję w domu. Noszę wodę ze studni, chodzę po drzewo do lasu itp., słowem, staram się, jak mogę, by przetrwać zimę. Ojciec oświadczył mi, że jeśli nie będę pracował, wyrzuci mnie z domu”.

Kłopoty nie opuszczały go nigdy; już jako student romanistyki w lubelskim KUL pisał do Mieczysława Czychowskiego: „Inaczej wyobrażałem sobie moje studia. Nie mam akademika ani stypendium. W dodatku jestem chory, mam gorączkę i co durniejsze, coraz częściej nawiedzają mnie krwotoki z nosa... Nie mam złamanego grosza przy duszy, nie mam gdzie spać. Mieszkam, gdzie się da, raz tu, raz tam, trafiając najczęściej na dworzec”.

Żeby żyć, odtąd zaczął systematycznie grać w karty i szachy, co weszło mu w krew, grał, gdy już nie musiał. I wędrował, gdy już nie musiał. Nie, on zawsze musiał wędrować, jego wędrówki były „życio-pisaniem”. Miał to we krwi, z tym się urodził, z tym przyjechał do Polski, wędrując umarł. Za życia rozważał, czy to francuskie miejsce urodzenia i przenosiny na Kujawy nie przyczyniły się do tego, że miał poczucie obcości. „Tak się miotalem po świecie. Wszystko jest poezją, jest tego wstrząsającym dokumentem. Może dlatego, że jestem wygnaniec. Ni Francuz, ni Polak, ni

Meksykanin. Nie miałem pod stopami ziemi — jak to mówią — własnej, rodzimej, ojczystej [...] Fakt, że pisałem po polsku, miał w moim życiu ogromne znaczenie. To pewnie dlatego zawsze ciągnęło mnie do ziemi polskiej, gdy byłem poza jej granicami”.

Siekierzada... jest książką o drwalach, którzy przyjechali do Kotli z różnych stron Europy, którzy dziś harują w lesie i piją w knajpie, jest opowieścią o ludziach ciągle poszukujących swojego miejsca, miotających się, zagubionych w gęstwinie drzew i spraw. A zasługa Stachury polega na tym, że swoją powieść napisał prozą żywą. To on wraz z Buczkowskim, Białoszewskim rozpoczął rewolucję artystyczną w prozie polskiej, którą kontynuuje Łoziński, Drzeżdżon, Słyk, Czerniawski. I dlatego jako prekursor prozy żywej (zapisu języka mówionego) jest twórcą wybitnym.

Dziś w Kotli zaledwie kilka osób pamięta autora *Siekierzady...* w kurtce marki „Douglas” i Czopika na rowerze. Nie ma tam żadnych śladów ich niecodziennej obecności. A przecież byli. Obaj utrwalili ludzi, wieś, okolice w powieściach i opowiadaniach. W Kotli jest ładny, nowy, wielki Gminny Ośrodek Kultury. Jest też zespół teatralny wystawiający komedie Fredry, Bałuckiego i myślący, kogo jeszcze wystawić, żeby ludzi zadowolić i konkurs wojewódzki wygrać. Jest i duża biblioteka bezimienna. Nowa szkoła. Wielka szkoła, bo gminna i zbiorcza. Podobno myśli się, czyje imię nadać tej szkole. Czy naprawdę trzeba podpowiadać?

1983 rok



Henryk Bereza

Dlaczego Henryk Bereza od samego początku swojej działalności krytycznej towarzyszy lubuskiemu środowisku literackiemu? Od samego początku, to znaczy od schyłku lat pięćdziesiątych. Może przecież związać się ze środowiskiem szczecińskim, koszalińskim, opolskim, zerwać tę niepisaną umowę i dać sobie spokój, a on nie, ponad dwadzieścia lat obecny jest na Ziemi Lubuskiej.

Pod koniec lat pięćdziesiątych wojewódzka już Zielona Góra jest niewielkim miastem, jeszcze nie ma ani wyższej szkoły, ani filharmonii, ani środowisk twórczych, a powstające pismo społeczno-kulturalne „Nadodrze” jest bardziej odpowiedzią na ambitne poszukiwania młodej inteligencji niż trybuną literacką. W województwach sąsiednich powstają nowe czasopisma i po kilku latach upadają. „Nadodrze” od 1957 roku trwa do dziś, nie zmieniając zasadniczo swojego profilu; jest miesięcznikiem, potem półmiesięcznikiem, a od roku 1965 — dwutygodnikiem rozpowszechnianym na terenie całego kraju. Ambicje tamtej Zielonej Góry są ogromne, często na wyrost. Przed rokiem 1957 Tadeusz Jasiński, ojciec prawie wszystkich zielonogórskich inicjatyw wydawniczych, opracowuje nawet statut Spółki Wydawniczej „Zarzewie”. „Celem Spółki Wydawni-

czej «Zarzewie» w Zielonej Górze jest wydawanie regionalnego czasopisma społeczno-kulturalnego «Zarzewie» oraz wydawnictw książkowych (arkusze poetyckie, plastyczne, nowele, powieści, reportaże, prace historyczne itd.). Fundusze Spółki pochodzą: z wkładów jej członków, darowizn oraz dochodów własnych». W powodzenie młodych zielonogórczan wierzą literaci krakowscy, którzy często tu przyjeżdżają. Bywa wówczas Wisława Szymborska, Włodzimierz Maciąg. Z bliskiego Wrocławia przyjeżdża Tymoteusz Karpowicz i Czesław Ostańkowicz. Wrocławską „Odra” ma w Zielonej Górze swojego przedstawiciela, a w bibliotece „Sygnałów” ukazuje się debiutancki zbiorek wierszy *Tempo krążenia* Janusza Koniusza, który po ukończeniu studiów w katowickiej Wyższej Szkole Pedagogicznej osiedla się najpierw w Sulechowie, a potem w Zielonej Górze. Powstałe na fali popaździernikowych przemian Lubuskie Towarzystwo Kultury wydaje pierwsze książki. W zjazdach pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych uczestniczą nikomu nie znani Lubuszanie: Janusz Koniusz, Zdzisław Morawski, Tadeusz Kajan, Zbigniew Ryndak. Na dobre i na złe związany z Zieloną Górą poznaniak Eugeniusz Pauksza w 1959 roku pisze: „Jeżeli w dyskusjach czy wypowiedziach prasowych jako najbardziej charakterystyczny przykład przemian kulturalnych sygnalizujących kierunek rozwoju lat przyszłych, przytaczam Zieloną Górę, to właśnie dlatego, że w tak czystej formie nowego, ściśle rodzimego środowiska pisarskiego nie znajdzie się nigdzie w Polsce. Wszyscy literaci tutaj są młodzi, jeżeli już nie wiekiem, to statusem pisarskim, właśnie tutaj, właśnie w Zielonej Górze [...] Jego dojrzewanie [środowiska pisarskiego — A. S.] jest systematyczne. Związane wszystkimi sokami z miejscową glebą, dające rękojmię siły i rozmach artystycznej wizji, musi zostać ukazane, dla przykładu i pomocy innym ośrodkom

[...] Zielona Góra jako środowisko pisarskie to już nie plazma”.

Bezstronny obserwator przemian kulturalnych na środkowym Nadodrzu, Wilhelm Szewczyk z Katowic, pisze: „Powstanie środowiska literackiego w Zielonej Górze, w mieście pozbawionym zaplecza intelektualnego, zmuszonego do wytworzenia własnych form życia duchowego, w oparciu o sprawnie funkcjonujący organizm społeczny [...] wypełniło żywą treścią duchową wielki ich [Ziem Zachodnich — A. S.] człon z ruchliwymi pomostami na południe, północ i zachód. Fakt ten ma znaczenie polityczne i kulturalne. Ma on znaczenie dla samego życia literackiego w naszym kraju, biorąc pod uwagę sumę ujawnionych tu talentów [...] w czasach niemieckich nigdy Zielona Góra nie posiadała swojego wielkiego znaczenia kulturalnego, jej regionalni zaś pisarze nie mogli nawet upomnieć się o uznanie w metropolitarnym wobec Zielonej Góry Wrocławiu”.

Nie odbył się w Zielonej Górze III Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich, jak zaplanowano w Katowicach, w roku 1959. Ale w roku 1961, jesienią, powstaje oddział Związku Literatów Polskich, na początek skupiający sześciu pisarzy (Tadeusz Kaźan, Włodzimierz Korsak, Zdzisław Morawski, Janusz Koniusz, Bolesław Soliński i Eugeniusz Wachowiak). Zjazd natomiast zostaje zorganizowany dopiero w dwa lata później. Oprócz zawodowej organizacji literackiej istnieje Koło Młodych przy ZLP i LTK oraz Ośrodek Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, któremu patronuje Związek Młodzieży Wiejskiej. I chyba ta ostatnia organizacja wyciąga rękę do Henryka Berezy. Zresztą on sam tak mówi:

— Na pana pytanie o moje związki z Zieloną Górą i Ziemią Lubuską jestem w stanie odpowiedzieć tylko bardzo skrótowo. Zaczęły się one w złotej epoce spot-

kań autorskich (w końcu lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych). Spotkania autorskie były wtedy sprawą autentycznej potrzeby społecznej, nie zdevaluowały się jeszcze, nie zamieniły w podejrzany proceder. Wyjazdy do Zielonej Góry organizował mi wtedy Związek Młodzieży Wiejskiej (też w swoim złotym okresie), zapraszała Biblioteka Wojewódzka, dałem się w tym czasie skaptować — to już jego szczególne umiejętności — Januszowi Koniuszowi, on zdołał zjednać mnie dla swoich środowiskowych zamysłów i poczynań.

Janusz Koniusz twierdzi, że wówczas wielu przyjeżdża do Zielonej Góry, ale tylko jeden Henryk Bereza jest na zawołanie. Świadczy o tym bogata korespondencja krytyka z sekretarzem LTK, Koniuszem. Goście, m.in.: Bogusław Kogut, Marian Grześczak, Jerzy Andrzejewski, Władysław Broniewski, Melchior Wańkowicz spotykają się z czytelnikami podczas „Czwartków Lubuskich”, a potem z młodymi pisarzami w Klubie Dziennikarza. Pracują w komisjach sędziowskich pierwszych konkursów literackich, na prośbę LTK recenzują tomiki poetyckie, redagują książki, które ukazują się w oficynie Lubuskiego Towarzystwa Kultury. „Zielona Góra — twierdzi Zygmunt Trziszka — była wtedy najlepszym miejscem na ziemi, gdzie można było uprawiać «selfmademaństwo»”. To szczerą prawdą, można było „robić siebie”, ale i warunki sprzyjały budowie „lubuskiej drogi do uniwersytetu”, realizacji „lubuskiego eksperymentu kulturalnego” i wielu innym poczynaniom, które wprowadziły Zieloną Górę na szpalty gazet. Tamta Zielona Góra, choć niewielka i położona z dala od centrów intelektualnych, znaczyła w kraju dużo.

Zygmunt Trziszka na temat Berezy przypomina: „Janusz Koniusz, też człowiek z ludu, który już wtedy sekretarzował w Lubuskim Towarzystwie Kultury [...]

zorganizował przy LTK coś w rodzaju sekcji twórczej — pisarskiej i jakimś cudem namówił Henryka Berezę, który boi się podróży jak diabeł święconej wody, by przyjechał i wziął pod opiekę grupę zielonogórskich adeptów pióra. Bereza przyjeżdżał do Zielonej Góry dość regularnie, tak że można było mówić o uruchomieniu pierwszej w kraju wolnej wszechnicy pisarskiej. Prowadził zajęcia monograficzne i ćwiczenia, był rektorem tej szkoły i jednocześnie jej woźnym”.

A efekt tych studiów jest taki, że w 1964 roku w Wydawnictwie Poznańskim ukazuje się pierwszy zielonogórski almanach *Podróż do zielonych wzgórz*.

— Zrobiłem na początek — nie odnotowano tego w publikacji, chodziło o zmniejszenie kosztów książki — almanach *Podróż do zielonych wzgórz*. Koniusz nie wypuścił mnie z rąk i później, jurorowałem więc wiele razy, z konkursów literackich wyniknęły almanachy: *Relacje* (1970) i *Wizerunki* (1981).

Ten pierwszy almanach powstaje w myślach Koniusza jeszcze w roku 1962. Prosi wówczas Jana Koprowskiego, aby podjął się redakcji książki. Pisarz odpowiada, że: „Zredagowanie tomu prozy wymaga czasu, którego nie mam za dużo, gdyż jestem związany umowami i zobowiązaniami [...] chciałbym (zresztą muszę we własnym interesie) dotrzymać. Tak więc dziękuję serdecznie za pamięć i dowody zaufania, ale zadania tego w żadnym przypadku podjąć się nie mogę”.

Redaktorem almanachu i autorem przedmowy zostaje więc Henryk Bereza, o którego pracy Trziszka pisze: „... musiał się tego namęczyć, opracowując pierwszy almanach prozy lubuskiej. Podejrzewam, że niejednemu tekst dla lubuskiego autora napisał osobiście. Mogę jednak przysiąc, że nie ja byłem tą osobą. Z całego szacownego grona byłem najmniej szacowny i Bereza zrobił mnie „koźłem ofiarnym”, na zajęciach wszechnicy tego sobie ze mnie pokpiwając, to znaczy z moich

umiejętności warsztatowych, czemu zresztą dał wyraz we wstępie do almanachu”.

Sam zaś redaktor pisze: „Sensem i celem almanachu jest dać świadectwo, że w Zielonej Górze i na Ziemi Lubuskiej powstaje i ma szanse rozwoju godne uwagi środowisko literackie. W intensywnym życiu kulturalnym terenów, na których odradza się polskość, samodzielne środowisko literackie może i powinno odgrywać poważną rolę [...] byłem współtwórcą almanachu w stopniu nieco większym niż to wynikało tylko z faktu napisania przedmowy do tej publikacji. Miałem pewien wpływ i na wybór tekstów, i na ich ostateczną autorską redakcję”.

Męczy się Bereza z zielonogórskimi prozaikami, niby nie chce do miasta wzgórz winnych przyjeżdżać, a jednak na każde zaproszenie odpowiada listem i swoją obecnością. Bo coś interesującego dzieje się w Zielonej Górze, z pewnością nie aż tyle, ile w stolicy, ale — jak na możliwości niewielkiego miasta — dużo.

„Otóż wraz z nieodłącznym Andrzejem K. Waśkiewiczem, w duecie, postanowiliśmy drapać się na Parnas i on to, Waśkiewicz, choć strasznie wtedy młodziutki, narzucił mi styl wspinania, który był co nieco bezceremonialny — autor *Wielkiego świniobicia* miał wówczas za sobą zaledwie debiut w gorzowskim „Nadwarciu”. — Właśnie postanowiliśmy przedstawić Berezie jakieś swoje osiągnięcia i dopadliśmy go w zaplutej jeszcze wtedy poczekalni dworca kolejowego, gdzie profesor, zagubiony dokumentnie, miał przed sobą przynajmniej kilka godzin oczekiwania na warszawski pociąg. Dlaczego czekał w tej poczekalni, skoro do pociągu było tak daleko, Bóg raczy wiedzieć. Podeszliśmy do niego, chybkikiem w ciągu paru minut wyłuszczyliśmy swoje «dezyderaty» i zostawiliśmy poputczyka jego własnemu losowi. A była to wina Berezy, bo on tym swoim głębokim milczeniem tak dokumentnie nas

speszył, że nie wiedzieliśmy, co mówić. Jak się później okazało, ten głębokiego serca człowiek po «całej Warszawie szył nam buty», opowiadając, jacy to jesteśmy interesowni”.

W roku 1966 lubuskie środowisko literackie dość hucznie obchodzi pierwszy jubileusz — pięciolecie oddziału Związku Literatów Polskich. Na czele okazałej grupy gości przyjeżdża Jarosław Iwaszkiewicz i wygłasza przemówienie, które dodaje skrzydeł miejscowym literatom. To jeden z dwu pobytów autora *Sławy i chwały* na Ziemi Lubuskiej. O poezji powstającej nad Odrą mówi Zbigniew Bieńkowski, o literaturze faktu — Feliks Fornalczyk, Henryk Bereza zaś omawia prozę autorów lubuskich: „... pojęcie literatury zielonogórskiej nie może znaczyć nic innego jak to, że jest to polska literatura ogólnonarodowa tworzona przez pisarzy polskich, żyjących na tym terenie”.

W tym czasie nazwisko Henryka Berezy w polskiej krytyce literackiej już znaczy dużo. Młody, ambitny pisarz jest odkrywcą „związków naturalnych”, towarzyszy prawie wszystkim wybitnym zjawiskom literackim, bierze aktywny udział w najpoważniejszych krajowych sympozjach i sam wiele drukuje. Ale nadal pilnie obserwuje rozwój zielonogórskiego środowiska literackiego. Do Janusza Koniusza pisze: „... skoro zaprzedałem się Zielonej Górze i maluczko a zostanę obwołany słuźalcem zielonogórskich autorów”. Nikt o nim tego nie powiedział, chociaż, trzeba uczciwie przyznać, wiele małych środowisk twórczych na tę jego „słuźalność” patrzyło zazdrośnie. Lecz on miał argumenty, wyznał otwarcie: „Prozie artystycznej autorów zielonogórskich towarzyszę jako krytyk od samych narodzin tego zjawiska i nie stosuję wobec niego innych kryteriów oceny jak wobec wszystkiego, co powstaje w polskiej literaturze”.

Bereza jest stanowczy i nieprzekupny. Czyta chyba

wszystko, co ukazuje się na polskim rynku księgarskim, ale także maszynopisy, pisząc o tym, co nie zawsze nabierze wymiarów książki. Trziszka twierdzi, że krytyk ten „uprawia życie-czytanie i życie-pisanie”. Sam zaś Bereza mówi o sobie, że uciekłby „...od krytyki, gdzie pieprz rośnie”, gdyby mógł, gdyby na ten rodzaj pisarstwa nie był skazany. Czy jest to szczere wyznanie autora *Związków naturalnych*? Przecież jakiś czas jest pracownikiem naukowym w Uniwersytecie Warszawskim, w Instytucie Badań Literackich. Po latach doświadczeń porzuca dydaktykę, wybiera fach wolnego krytyka. Krytyka w jego rozumieniu to sztuka literacka; krytyka to literatura.

Henryk Bereza należy do wąskiego grona najwierniejszych miłośników literatury współczesnej. Píše prawie o każdym powojennym polskim prozaiku, o każdej ważniejszej książce. Imponuje pracowitością, systematycznością i rozlegością lektur. To, co robi, robi inaczej niż inni krytycy, po swojemu, czasem wbrew ustalonym manierom. „Jest osobowością o wyraźnych indywidualnych cechach, jest przeto inny od Jana Błońskiego i Andrzeja Kijowskiego, Artura Sandauera i tuzina pomniejszych twórców tego gatunku literackiego, który — według opinii niektórych — od lat przeżywa ostry kryzys [...] Ale też Henryk Bereza jest krytykiem bardzo kontrowersyjnym, co zresztą naturalne i zrozumiałe, chociaż przecież nie formułuje swych sądów na sandauerowski sposób arbitralnie i apodyktycznie, nie narzuca swoich opinii w sposób natrętny i jawnie tendencyjny, choć też nie jest uosobieniem, co także zrozumiałe, absolutnego obiektywizmu, ma bowiem swoje literackie typy, a od kilku lat głosi mocno dyskusyjny program odnowienia, a nawet reanimacji polskiej prozy poprzez «rewolucję językową»” — twierdzi krytyk literacki Zenon Łukaszewicz.

Książki są przedmiotem badań Berezy, z natury jest

on człowiekiem filozofującym. Przyjmując Nagrodę Literacką im. Stanisława Piętaka rzekł: „Wszystkim, którzy trudzą się nad zapisem słowa, wolno mieć nadzieję, że słowo ich błysnie blaskiem prawdy, czyli jedynego liczącego się piękna, do którego słowa mogą pretendować”.

Recenzje swoje o książkach autorów lubuskich ogłaszał w „Nadodrze” i w całej prasie literackiej. Choć zazwyczaj niczego zielonogórczanom nie odmawiał, zdarzało się i tak, że „... niestety, nie mogę napisać do «Nadodrza», ponieważ już dosyć dawno zgodziłem się napisać do «Tygodnika Kulturalnego» i jedynie z powodu różnych przeszkód nie zdążyłem tego dotychczas zrobić, ale ciągle mi o tym przypominają”.

Systematycznie co dwa, trzy lata „Nadodrze” i oddział ZLP ogłaszają ogólnopolskie lub regionalne konkursy literackie na opowiadanie współczesne. W żadnym sędzie konkursowym nie zabrakło Berezy. „Co do konkursu [...] jestem na was skazany, więc zgoda”. A potem z tych konkursów wynikają almanachy — *Relacje* i *Wizerunki*.

— Literacko interesowali mnie różni pisarze: Irena Dowgielewicz, Janusz Koniusz, Zygmunt Trziszka, Zbigniew Ryndak, Wojciech Czerniawski i inni. Zygmunt Trziszka — już w Warszawie — wplótł się na długo w moją biografię, opisuje mnie on raz po raz i plagiatuje, chwali i kpi, przypominając w mowie i na piśmie swoją „drugą ojczyznę”, Ziemię Lubuską, o której i ja przyzwyczailem się myśleć z sympatią.

Po latach Bereza nie zmienia swojej opinii o autorach z Gorzowa i Zielonej Góry. W roku 1964 do najciekawszych zalicza: Irenę Dowgielewicz, Janusza Koniusza, Zdzisława Morawskiego, Eugeniusza Wachowiaka. Potem dochodzą inne nazwiska. Większość z nich się potwierdza, inni są jeszcze w tym wieku literackim, że mogą wiele interesującego napisać. Irena

Dowgielewicz, bodaj najciekawsza pisarka lubuska, otrzymuje Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki, Wojciech Czerniawski, Zbigniew Ryndak i Zygmunt Trziszka są laureatami chyba najpoważniejszej polskiej nagrody literackiej przyznawanej młodym twórcom — Nagrody im. Stanisława Piętaka. O generacji powojennej, pisarzy już nad Odrą urodzonych, autor *Biegu rzeczy* pisze: „Z tej generacji potwierdzili swoje możliwości w prozie Mieczysław Warszawski i Alfred Siatecki, szczególnie interesująco ujawnił się jako prozaik Wojciech Czerniawski”.

Po ukazaniu się czwartej książki Ireny Dowgielewicz — „...pisarka stosunkowo najwyraźniej ukształtowana, wyróżnia się kobiecą subtelnością w zapisie ludzkiego doświadczenia” — Bereza pisze: „... posiada ona dar widzenia przedmiotowego świata i precyzyjność; odkrywczość tego jej widzenia jest może nawet bardziej atrakcyjna niż jej czysty liryzm. Autorka *Krajobrazu z topolą* widzi naprawdę rzeczy, sytuacje, całą fizyczność drugiego człowieka i to robi tak dobrze i przenikliwie, że czułbym się nieswój, gdybym był przez nią obserwowany”.

Zdzisław Morawski — „...autor skądinąd dobrze znany, z upodobaniem podpatruje banalność spraw ludzkich i z banalności robi bardzo interesujący literacko użytek” — debiutuje jako poeta. Kiedy wydaje pierwszą powieść, krytyk, który „zaprzedał się Zielonej Górze”, konstatuje: „Porucznik jest od początku do końca postacią tajemniczą, na którą nie rzucają dostatecznego światła wszystkie komentarze, których autor nie szczędzi. Są to jednak niemal wyłącznie komentarze autorskie, a więc w stosunku do postaci powieściowej zewnętrzne. Takie komentarze są we współczesnej literaturze czymś bardzo staroświeckim i nic dziwnego, że *Kwartal bohaterów* przypomina w niejednym powieść Elizy Orzeszkowej [...] Chociaż Morawski jest

pisarzem niewątpliwie utalentowanym, a nawet na swój sposób doświadczonym, jego powieść budzi najrozmaitsze opory”.

O Januszu Koniuszu, debiutującym w prozie w roku 1964 zbiorem opowiadań *Wakacje z Julią* Bereza pisze: „Koniusz ma przyrodzoną łagodność wrażliwego dziecka losu. Obca jest mu jednak skrajność. Nigdy nie próbował zerwać ze swoim światem pierwszym, odszedł od niego, ale zachował go jako miarę rzeczy [...] Koniusz odszedł daleko od Boga swojej matki, ale ocalił w sobie boga, który objawia mu się całkiem realnie jako odczucie jakiegoś ładu świata ponad wszystkimi jego sprzecznościami”.

Zygmunt Trziszka należy do najwierniejszych czytelników Henryka Berezy, czyta on nie tylko to, co autor *Sztuki czytania* pisze, ale także to, o czym pisze. Bereza o Trziszce: „... swoją literacką zasługę wobec Trziszki widzę jednak zupełnie w czym innym, właśnie w tym, że Trziszka — z moim błogosławieństwem — chlubi się literacko swoim «selfmademaństwem», że dokumentuje w najlepszych swoich utworach drogę dzisiejszego, a więc wyjątkowego self-made mana, komuż bowiem w dzisiejszych czasach chce się «siebie robić» samemu, gdy można, rezygnując ze wszelkiego wysiłku, dać się zrobić przez innych”.

Zbigniew Ryndak wydał dotychczas tylko dwa tomy prozy, ostatni trzynaście lat temu. „Wyczuwa się, że Ryndak w każdym niemal zdaniu swojej prozy sygnalizuje własny trud w pisaniu: ja muszę nauczyć się pisać, ponieważ muszę opowiedzieć, jakie jest moje życie i jak nie mogę sobie z nim poradzić.” W innym miejscu Bereza twierdzi: „Najlepsze rezultaty literackie osiąga Ryndak wtedy właśnie, gdy natchnienie czerpie nie z literatury, lecz ze swoich własnych doświadczeń i własnych przemyśleń na ich temat”.

Wojciech Czerniawski, rocznik 1945, jest poetą i pro-

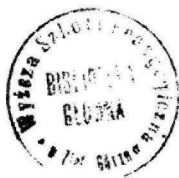
zaikiem. Mieszka w Szprotawie, z dala od Zielonej Góry, która wyrosła na ponad stutysięczny ośrodek miejski, gdzie są dwie szkoły wyższe, dwa teatry, filharmonia, salony wystawowe, wielka biblioteka, redakcje, zarządy organizacji kulturalnych i naukowych, środowiska twórcze i ich ponadregionalne imprezy. „*Puszkina w Paryżu* nie zrodziły mitologie dzieciństwa, lecz dorosłe zrozumienie źródeł i przeznaczenia poezji. Przez zrozumienie poezji doszło u Czerniawskiego do zrozumienia losu ojca i swego, czyli do zrozumienia cierpienia, które jest głównym tych losów składnikiem. W losie zabitego poety, Puszkina, cierpienie poetów nabrało spektakularności, poeci nie zawsze jednak giną od kuli, życie ma tysiąc sposobów zabijania poetów i poezji. Na szczęście miejsce żywota wiecznego poetów i poezji jest jak każde żywe wyobrażenie”.

— Trafiliśmy na człowieka, który chciał się nami zająć — twierdzi Janusz Koniusz i dodaje: — Bereza od samego początku był nam życzliwy i od samego początku jego opinia wiele dla nas znaczyła.

W roku 1964 w przedmowie do almanachu *Podróż do zielonych wzgórz* Henryk Bereza pisze: „Początki prozy lubuskich autorów nie są ani lepsze, ani gorsze od tego, czego zwykle można na początku oczekiwać. Pod tym i innymi względami autorzy lubuscy dorównują swoim partnerom z całej Polski [...] Dojrzałi, oryginalni pisarze nie rodzą się na kamieniu [...] Wobec początkujących pisarzy trzeba mieć szczególną cierpliwość”. Wydaje się, że nie ma w Polsce drugiego tak cierpliwego człowieka, jak Henryk Bereza. Bo gdyby wtedy, na początku lat sześćdziesiątych, nie on współtworzył i nie towarzyszył zielonogórskiemu środowisku literackiemu, kto wie, czy Dowgielewicz, Trziszka, Koniusz, Morawski, Ryndak... wspięliby się na Parnas.

W przedmowie do ostatniego zbiorowego tomu prozy autorów znad Odry i Warty Henryk Bereza pisze: „Jest to środowisko szczególne. Pisarze lubuscy są bardzo aktywnymi działaczami kulturalnymi, działalność kulturalna pisarzy miała i ma dla Ziemi Lubuskiej ogromne znaczenie, może więc wcale nie należy żałować, że dzieje się to z wyraźną szkodą dla aktywności czysto literackiej, na którą nie starcza czasu...”

1983 rok



Źródła

Nie podawałem w tekście przypisów i nie powoływałem źródeł, nie chcąc pracy pozować na dzieło naukowe. Korzystałem jednak obficie z lektury, dlatego uważam za niezbędne podać źródła, z których czerpałem.

Halina Auderska: *Ptasi gościniec*. Warszawa 1979.

Józef Baran: *Ziemia staje się fabryką...* „Wieści”, 1978, nr 26.

Henryk Bereza: *Bieg rzeczy*. Warszawa 1982.

Henryk Bereza: Listy w zbiorach Janusza Koniusza i Alfreda Siateckiego w Zielonej Górze.

Henryk Bereza: *Prozaiczne początki*. Warszawa 1971.

Henryk Bereza: *Ziemia pisarza*. Warszawa 1966.

Henryk Bereza: *Związki naturalne*. Warszawa 1972.

Tadeusz Błażejowski: *Pisarstwo Janusza Olczaka*. „Nadodrze”, 1976, nr 12.

Józef Bohatkiewicz: *Oflag II C Woldenberg*. Warszawa 1971.

Marian Brandys: *Wyprawa do oflagu*. Warszawa 1955.

Nikos Chadzinikolau, Jerzy Mańkowski: *Pisarze Wielkopolski*. Poznań 1971.

Antoni Chojnacki: *Po styczniowej pamięci*. „Kultura”, 1973, nr 21.

Julian Ejsmond. „Przegląd Myśliwski”, 1924, nr 2.

Stefan Flukowski, Maria Flukowska: Listy w zbiorach Muzeum Regionalnego w Barlinku, woj. gorzowskie.

Stefan Flukowski: *Poezje wybrane*. Warszawa 1974.

Feliks Fornalczyk: Włodzimierz Korsak. *Szkice do portretu*. „Nadodrze”, 1962, nr 10.

Henryk Jaroszyk: *Rok 1939 w Nowym Kramsku*. W: *Ludność rodzima na Ziemi Lubuskiej. Dzieje i współczesność*. Zielona Góra 1971.

- Marek Jodłowski: *Chata w centrum kosmosu*. „Odra”, 1977, nr 2.
- Stefan Jurkowski: *Wielość w jedności*. „Tygodnik Kulturalny”, 1983, nr 17.
- Janusz Koniusz: *Eugeniusz Paukszta*. „Nadodrże”, 1979, nr 11.
- Tadeusz Kajan: *Fakty i ludzie*. Zielona Góra 1960.
- Jan Koprowski: *Dwie powieści Paukszty*. „Rocznik Lubuski”, 1962.
- Włodzimierz Korsak: Autobiografia. Rękopis w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze.
- Włodzimierz Korsak: *Las mi powiedział...* Zielona Góra 1969.
- Włodzimierz Korsak: *W pracowniach lubuskich twórców*. „Nadodrże”, 1967, nr 19.
- Felicja Korsakowa: *Wspomnienie*. W: *Mój dom nad Odrą*. Zielona Góra 1965.
- Stanisław Kowalski: *Zabytki środkowego Nadodrza*. Zielona Góra 1976.
- Kronika Szkoły Podstawowej w Nowym Kramsku, woj. zielonogórskie.
- Jan Kurowicki: *Druga strona normalności*. „Miesięcznik Literacki”, 1977, nr 8.
- Listy i wiersze Stachury do Mieczysława Czychowskiego*. „Poezja”, 1982, nr 9.
- Literatura polska 1918—1932*. Warszawa 1975.
- Zenon Łukaszewicz: *List otwarty do Janusza Olczaka*. „Kamena”, 1982, nr 7.
- Zenon Łukaszewicz: *Portret krytyka*. „Gazeta Lubuska”, 1983, nr 184.
- Stefan Melkowski: *Ballada o wielkim kotle*. „Nadodrże”, 1966, nr 1.
- Stefan Melkowski: *Dystans i uczestnictwo*. „Pomorze”, 1970, nr 11.
- Tadeusz Michalczyk: *Wspomnienie o Stefanie Flukowskim*. „Jantarowe Szlaki”, 1975, nr 5.
- Władysław Milczarek: *Królowa matka*. Warszawa 1977.
- Janusz Olczak: *List*. „Kamena”, 1982, nr 10.
- Janusz Olczak: *Moje trzydziestolecie*. Maszynopis w archiwum Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze.
- Janusz Olczak: *Okolice skwierzynne*. Gorzów 1983.
- Janusz Olczak: *Siwe skrzydła*. Poznań 1975.
- Janusz Olczak: *Wesele Marandy*. Lublin 1983.
- Janusz Olczak: *Wieża magistratu*. Lublin 1979.

- Jerzy Oleksiński: *Jubileusz pisarza i przyrodnika. „Nadodrze”*, 1966, nr 23.
- Jerzy Oleksiński: *Śladami twardej drogi. „Nadodrze”*, 1966, nr 18.
- Mieczysław Orski: *Dwa oblicza pisarskie Trziszki. „Nadodrze”*, 1970, nr 2.
- Eugeniusz Paukszta: *Listy w zbiorach Janusza Koniusza w Zielonej Górze*.
- Eugeniusz Paukszta: *Wszystkie barwy codzienności. Poznań 1962*.
- Eugeniusz Paukszta: *Nadodrze na mapie literackiej. „Gazeta Zielonogórska”*, 1959, nr 119.
- Jan Pierzchała: *Czekając na... „Poglądy”*, 1977, nr 16.
- Krzysztof Rutkowski: *Stanisław Srokowski i zagadnienie powieści figuratywnej. „Regiony”*, 1979, nr 2.
- Wiesław Sauter: *Z tradycji szkolnictwa polskiego. „Rocznik Lubuski” 1966*.
- Władysław Sroka: *Wspomnienia z pracy w szkole polskiej w Nowym Kramsku (1930—1937). „Rocznik Lubuski”*, 1962.
- Stanisław Srokowski: *Przyjść, aby wołać. Wrocław 1976*.
- Stanisław Srokowski: *Ty. Warszawa 1971*.
- Stanisław Srokowski: *Walka kogutów. Katowice 1981*.
- Edward Stachura: *Pogodzić się ze światem. Warszawa 1983*.
- Edward Stachura: *Siekierzada albo Zima leśnych ludzi. Warszawa 1983*.
- Wilhelm Szewczyk: *Literacka Ziemia Lubuska. „Nadodrze”*, 1965, nr 6.
- Janusz Termer: *Współczesna proza polska. „Polonistyka”*, 1976, nr 5.
- Zygmunt Trziszka: *Dom nadodrzański. Łódź 1968*.
- Zygmunt Trziszka: *Dopala się noc. Warszawa 1971*.
- Zygmunt Trziszka: *Listy w zbiorach Alfreda Siateckiego w Zielonej Górze*.
- Zygmunt Trziszka: *Mój pisarz. Warszawa 1979*.
- Zygmunt Trziszka: *Na rozdrożu świata. „Tygodnik Kulturalny”*, 1983, nr 23.
- Zygmunt Trziszka: *Przekorne irytacje. „Tygodnik Kulturalny”*, 1969, nr 23.
- Zygmunt Trziszka: *Wielkie świniobicie. Warszawa 1965*.
- Zygmunt Trziszka: *Zylasta ręka ojca. Warszawa 1967*.
- Melchior Wańkowicz: *Od Stołpców po Kair. Kraków 1976*.
- Melchior Wańkowicz: *Tędy i owędy. Warszawa 1982*.
- Wizerunki. Almanach prozy pisarzy lubuskich. Poznań 1981*.

Henryk Worcell: *Trzeba wołać*. „Literatura”, 1977, nr 1.

Maria Zientara-Malewska: *Płonące krzaki nad Obrą*. Warszawa 1961.

Maria Zientara-Malewska: *Śladami twardej drogi*. Warszawa 1966.

Wojciech Żukrowski: *Śledztwo przeciw sobie*. „Trybuna Ludu”, 1977, nr 6.

Tadeusz J. Żółciński: *Codzienne życie prowincjonalne*. „Tygodnik Kulturalny”, 1976, nr 34.

Spis treści

Wrażliwa dusza kobieca	7
Kącik „Fluka”	25
Ostatni polski nemrod	47
Epik polskiego zachodu	65
Dom nadnotecki	93
Skwierzyńskie skrzydła	111
Na rozdrożu świata	129
Siekierezada... albo kotlańska zima Stachury, Czopika i sławnej dentystki Majki Nowak	147
Związki zielonogórskie	163
Źródła	: 176